

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

# Pro Libris

SYMBIOZA

Nr 3-4 (72-73) Zielona Góra 2020 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje   Wiersze   Proza   Szkice krytyczne   Sztuka



*Das ist ein Bild von einer Person, die in einem Wald steht. Die Person hat lange Haare und trägt eine hellfarbene Kleidung. Der Wald ist dicht mit Bäumen und Blättern. Das Licht ist weich, was auf einen bewölkten Tag oder einen Schatten im Wald hindeutet.*

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

**Pro Libris**

Prace plastyczne wykorzystane w numerze – Grażyna Michalak-Bazylewicz

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2020

Redaktor naczelny  
Andrzej Buck

Sekretarz redakcji  
Ewa Mielczarek

Korekta  
Joanna Wawryk

Stale współpracują:  
Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Fotografie  
Archiwa prywatne: Jadwigi Bocho-Kokot, Andrzeja Bucka, Grażyny Michalak-Bazylewicz, archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Marek Bałata, Lidia Kurzawowa, Aneta Michałowska, Ewa Mielczarek, Natalia Sobkowiak, Andrzej Wierdak

Wydawca  
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru  
Danuta Morawska

Druk i oprawa  
Dual Studio Bartosz Zajęc

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:  
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)  
e-mail: [prolibris@wimbp.zgora.pl](mailto:prolibris@wimbp.zgora.pl), [www.wimbp.zgora.pl](http://www.wimbp.zgora.pl), [www.prolibris.net.pl](http://www.prolibris.net.pl)

Publikację wydano przy pomocy finansowej  
Urzędu Miasta Zielona Góra  
i Zarządu Oddziału SBP w Zielonej Górze



# Od redakcji

Za nami trudny rok. Czas pełen lęków, niewiadomego, podstępnej choroby i niepewności, co będzie dalej. Przestaliśmy się widywać, spotykać, dyskutować, robić plany na przyszłość. Rozprzestrzenianie wirusa COVID-19 zaostriżyło rygory sanitarne, zmieniło system pracy, sposób porozumiewania się i współpracę. Szczęśliwie, współczesna technika dała nam wspaniałe narzędzia, które pozwalają dalej działać, tworzyć, prezentować nowe dokonania. Po wiosennym szoku epidemiologicznym, druga – jesienna fala choroby nas nie złamała. A nawet więcej – nauczyła nas żyć ostrożnie, ale pełną piersią. Pokazała, jak ważni jesteśmy dla siebie, jak ważne jest literackie tworzenie i jego prezentacja. Przygotowując kolejne wydanie „Pro Libris”, uczyliśmy się nowej formy kontaktów, wzajemnego porozumiewania i... znowu się udało. Wydajemy kolejny numer, a w nim najnowszą literacką twórczość uzdolnionych polskich prozaików, poetów, artystów. Na łamach pisma gościmy szereg nowych autorów, których dzieła są dostrzeżane przez najważniejsze gremia krytycznoliterackie (m.in. Grzegorz Walczak, Patrycja Pelica). Z radością przyjęliśmy teksty od naszych stałych autorów, którzy niezawodnie dostarczyli znakomitą prozę (Zbigniew Masternak, Anna Witkowska, Marcin Radwański, Władysław Edelman, Czesław Sobkowiak, Czesław Markiewicz). Nieodmiennie prezentujemy, omawiamy i oceniamy ważne książki, które zwróciły uwagę cenionych krytyków literackich, a są wśród

nich: Joanna Kapica-Curzytek, Urszula Benka, Anna Dominiak czy Robert Rudiak. W numerze publikujemy także dobrą poezję: Władysława Łazuki, Agnieszki Ginko, Michała Banaszaka, Pauliny Korzeniewskiej, Konrada Krakowiaka czy Czesława Sobkowiaka. Ponadto w najnowszym „Pro Libris” debiutują wierszami Jarosław Barańczak oraz Natalia Haczek. Polecamy Państwu znakomite teksty w dziale VARIA, z których *Oświecenie polityczne* Urszuli Benki czy *Ciało ubrane w film* Jakuba Domoradzkiego zaspokoją najwybredniejsze gusta czytelnice.

Zachęcamy także do zapoznania się z działem ZBLIŻENIA, w którym zawarliśmy informacje o wydarzeniach artystycznych, festiwalach, konkursach literackich w różnych ośrodkach województwa lubuskiego (m.in. 6. Kozzi Film Festiwal „Kozzi – Kobieła – Jędrusik”). Publikujemy także obszerny program 10. edycji Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej.

W numerze poprzez teksty wspomnieniowe prezentujemy sylwetki ważnych dla kultury ludzi, z którymi rozstaliśmy się w tym roku – prof. Czesława P. Dutki (kontynuacja wspomnień z poprzedniego numeru), dra Andrzeja Toczewskiego oraz Małgorzaty Maślowskiej. Teksty *in memoriam* dostarczyli ich współpracownicy, uczniowie i przyjaciele.

Piękną oprawę plastyczną numeru zapewniła pismu znakomita artystka – malarka, graficzka i projektantka przestrzenna – Grażyna Michalak-Bazylewicz.

# Spis treści

|                                                                                                                       |    |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| <b>Grzegorz Walczak</b> , Moja odległa prowincja .....                                                                | 6  |
| <b>Natalia Haczek</b> , Wiersze [W mieście, Poranek, Kolacja, Odjazd] .....                                           | 9  |
| <b>Czesław Markiewicz</b> , Twierdę, że dom... ..                                                                     | 13 |
| <b>Michał Banaszak</b> , Wiersze [GPGP, Życie po śmierci, Wydechy, Duszność] .....                                    | 17 |
| <b>Marcin Radwański</b> , Historia miłosna .....                                                                      | 21 |
| <b>Agnieszka Ginko</b> , Wiersze [Miłość w czasach zarazy, W rzeczy samej] .....                                      | 25 |
| <b>Anna Witkowska</b> , Dwa opowiadania z latarnią „w tle” .....                                                      | 27 |
| <b>Anna Witkowska</b> , Robot – ogrodnik .....                                                                        | 29 |
| <b>Jarosław Barańczak</b> , Wiersze [Menora, Aniołowie, Późne lato, Nie poznałem] .....                               | 31 |
| <b>Czesław Sobkowiak</b> , Zapiski. Jesień 2020 .....                                                                 | 35 |
| <b>Paulina Korzeniewska</b> , Wiersze [Wilk, Dom, Dla tych pamiętanych aż za dobrze,<br>co się u ciebie dzieje] ..... | 41 |
| <b>Zbigniew Masternak</b> , Książę bez ziemi (fragment powieści) .....                                                | 45 |
| <b>Czesław Sobkowiak</b> , Wiersze [Lato, Od rana, Obraca się, Ambulans] .....                                        | 52 |
| <b>Marcin Mielcarek</b> , W oczekiwaniu na nowe słońce .....                                                          | 56 |
| <b>Konrad Krakowiak</b> , Wiersze [Anatomia dziejów, Azymut, Anonim, Dom] .....                                       | 61 |
| <b>Anna Blacha</b> , Winiarka z Zielonej Góry .....                                                                   | 65 |
| <b>Natalia Dudziak</b> , Wiersze [Zbrodnia doskonała, Zakochałam się] .....                                           | 67 |
| <b>Władysław Edelman</b> , Drabble .....                                                                              | 69 |
| <b>Władysław Łazuka</b> , Wiersze [*** Pociąg wiezie..., *** Czasami w snach, Taki obraz, *** Rozmyślam] .....        | 70 |
| <b>Patrycja Pelica</b> , Okna Leosi. Historia pewnej przyjaźni .....                                                  | 74 |

## IN MEMORIA

|                                                                                                                                 |     |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Anitta Maksymowicz</b> , Wspomnienie o Andrzeju Toczewskim .....                                                             | 79  |
| <b>Małgorzata Mikołajczak</b> , Wspomnienie o Profesorze<br>(zapis wystąpienia okolicznościowego z 30 stycznia 2020 roku) ..... | 86  |
| <b>Grzegorz Kubski</b> , Pan Profesor Dutka – książki, studio i „fenotyp uczonego” .....                                        | 89  |
| <b>Dorota Kulczycka</b> , Wspomnienia studentki i współpracownicy .....                                                         | 98  |
| <b>Piotr Pałac</b> , Odszedł Mistrz! Wspomnienie o Panu Profesorze Czesławie Pawle Dutce .....                                  | 102 |
| Małgorzata Kowalska-Masłowska (13 sierpnia 1958 – 31 sierpnia 2020) – biogram .....                                             | 104 |
| <b>Andrzej Buck</b> , Zapis niepełny... tak ją zapamiętałem (Małgorzata Kowalska-Masłowska) .....                               | 105 |
| Gosia (Małgorzata Masłowska we wspomnieniach przyjaciół) .....                                                                  | 107 |

## ZBLIŻENIA

|                                                                                                                        |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Joanna Kapica-Curzytek</b> , Felix Lichnowsky i Dorota de Talleyrand-Périgord – historia miłości .....              | 111 |
| Cicer cum caule prof. Mariana Bugajskiego.<br>Z profesorem Marianem Bugajskim rozmawia <b>Aleksandra Kucza</b> .....   | 115 |
| <b>Ewa Mielczarek</b> , 6. Kozzi Film Festiwal „Kozzi – Kobiela – Jędrusik”<br>na przekór wszystkiemu się odbył! ..... | 117 |

|                                                                                           |     |
|-------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Ewa Mielczarek</b> , Kargowski konkurs literacki w 21. odsłonie .....                  | 123 |
| <b>Alina Kruk</b> , Przygoda z protokołem dyplomatycznym .....                            | 125 |
| <b>Ewa Mielczarek</b> , Czesław Sobkowiak w Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu ..... | 127 |

## **VARIA**

|                                                                                       |     |
|---------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Urszula Benka</b> , Oświecenie polityczne .....                                    | 128 |
| <b>Jakub Domoradzki</b> , Ciało ubrane w film .....                                   | 134 |
| <b>Zbigniew Masternak</b> , Zwrot plebejski czy jednak kres kultury chłopskiej? ..... | 136 |

## **PREZENTACJE**

|                                                                   |     |
|-------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Grażyna Michalak-Bazylewicz</b> – portfolio .....              | 139 |
| <b>Stanisława Zacharko</b> , Perfekcja i wrażliwość .....         | 143 |
| <b>Renata Trzaskowska</b> , O wystawie „Natura Optima” 2008 ..... | 143 |
| <b>Maciej Bieniasz</b> , Nie dajmy się zmylić pozorom .....       | 144 |

## **RECENZJE I OMÓWIENIA**

|                                                                                          |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Pasja według... Urszuli Małgorzaty Benki                                                 |     |
| Urszula M. Benka, <i>Pasja Jezusa z Nazaretu</i> ( <b>Robert Rudiak</b> ) .....          | 146 |
| Przeszłość należy do nas wszystkich                                                      |     |
| Annette Hess, <i>W niemieckim domu</i> ( <b>Joanna Kapica-Curzytek</b> ) .....           | 149 |
| Poetycki powrót do Itaki                                                                 |     |
| Czesław Sobkowiak, <i>Napisane w zeszycie</i> ( <b>Anna Dominiak</b> ) .....             | 151 |
| <i>Sekret włoskiego orzecha</i> . O przygodach Ireneusza Waroga w powieściowym debiucie  |     |
| Stefana Górawskiego                                                                      |     |
| Stefan Górawski, <i>Sekret włoskiego orzecha</i> ( <b>Anna Dominiak</b> ) .....          | 153 |
| Smak kaczki z jabłkami serwowanej przez językoznawcę                                     |     |
| Marian Bugajski, <i>Kaczka z jabłkami</i> ( <b>Joanna Gorzelana</b> ) .....              | 154 |
| Modlitwy, elegie i psalmy Agnieszki Ginko                                                |     |
| Agnieszka Ginko, <i>Modlitwa spod znaku Ryb</i> ( <b>Robert Rudiak</b> ) .....           | 157 |
| Różnorodność tematyczna w tomiku Stanisława Bryka                                        |     |
| Stanisław Bryk, <i>Antologia zrodzonych myśli</i> ( <b>Anna Wiwiana Szewczuk</b> ) ..... | 160 |
| Dwie książki                                                                             |     |
| Andrzej Podlewski, <i>Ona i on. Rozmyślania</i> ;                                        |     |
| Wojciech Łęcki, <i>Szpilki w rozsypce</i> ( <b>Mirośław R. Kaniecki</b> ) .....          | 162 |

|                                |     |
|--------------------------------|-----|
| <b>KSIĄŻKI NADESŁANE</b> ..... | 165 |
|--------------------------------|-----|

|                             |     |
|-----------------------------|-----|
| <b>AUTORZY NUMERU</b> ..... | 166 |
|-----------------------------|-----|

# Moja odległa prowincja

Jak co dzień wyłaził z błota przy mostku, odgarniając faszynkę, kiedy dziewczyny po ciężkim, gorącym dniu wracały pokryte potem niby kapiącą ospą. Niosły kosze pełne wiórów słonecznego złota i śmiertelniki pozbawione barwy, by siać je przed krzyżem albo przed świątkiem, co się wpół drogi rozkraczył żałobny. Wyłaził z bagna utyłtany szlachetnym szlamem, cały nagi i roześmiany przy tym, ręce ku pannom wyciągał – bagiennik, strach na dziewczynskie oczy, zawsze jednakowo rozlatane, z zadziwienia rozszerzone na trzy krągłości złotówki, by nie przesadzić, takie wielkie ze zgorszenia, obawy i rozhukanej uciechy. Znały go dobrze, bo nieraz na nie dybał, ale koślawiec był, nogi miał poplątane, więc daleko zagonić ich nie mógł. Zębiska miał za to mocarne, włosy jak kaczan kukurydzy, tyle że zmierzwiłone w błotnej kąpieli i lepkie. Wyszczrzył je teraz i pognał z krzykiem okropieńskim przy wtórze tych gładkołydkich panien. Pomykały przed nim, kosze uplecione porzuciwszy na ścieżce. A z koszy zamiast promieni słonecznych, powiązanych w wianki, sypały się dymiące mrowiska i jadowite jeżyny albo kłębek zatrutego jeża. Wpadł na to rozpędzony, raniąc się niemal śmiertelnie, więc zaprzestał gonitwy. Na dziś przecież swe zadanie wypełnił. Zaspokojony czynem, wykąpał się tym razem w czystym piasku i założył ukryty w zaroślach elegancki garnitur.

Tego dnia późnym wieczorem w leniwym miasteczku, rozciągniętym jak nieruchoma glizda na dwu nierównych pagórkach, miejscowy aptekarz – jeszcze się nie domyślać, kto to taki? – zmieniał przy kontuarze aptekarzową. Tego samego dnia, powiadam, zanim się niebo rozstąpiło przed sceptykami, by im pokazać wielką figę opatrności, trzy wyrostki majstrowały przy torach kolei żelaznej. Od zamierchłości zawsze o 18.09 zwykł był pędzić tą drogą elektryczny ekspres gdzieś z centrum wielkiego kraju na jego odległe rubieże. Ryży Stefcio rej wodził, bił w pysk regularnie Maćka od Borysów i grubego Wiączka, by nie zdążyli sami czegoś wymyślić. Wszyscy trzej zresztą nie mogli pojąć swymi kukułczymi mózgami, że skoro wąs im się rzadki puścił tam, gdzie powinien, a dziewczyny rezolutnie pokazywały im gołe zęby w biegu, to przyszedł ich czas, aby majtki krótkie zamienić na długie. Tymczasem uznali, że trzeba dać światu znać o sobie i nieźle się w końcu zabawić. Zrobili więc cudaka, w samej rzeczy podobnego do ludzi i na torowisku równiutko ułożyli. Zaczaili się w rowie, odmawiając zdrowaśki z wielkiej pobożności, by swą cierpliwość Wiekuistemu okazać.

Szły też modły w niebo z drugiej strony. To katecheta łajał nad grobem jakiegoś mądrąłę oberwańca za to, że zanurzony w kale grzechów, zwiął z tego padołu, nim zdołał zarobić na uczciwy pogrzeb. Katecheta łajał, pokorne oczy wraził w niebo, a wskazującym palcem godził w delikatny pierzasto-kłębiasty miękisz chmur, gdzie zwykł przysypiać święty Piotr leniwy, zbyt łatwowierny klucznik Pańskiego stolca. Dzień utrudzony sobą łeb przechylił we skłonie. Z białego piasku po swym rytualnym czynie otrząpywał się wesoły bagiennik, w zapłociach wszawa Jargulka macała jaja kurom i międlifa w gębie straszliwe przekleństwa, a ten jej spowolniały i zawsze zgodny Maciej wbijał ostatni palik przy chwiejnym parkanie. Wyrostki ziewały w zaczajeniu na rzecz ostateczną, katecheta nadal lżył biedaka, któremu udało się zemrzeć ze zgryzoty nad wciąż wzrastającą wartością gorzały. Spotworniały pędem ekspres elektryczny gnał jak strzała Zenona z Elei, ukazując cały bezsens wykonywanego pośpiechu. Jakaś parka w stogu siana na sąsiedniej łączce do-

chodziła właśnie z niemałym mozołem, szczypiąc się w przyrodzenia. I tak to wszystko zmierzało ku czemuś, czerpiąc siłę z nadziei, że wreszcie to się spełni, nie rozumiejąc, że właśnie sens największej i najmniejszej aktywności wynika z jej niedokończenia, z owego czekania na to, co nadciąga, z trwania. Powiadam wam, nie miał ów racji, który się dał pochować. Dopiero w skończoności jest nieskończoność – śmiertelnie nudna, jak śmierć z nudów. Zaczęła ona ogarniać chłopaćków w rowie i przyszła do nich nie od torowiska, ale od zaziwanej gęby, co się sama rozwarła po czterdziestu pięciu minutach opóźnienia ekspresu, który miał świetliście przelecieć przez utajone w czekaniu prowincje. I mógłbym wam tak jeszcze dużo mówić i wszystko ładnie zakończyć, upiększyć, zaskoczyć niespodziewanym rozwiązaniem, ale nie lubię ponad potrzebę rozstawać się z prawdą. Wyobraźcie więc sobie bagiennika od wielu godzin siedzącego w trzęsawisku. Umocnił się w bloku i wierzy, że jeszcze raz mu się uda wydobyć i nie zatonać, i co ważniejsze – wierzy w to, że przyjdą dziewczęta urodne, jeszcze nieskalane, które spąsowić można, zobaczą jego błotny taniec, usłyszą jego członków wiatr, i ostupieją z przerażenia, i padną na kolana, i prosić będą o to, by zechciał, co by tylko zechciał. A on – tak to sobie wyobraża – nieufający omnipotencji rozumu człowieka, sposobem swojej niczym nieograniczonej poetyckiej woli rozedrze niebo na dwie wielkie połowy i wbrew wszystkim sceptykom wyciągnie spomiędzy wezbranych wilgotną słodyczą obłoków niedojrzały, zielony kwiat cytrynowego drzewa. I poda im czystym, a one wciąż jeszcze klęczące przyjmą z jego łaskawych rąk rozkwitłą gałąź niby pierwszą komunię. Taka jest nieodparta dążność i taka niemożność w tym plugawionym błotnym szmalcem ciele, wśród pojękliwe, dychawicznych pęcherzyków, co się wydobywają na powierzchnię trzęsawiska. A może natchniony inną zbawienną gorączką, która równie oczyszczająca jak żrąca soda albo gorzka sól, przyjdzie ów bagiennik nad wiecznie równoległe szyny, napotka człowieczą kukłę, manekina, mistrzowskie dzieło trzech wyrostków i weźmie owo za smutnego straceńca, odgadnie jego duszę, zapłacze nad jego życiem, które jak dżdżownica sama niewiedząca, co czyni, znajduje wytchnienie na polerowanej wstążce szyn już rozedrganych, już pulsujących niewstrzymanym rozpędzeniem. Poleży tak sobie z wiernym manekinem czas jakiś, zdrowo się wynudzi i pójdzie w ślad za wyrostkami, co splunąwszy na nieskazitelność naszego kolejnictwa, opuścili rów i udali się do miasta, by podłużyć spodnie. I pójdzie tak za nimi obojętnie markotny, bo tak naprawdę to mu nie zależy, by podzielić z kimkolwiek smutny lub radosny los, tak jak mu nie zależy, by wreszcie dogonić przechodzące mimo trzęsawiska dziewice – ot tylko ucpełił się tej myśli, bo trzeba mieć w życiu jakąś zachciankę, by za nią podążać. Wróci więc do miasteczka, kiedy już mrok na dobre zgęstnieje i chociaż go swojskie psy obszczekają, zupełnie innym, już nie błotnym, lecz niezmiernie godnym krokiem, w pełni swej garniturowej urody przekroczy od tyłu próg ceglanej apteki, by zmienić za kontuarem swą apatyczną żonę. Stanie więc za tym kontuarem on, bagiennik, aptekarz spokojny, zapięty na ostatni guzik, by uczonym wzrokiem śledzić receptury, wyznaczone przez podobnych mu, rozumnych, wykształconych ludzi. I mógłbym to wam tak zakończyć, byście o ludzkich rozmaitych zamiarach i dziwnościach przez czas jakiś w zastanowieniu rozważali, ale zakończę wam inaczej. Każdy ma swojego capa, ludzie mówią – świra. Ja na przykład, gdy już pozamykam szafki z lekarstwami, usystematyzuję recepty, podliczę kasę, lubię poprzymierzać sobie ludzkie skóry. Zakładam je sobie z ciekawości, ponoszę chwilę i już wiem, jak mi bardzo w nich niewygodnie. W lustrze jak panna nie stoję, a jednak przyglądam się sobie obcemu, co siedzi pod moją nową skórą. Źle się czuję, dopóki nie założę skóry, która mnie ciekawi, bawi, a choćby i drażni. Kiedy już bardzo trzeszczę i w szwach się pruje albo zwisa pomarszczona, za obszerna, przejdę w niej parę kroków i rzucam zużytą. Ale mi potem lepiej, pełen jestem otuchy, bo mam czego szukać – skóry, która wreszcie będzie dopasowana, równiutko przylegająca, napięta i świeża. Nie dziwcie się zbytnio, że kiedyś w wędrówce przez kraj mój przepiękny, na północno-wschodniej jego rubieży, zboczyłem nieco koło mostku i widząc w miejscowym bagienku człeka radośnie zanurzonego, pławiącego się ochoczo i bez obawy, i ja co prędzej szat się mych zbywszy, zaraz się do połowy zapadłem w trzęsawce. Pożerało mnie coś soczyście miękkiego, wchłaniało w głąb swej elastycznej materii, puszczało bąki jak stara Barbarka. Po wierzchu roz-

laź się zielony liszaj, z nie do końca zastygłej, brudnej galaretki wystawały zbutwiałe łapska duchów bajorkowych. Za mną gulgnęła ropucha wielkości zająca, między nogami rdzawym zygzakiem przemknął jakiś węzowaty cień. Zapadałem się miękko, zadowolony z niepewności gruntu. Z natury jestem chwiejny i niekonsekwentny, nie znoszę zbyt twardego podłoża i absolutnej pewności. Wciągało więc mnie w głąb szalenie łatwo, chociaż powolutku. I byłbym może spokojnie dokonał żywota, gdyby przez dłuższy czas osłupiały ze zdziwienia kolega, kresowy bagiennik, nie rzucił się na mnie z krzykiem wśród bulgoczącej melasy i nie chwycił mazistymi palcami za moje bujne włosy, wrzeszcząc – precz stąd ohydny plagiatorze! Ciągnął mnie z trudem za sobą, dyszał, charczał najgorszymi wyzwiskami, a sły natenczas wiejskie z pewnością prawiczki, które nas widząc, z uciechy aż przysiadły, bo czegoś podobnego nie były sobie w stanie wyobrazić. Więc już na twardym brzegu przewracaliśmy się cali nadzy, błotem upiękšení i byłbym może zmógł chudziaka, gdyby mnie nie zamroził widokiem potężnego węża, który mu się zapewne w bagnie między nogami uczeplił. Powalony tym nadprzyrodzonym zjawiskiem, czekałem, aż mnie dobije, ale on wstał nieoczekiwanie, chwycił węża oburącz, w garście, i z płaczem uciekł leśną drogą. Zobaczyłem, że panny, jako nowemu, nieskromnie mi się przyglądają, dałem więc również susa między pobliskie, karłowate sosenki.

Po jakimś czasie od tego wydarzenia ogólnie szanowany aptekarz z niewiadomych przyczyn wyniósł się ze swego spokojnego miasteczka z całą rodziną na odległe kresy, gdzie się rozciąga urokliwa kraina, pełna zastępów leśnych, manowców, uroczyisk, niezliczonych jezior i prawdziwych soczysto-mięsistych trzęsawisk, znacznie bardziej pociągających niż te zarastające torfem oczka wodne, niezbyt odległe od miejskich aglomeracji. Zadomowił się na tym bujnym terenie, wrósł w ten oszałamiający pejzaż, który go niemal w siebie nie wessał, i trwał tak na swym bagiennym posterunku, już raczej nieruchomy, bo go zmógł reumatyzm, a może zaplątał się we własne korzenie. Utkwił głęboko w podłożu i nie był już w stanie wydobyć się na powierzchnię. Nawet nosiłem się z zamiarem, by go zastąpić w trwaniu bagiennym, skoro się już wybrałem na te nieprawdopodobne kresy, lecz nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, że tak naprawdę to ja nie jestem żadnym aptekarzem, jeno z lekka rozchwianym narratorem, który się tylko czasem lubi utożsamiać z bohaterem. I już w miejscu, gdzie się otwierała przede mną kipiela bagienna mojej wyobraźni, powiodłem dookoła smutnym wzrokiem, rozplakałem się rzewnie, zaniechawszy czynu. Zrezygnowałem. W obecnej dobie nie miałbym już tej przyjemności. Jestem przecież indywidualistą i lubię robić wrażenie, zwłaszcza na płci odmiennej. A jakąż dziewczynę może dziś poruszyć nagość bagiennika pod miasteczkiem, w którym punktualnie zatrzymuje się transkontynentalny ekspres, a wyrostki nie szukają już swojej wielkiej szansy w tragedii manekina, lecz prawdziwych ludzi układają na torach. Ach, któż się może przejąć moją postacią bagienną, skoro całe plantacje samozwańczych bagienników sterczą gromadnie coraz niżej nad powierzchnią błota. I tylko czasem czyjaś ręka plaśnie w ostatnim uniesieniu i jakiś biały gołąbek sfrunie znad zwierającej się z pomlaskiem topieli.

(1. nagroda w 21. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicza kultur”, Kargowa 2020)

**W mieście**

krople deszczu przywierają do skóry  
niczym rybiki – łazienkowi kryminaliści  
gołębie śledzą każdy mój krok  
z zacięciem sąsiadów którzy chcą zobaczyć  
to co ukrywać wypada  
płytki chodnikowe rzeźbią dziury  
w podszwach okradzionych z nadziei na kolejny sezon  
to miasto nie sili się na uśmiech  
a ja razem z nim

**Poranek**

szukając namiastki ciebie  
błądzą po bladym barłogu

nasłaneś rój nietoperzy  
by łaskotały me palce  
na znak twojej nieuchwytności

z mych roztrzaskanych ust sączy się pustka  
jedyne prezent od twoich wazelinowych warg  
pamiętam ich śliskość  
choć nigdy nie  
byłeś naprawdę

## Kolacja

zaczynamy subtelnie  
masując podniebienia

nasze szczęki znużone  
powagą i taktem  
rozwierają się nagle  
ukazując fragmenty sałaty  
grasującej między zębami

zaczynam czuć twój  
prawdziwy smak

## Odjazd

mgła wygląda  
dziś całkiem wyraźne

potykam się to tu to tam

kolana pogryzione przez bezpieczeństwa szkło  
nie chowają urazy

wybacz skarbie ale musisz jechać beze mnie  
ja już jestem daleko stąd

tandetny masochizm  
śmiesz maszynistę

# Twierdzę, że dom...

To był najtrafniejszy wybór ojca. Stał na obrzeżu Miasta. Zajmowaliśmy cały parter, pięć pokoi, z wielką kuchnią, długim przedpokojem, wygodną łazienką, najmniejszym pomieszczeniem nazywanym różnie: kibelem, wygodką, ubikacją. Usytuowany przy łuku rzadko rozjeżdżanej, asfaltowej drogi podmiejskiej. Od południa okolony żywopłotem forsycji, od północy magnoliami, przeplatany dzikim bzem, wschód i zachód okwiecone przydomowymi ogrodami nieżyczliwych sąsiadów, uznających brak przydomowych grządek za nienaturalny wybrzyk natury. Za niewysokim płotem forsycji rozłożyła się nigdy niekoszona, niewypasana łąka, dalej, aż po horyzont, mieszany las z najbujniejszym na świecie poszyciem.

Gdy łaziliśmy któregoś lipca z Tadeuszem wąskimi duktami, zaatakował nas przykry smród, towarzyszył nam, jak najwierniejszy pies, opadł zapach nazbierania jagód do pełna litrowych słoików. Tadeusz uchodził za najbardziej rozbagniętego, czytanego szóstoklasistę w rodzinie, oczekiwałem rozsypnięcia zagadki coraz dotkliwszego swądu. Gdy Tadeusza zaczęło drażnić, bardziej niż upierdliwy zapach, moje zatykanie nosa, wciągnął smarki najgłębiej, jak potrafił i powiedział:

– To jest ptasi cmentarz. Przylatują z całej kuli ziemskiej umierać w naszym lesie.

Niby wszystko się zgadzało, pewnie tak śmierdziało truchło, o czym nie miałem bladego pojęcia, ale wydawało mi się, że na umieranie najlepsza jest jesień. Przez tamtą jedną chwilę, już wtedy, być może po raz pierwszy poczułem się nienaturalnie mądrzejszy od starszego brata. W mojej wersji rozkładały się nieopierzone ciała piskląt, wyrzucanych przez zwyrodniałych rodziców zbyt wcześnie z gniazd albo pisklęta wybierały samobójczą śmierć, nie godząc się na wielodzietność. O lęgach nie miałem jeszcze bledszego pojęcia, ale pasowało do mojej wypoczwarzonej frustracji. Obawiałem się, że ten smród dotrze do domu, tym bardziej że wtedy dzieliłem z Tadeuszem pokój z oknami wychodzącymi na leśne południe; na nasze szczęście miał do pokonania łąkę, niepokonaną w neutralizowaniu obcych zapachów. A może rzeczywiście była jesień, zbieraliśmy grzyby i to Tadeusz był mądrzejszy. Teraz nie ma to żadnego znaczenia, z całego zdarzenia utrwalił się tylko przytulony do lasu zaimek „naszego”, tautologicznie kojąco wzruszający, przyjemnie miły. „Naszego”, czyli mojego i Tadeusza; na jednego brata byłem, ewentualnie, gotowy.

Nikt nie wpadł na pomysł przekopania klepiska podwórza, użyźniając ziemię niczyją, bo nikt z lokatorów, już zakorzenionego, naszego domu, ani tych przed-, ani powojennych nie ujawniał roszczeń; wspólnoty mieszkaniowe, sadzące tuje, bulwiaste zielska, jakieś bezprzykładne powoje, były pomysłem z niewyobrażalnej przyszłości.

Piętro zasiedlali, już przed najtrafniejszym wyborem ojca, pan Miecio z żoną Ewą (trzy pokoje) i pani Krystyna (dwa pokoje). Pan Miecio był praktykującym felczerem, wiecznie, bezskutecznie uzupełniającym doktorskie wykształcenie. Znikał do magisterskiego Poznania w każde weekendy, na co dzień na zawołanie, nawet do najmniej dolegliwego kaszlu. Poza tym grywał z ojcem w szachy. Pani Ewa kierownikowała w Zakładach Drobiarskich. Zażyłość z matką pieczętowała regularnymi dostawami tanich jaj, świeżych kurczaków, zdarzały się perliczki, indyki były zbyt amerykańskie na tamtą ówczesność. Pani Krystyna, stara pan-na, nauczała geografii w którejś z podstawówek. Nic o niej nie wiedzieliśmy, poza tym, że podarowała nam podświetlany globus, że nikt jej nie odwiedzał, że nigdzie nie wyjeżdżała. Sumienna jak ksiądz po kołędzie.

Ogrodowemu minimalizmowi matki zawdzięczałem skoncentrowanie wczesnych obserwacji przydomowej natury na zaledwie kilku botanicznych wybrykach. Rozpoznawałem trzy rodzaje podniecająco dzikiego, nieprzywoływanego żadną dyscypliną do porządku, niewielodzielnego ukwiecenia: wątrobianą żółć forsycji, dychotomię piękna kwiatów *versus* brzydota łodyg magnolii oraz funeralną orgię bżów. I nie chce mi się rozdziewiczać tych metafor.

Parterowe mieszkanie, trafnie wybrane przez ojca, było pustostanem rychtowanym dla kogoś zupełnie innego, może radzieckiego, tymczasowego namiestnika właściwej władzy, może partyjnego nuworysza, może przyszłego redaktora naczelnego jedynie słusznego dziennika? Ale oni wybierali nawet mniejsze mieszkanie położone bliżej Komitetu Wojewódzkiego, pełniej wyposażone w media. Ojciec gwarantował służbową fachowość, znał język niemiecki, kokietował handlowymi kwalifikacjami, może deklarował ideową lojalność. Bez żadnych kwitów, domniemanych, potwierdzonych na piśmie, rozlokował się na stumentowym metrażu. Już w drugiej połowie lat czterdziestych deklarował:

– Niech wojewoda ma wille, daczę, mercedesy, ja chcę mieć kilkupokojowe mieszkanie i Победę.

Tak rozumiał rozwój socjalizmu, chociaż nigdy nie dorobił się prawa jazdy. Zachował się jak osioł, płacił wyższy czynsz, matka miała kupę roboty ze sprzątaniem, rozpalaniem w pięciu piecach, nie licząc tych w kuchni i łazience, uparł się, może już wtedy planował nieustającą prokreację.

Pośród innych na tej samej ulicy nasz dom był od samego początku elitarny. Ówczesne elity nieoficjalnie „obsługiwało” sąsiedzkim ostracyzmem. Felczer, nie dość, że partyjny, miał podejrzenie obco brzmiące nazwisko, pani Krystyna podejrzenie bezpłodna, ojca za często zabierała spod domu komitetowa wołga. Wykształcenie całej trójki podsycalo ugór porozumienia. Nikt z lokatorów domu bez ogródka nie utrzymywał kontaktów z bliższymi i dalszymi ogrodzonymi sąsiadami. Nie pomagało nawet mijanie się w drodze do tego samego kościoła.

Najbardziej inspirujące były dwa pomieszczenia: łazienka i kuchnia. W pokojach i przedpokoju nic poza meblowaniem nie rozbudzało wyobraźni.

W łazience najważniejszy był piecyk. Opalany drewnem, prawdopodobnie żeliwny, miał tajemniczy, wypukły napis nad wygiętymi w łuk drzwiczkami: „Made in Germany”. Na tyle wysoki, że nawet najwyższy z braci, Wiesław, nie sięgał rury wychodzącej z żeliwnej głowy. Rura znikła za plecami pionowego walca. Na prostopadłej ścianie, równolegle z wanną, pod samym sufitem, na wygiętych wysięgnikach wisił nieco grubszy, o podobnym kształcie poziomego walca, rezerwuuar na podgrzaną wodę. Tajemniczość urządzeń uzupełniały wypukłe, płasko rzeźbione zdobienia winnej latorośli na froncie piecyka. Towarzyszył mi przez kilka lat najwcześniejszej pamięci. Był pierwociną uniwersalnej definicji piękna: jeśli coś, co oglądasz codziennie do znudzenia, oglądasz z zachwytem, jakbyś to widział po raz pierwszy, to jest to niechybnie piękne. Żeliwne, przyjaźnie egzotyczne zwierzę zastąpił bezduszny „Junkers”. Strzelające odgłosy spalanych szczap, przypominające harcerskie ogniska, zostały pokonane przez wampiryczne sapanie z dysz nowocześniejszego, ponowoczesnego gada.

W kuchni zaplatał się trudny do odtworzenia, niebieski kredens. Ojciec porąbał go zaraz po narodzinach Jerzego, ostatniego z braci. Kolor ocalał, bo skojarzyłem go z nieco ciemniejszym od błękitu fioletem zupy jagodowej, którą jedliśmy przy wtórze okrzyków matki, rodzącej najmłodszego brata. Kredens prawdopodobnie był piękny; po wielu latach matka rozpakowując prezent przywieziony z Krakowa przez szwagra Franciszka, dwie porcelanowe filiżanki Rosenthala, powiedziała:

– Byłyby godne tego pięknego, niebieskiego kredensu.

Tylko matka mogłaby trzymać Rosenthala w kuchni. Kredens był ostatnim świadomym usuniętym przez ojca śladem poniemieckiego dziedzictwa. Płatały się nieużywane sztucce, podejrzewane o posrebrzenie, może właśnie to podkuśiło któregoś z nas, bo zniknęły w niewyjaśnionych okolicznościach. Na zawsze zostały obraz „Świętej Rodziny”, stołowy krucyfiks z nieodłącznym towarzystwem dwóch lichtarzy, uwiarygad-

niające wizyty księży po kolędzie, wreszcie nieco większa replika krucyfiksu do powieszenia na ścianie. Ojciec potraktował te przedmioty jako uniwersalne, przynależne każdej chrześcijańskiej nacji, więc zawłaszczenie uznał za przekazanie wiary. Nikt, nawet partyjny pan Miecio, nie odważyłby się porąbać obrazu „Świętej Rodziny” ani przetopić srebra krucyfiksów, nawet gdyby „Święta Rodzina” była dziełem absolutnego beztalentia, a srebro najwyższej próby.

Najdobitniej uzmysławiały upływ czasu zapachy piwnicy i strychu. Wszystkie pomieszczenia, sprawiedliwie podzielone na trzy części, epatowały podobieństwem ponadczasowej, ponadnarodowej stęchliny, ale w naszych piwnicach pojawił się nowy, repatriowany patriotycznie, odorek kapusty kiszonej. Prawdopodobnie niemieccy gospodarze preferowali ogórki kiszone, niezbędne do kartofel salad; niby podobnie, ale z najistotniejszą różnicą upowszechniania, ponemiecki swąd atakował bardziej głowę niż nos.

Klatka schodowa rozpylała trudną do przyporządkowania czemukolwiek mieszaninę woni domowych pieleszy, przypalonych posiłków, potu zbiegających mężczyzn, perfum ostrożnie pokonujących czas kobiet. Gdybym w odpowiednim momencie wrócił z *Sanatorium pod klepsydrą*, nazwałbym wszystkie te zmysłowe podpowiedzi „alembikiem rasy”, ludzkiej rasy, porozumiewającej się bez potrzeby mieszania języków, smaków, zapachów – bo dom pozostał domem, bez względu na tożsamość mieszkańców.

Duszę domu, albo raczej duszność okoliczności, dopełniał ojcowski, obsesyjny rytuał przypisany pobliskim drzewom. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko północnej połaci domu, kwitły biodrzaste lipy, nie tak wysokie, rozłożyste, jak te czarnoleskie, rosły *sobie a muzom*, nie dominując sąsiadujących przez ulicę magnolii i bżów, chociaż teoretycznie krzewy nie miały szans w konfrontacji z drzewami. Co roku ojciec taszczył ze strychu niewielką drabinę, ustawiał ją pod lipami, bez pytania o zgodę zmuszał kogoś z nas, kto był pod ręką, do obrywania kwiatów. Matka pakowała zbiory do płóciennych worków, wysuszone dobro parzyła w specjalnie oddelegowanym imbryku. Herbatkę pili z ojcem, kiedy tylko był obecny w domu. Rzadkie rytuały spełniali w porcelanowych filiżankach Rosenthala. My profilaktyczną lipą odpędzaliśmy przeziębienia, znacznie częściej, ale zawsze z pospolitych, fajansowych kubków. Ciekawe, które właściwości lipy bardziej służyły ojcu, te uspokajające czy te moczopędne? Z natury był flegmatyczny, układ moczowy działał bez zarzutu, czego atestem była synowska gromadka.

Pierwszy pokój mojej wielodzietności dzieliłem (to słowo, chociaż niemagiczne, towarzyszyło mi przez całe domowe życie, jak migrena matce) z Tadeuszem. Walorem tego dzielenia była możliwość podbierania bratu pierwszych niezrozumiałych powieści; wszystkie miały biblioteczne pieczętki, bo nikt z domowników, oprócz mnie, nie kupował książek.

Po skończeniu podstawówki przenieśliśmy się w pojedynkę do najmniejszego pokoju, sąsiadującego z wielką kuchnią, odziedziczonego po Marku. Zdecydował, nieoczekiwanie, ojciec. Miał dość potykania się o moje książkowe marzenia, którymi już wtedy pomniejszałem wyimaginowaną przestrzeń życiową rodziny. To była najskuteczniejsza roszada ojca, ze zbiorem figury przeciwnika; chociaż Marek nie nadawał się na przeciwnika, nie wzbudzał żadnych emocji, ani wysokich, ani niskich.

Mój pierwszy pokój, tylko mój – to już osobna, niezależna, jedyna, nieskończona opowieść. Początek ucieczki w świat przedstawiony. Miejsce narodzin fikcji, która utrzymywała mnie przy niedotykalnym, niezależnym od niczyjej wiary, chuci, niefrasobliwości, życiu. Nazwałbym je, ze stosownie dojrzałym patosem, zmartwychwstaniem, nie mniej banalnie „życiem po życiu”.

Przed przeprowadzką pokój został wypatroszony ze śladów obecności starszego o sześć lat brata, który, żeniąc się z Barbarą, opuścił raz na zawsze dom rodzinny. Poza wyniesieniem kilku niezbędnych mebli, najistotniejszą już demolką było usunięcie z sufitu osobliwej tapety. Pedantyczny Marek hodował precyzyjnie uzasadniane iluzje o dalekich podróżach. Zanim zaczął je praktycznie realizować, przyklejał do sufitu widokówki z miejsc, o których tymczasowo marzył. Szybko cały sufit wypełnił się prostokątnymi zakątkami świata. Marek kładł się na amerykańce, godzinami wpatrywał w sufit, jak w niebo spowite rozświe-

tlonymi gwiazdami. Czasami jakaś gwiazda spadała. Marek powinien zamknąć oczy, pomyśleć o jakimś spełnieniu. Ale to nie były gwiazdy. Spadały naprędce przyklejane byle jak gumą arabską kawałki Paryżów, Rzymów, Nowych Jorków. Marek walczył nie tylko ze spadającymi z nierealnego nieba nierealnymi gwiazdami, bo nigdy nie dotarł do śnionych miejsc, ale przy okazji z realnie brzydko wyglądającym wykręcaniem widokówek w kabłąki. W żaden sposób nie dało się tego realizmu wyprostować.

Po Marku została pustka pokojowej tragifarsy: spakował usunięte z sufitu marzenia, przeniósł powykręcany, wyimaginowany świat w nowo-rodzinne peryferie. Niczego więcej z domu nie wyniósł.

Dlaczego więc w konfrontacji z takim „spustoszeniem” zwyczajne, w innych okolicznościach arcybanalne: piecyk łazienkowy, niebieski kredens, herbata lipowa uzbroiły moją wątłą pamięć? W łazience, przy pralce, w kuchni, naprzeciwko niebieskiego kredensu (od pewnego czasu figury symbolicznej), matka spędziła niealegorycznie większą część życia. Chcąc spędzić z nią więcej czasu, niż przed usypiającym telewizorem, musiałem/chciałem „prać”, „gotować”, dodając upierdliwą fanaberię suszenia kwiatów lipy.

Z wielodzietnego, „wielonarodowego” domu, zawieszonego między łąką, lasem a lipami, między ciepłym piekłem a wyblakłym niebem (takim go wymyśliłem), wyniosłem ukradkiem, wbrew woli, iluzję metryki, dokumentu przynależności. Chcąc nie chcąc do tego/takiego domu muszę wracać, nawet gdyby okazał się tylko punkcikiem archimedesowym. Jaśniej zapisałem to w prowadzonym od piętnastego roku życia DZIENNIKU: „Kiedy w domu ogłuchła ostatnia porcelanowa filiżanka, moja pamięć okazała się tym bardziej krucha. Nie zapamiętałem lęku chrząkających drzwi. Ziewały po każdym odejściu kogoś z domowników. Nie zapamiętałem zapachów znikających z szybkością światła po wyjściu z kiszzonej piwnicy. Kolory nie wyblakły, fioletowy język z błędzenia po lipcowym lesie, rubinowa herbata w ostatniej porcelanowej filiżance, która zaniemówiła, zanim zdążyłem cokolwiek usłyszeć. Nic, co mógłbym poczuć bez nazywania, używania zmysłów. Coś, co na końcu języka okaże się ostatnią brzytwą gatunku”. W domu czułem, zapamiętywałem więcej rzeczy niż ludzi. „Najbliższych”.

(2. nagroda w 21. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicza kultur”, Kargowa 2020)

**GPGP**

Great Pacific Garbage Patch now three times the size of France  
życzyła mi śmierci słusznie za to co jej zrobiłem  
więc nieustannie puchnie aż mam przerzuty do wiersza  
miałem być incelesem a zostałem niższym urzędnikiem  
Great Pacific Garbage Patch now three times the size of France  
nasz wspólny proces blaknięcia i zakwaszenie  
po lekcji historii nazwała mnie potworem  
(mnie a było wtedy mówione coś o nazistach)  
potwór narasta aż mam przerzutnie do kręgosłupa  
trzy razy myję ten sam ząb czytam ten sam nagłówek  
Great Pacific Garbage Patch now three times the size of France  
potwór ciągle narasta przydałaby mu się nazwa  
miałem zostać incelesem ale wybrałem poezję

### Życie po śmierci

Objects in mirror are closer than they appear  
po śmierci dowiesz się co o tobie naprawdę myślałem  
migające żółte tempo mojego oddechu  
stalkują mnie brzozy przydrożne gdzie mam to zgłosić  
już wiem po co są te różańce na lusterkach  
stacja jest nawiedzona ale tam zbieram punkty  
w następnym wcieleniu będę koniem na Gubałówce  
wierzysz to się módl żeby nie było drugiego życia  
już wiem po co bo teraz nie mam się na czym powiesić  
objects in mirror are closer than they appear  
coś do mnie dojeżdża z tyłu jakieś reflektory

## Wydechy

Metrum jednego wydechu tyle masz czasu gdy mowa  
ma dziury ale nie na oddech niestety choć ja coraz  
mniej oddycham coraz więcej piszę bo powietrze  
jest przereklamowane powietrze ssie powietrze  
ta instytucja demokratyczna ta mokra szmata  
od waterboardingu ten nawóz pod twoje umieranie  
więc kto nie woli być tylko filetem z człowieka  
pakowanym próżniowo w kokonie bezdechu

## Duszność

Ciągle budzą mnie w nocy ataki duszności  
plama potu na prześcieradle sąsiad pali fajkę  
szum samochodów jęk roztopiających się kotów  
jakieś kolano na piersi instruktor do spraw poezji  
szkolenia dla egzorcystów przekręcanie frazeologizmów  
szklanka zimnego wina w głowie list do ministra  
niepopłacone rachunki nieprzeczytane nagłówki  
wyłącz włącz ponownie odśwież odśwież odśwież  
szklanka ciepłego wina kolejny list do ministra  
kocie mięso w piersi instruktor do spraw poezji  
wyjący alarm samochodu cisza wśród kotów  
ciągle nachodzi mnie we śnie nawracający bezdech  
wyłącz włącz ponownie odśwież odśwież odśwież

# Historia miłosna

Urodziłem się w rodzinie muzyków. Mój ojciec uczył gry na klarnecie, ale umiał posługiwać się też innymi instrumentami. Matka była wiolonczelistką. Oboje związani byli przez całe życie z filharmonią w naszym mieście.

Dorastałem więc w otoczeniu, które wymagało ode mnie muzykalności. Od najmłodszych lat wykazywałem talent do gry na fortepianie. Już w wieku czterech lat umiałem zagrać fragmenty utworów Chopina, którego uwielbiał mój ojciec. To właśnie on uczył mnie wszystkiego. Wymagał dużo, może nawet zbyt dużo.

Prawie przez całe dzieciństwo trenowałem to, czego ode mnie wymagano. Byłem chwalony za sukcesy, ale też ganiony za lenistwo. Występowałem przed swoją rodziną podczas świąt bądź uroczystych kolacji. Kształtowano mnie od najmłodszych lat.

Gdy podrosłem i miałem już siedem lat, siadałem do gry tuż po śniadaniu i to jeszcze przed pójściem do szkoły. Później wracałem do domu na obiad, po czym szykowałem się na kolejne zajęcia do szkoły muzycznej. Wieczorem odrabiałem lekcje i grałem jeszcze pod nadzorem ojca przez kilkanaście minut.

Fortepian był dla mnie całym życiem. To wokół niego toczyło się moje młode życie. Nie przerwały tego nawet problemy małżeńskie moich rodziców.

Rodzice rozeszli się, gdy miałem dwanaście lat. Odnosiłem już wtedy lokalne sukcesy. Występowałem na małych festiwalach, zdobywałem swoje pierwsze laury, które motywowały mnie do dalszej nauki. Zamieszkałem z ojcem, swoim pierwszym nauczycielem, a matka wyprowadziła się z miasta. Żyliśmy więc tylko we dwóch.

Ojciec stał się jeszcze bardziej wymagający i szorstki. Oddaliłem się fizycznie od matki, ale to właśnie do ojca przestałem czuć cokolwiek.

Gdy zacząłem chodzić do liceum, moje życie się odmieniło i nabrało blasku. Poznałem mnóstwo rówieśników. Tych fajnych i tych mniej fajnych. Była wśród nich pewna dziewczyna. Szczupła blondynka o lekko szpiczastym nosie i pięknych, niebieskich oczach. Miała na imię Monika. Grała na gitarze, a gdy dowiedziała się, że uczę się w szkole muzycznej, zaczęła zapraszać mnie na różnego rodzaju spotkania.

Chodziliśmy na kawę, herbatę, a ona wciąż targała ze sobą na plecach gitarę. Posługiwała się nią dość słabo, ale miała duże zacięcie. Pokazałem jej kilka chwytów, które opanowałem już w dzieciństwie. Była zafascynowana mną i muzyką. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Spotykaliśmy się coraz częściej. Razem zrywaliśmy się z zajęć, aby pobyć chwilę ze sobą, wtaśając się po mieście, czy też przesiadując na parkowej ławce. Potem odwiedzaliśmy się również w swoich domach. Poznałem jej rodziców, a ona mojego ojca. Powoli staliśmy się nierozłączną parą.

Myslałem, że tak będzie już na zawsze. Ja i Monika. Ściskając jej nagie ramiona i wtulając się we włosy, czułem się wyjątkowy. Jej słodkie usta, piękny brzuch i opalone nogi były dla mnie niczym wyśniony świat, o którym nigdy wcześniej nawet nie marzyłem.

Wciąż ćwiczyłem grę na fortepianie. Ojciec powtarzał mi, że zbyt mało poświęcam na nią czasu. Chyba miał rację, bo na konkursach szło mi coraz gorzej. Najczęściej zdobywałem tylko wyróżnienia, a pod koniec liceum nie brano mnie nawet pod uwagę.

Doszedłem do wniosku, że mam to gdzieś. Nigdy nie będę tak dobry, jak oczekiwał tego ojciec. Przecież nie muszę. Mogę równie dobrze w przyszłości uczyć gry dzieci i młodzież bądź robić coś innego, związanego z muzyką. Tak samo zresztą jak on sam czy też matka. Gdy powiedziałem mu o tym, nie odzywał się do mnie przez cały tydzień. Później zrobił się jeszcze bardziej chłodny niż zazwyczaj. Dzwoniłem do matki i próbowałem u niej znaleźć zrozumienie, ale próżny był mój trud. Miała takie same zdanie jak on.

Ukojenie przyniosły mi ramiona Moniki, która mnie rozumiała. Od tej pory stała się dla mnie najważniejsza w życiu.

Bardzo dobrze zdałem maturę i musiałem wybrać dla siebie uczelnię. Byłem rozdarty w tym wyborze. Zastanawiałem się nad tym, w którym pójść kierunku. Ten sam dylemat miała Monika. Najchętniej uczyłbym się tam, gdzie ona i nie rozstawał z nią ani na chwilę.

Pewnego, ciepłego, czerwcowego dnia siedzieliśmy przy małym, okrągłym, kawiarnianym stoliku, rozstawionym na zewnątrz budynku. Upajaliśmy się świecącym słońcem i lekkim, ciepłym wiatrem.

Spoglądałem na Monikę, jej symetryczną twarz i jasne włosy, które targało powietrze. Zauważyłem, że była zamyślona i nieobecna. Nie uśmiechała się, tylko wydymała usta w dziwnej, obojętnej pozie.

– Wybrałaś już? – zapytałem, sięgając jednocześnie po filiżankę z kawą.

Dziewczyna spojrzała na mnie ze złością. Nie odpowiedziała. Odetchnąłem głęboko z żalu i zwątpienia.

– Wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza. Nie chcę cię stracić – powtarzałem jej zdania, które tłoczyły się w moim umyśle i duszy.

Spoglądała na mnie z wyrzutem, jakbym powiedział coś złego. Piła kawę powoli i w milczeniu. W końcu skierowała wzrok na mnie.

– Przemyślałam wszystko i nie chcę cię zranić, ale muszę ci powiedzieć... że nic do ciebie nie czuję – stwierdziła oschle, a z jej oczu poleciały strużki łez.

Po tych słowach zamarłem w wrażenia. Zupełnie się tego nie spodziewałem. Kochałem tę dziewczynę i była dla mnie wszystkim. Coś we mnie pękło. Poczułem się słabo i zacząłem głęboko oddychać. Wciąż nie wierzyłem, że to, co powiedziała, było prawdą. Jednak niewątpliwie tak właśnie było.

Po chwili wstałem i bez żadnej odpowiedzi poszedłem przed siebie. Zdewastowany psychicznie i fizycznie. Czułem, że muszę się natychmiast położyć i zasnąć, a później obudzić i stwierdzić, że to wszystko tylko mi się śniło.

Jednak to nie był sen. Tamtego dnia Monika mnie porzuciła. Przez pierwsze tygodnie nie wychodziłem ze swojego pokoju. Dręczyło mnie uczucie żalu, pustki i osamotnienia. Spaliłem jej wszystkie zdjęcia i wszystkie rzeczy, które mi ją przypominały. Nie było to jednak łatwe.

Otrząsnąłem się dopiero po sześciu tygodniach. Był deszczowy poranek, a ja dopiero co zbudziłem się ze snu. Usłyszałem, jak ojciec krząta się w kuchni. Wstałem i poszedłem, aby coś mu oznajmić. Stałem w progu i próbowałem nabrać odwagi.

– Wyjeżdżam na studia artystyczne do Poznania. To moja ostateczna decyzja – oznajmiłem łamiącym się głosem.

Ojciec odwrócił się i spojrzał na mnie z uśmiechem zwycięzcy.

– Bardzo się z tego cieszę. To rozsądne plany. Nie martw się o pieniądze, pomogę ci we wszystkim – powiedział, podszedł do mnie i przytulił.

Byłem zaskoczony jego gestem, ale sprawił mi wiele przyjemności. W końcu poczułem, że naprawdę mnie kocha i zależy mu na mnie.

Wynająłem niewielką, ale przytulną kawalerkę, która mieściła się w kamienicy, nieopodal poznańskiego rynku. Miała wysokie sufit i szerokie okna, wychodzące na niewielką uliczkę. Podobało mi się to mieszkanie, a także same studia, które rozpocząłem. Nie rozstałem się z muzyką i to z nią wiązałem nadal swoje plany.

Pochłonął mnie wir studenckiego życia. Nauka, odpoczynek, imprezy, niezliczone spotkania i próby. Moje życie znów nabrało barw i czułem się z tym dobrze. Nie chciałem się z nikim wiązać i nie dążyłem do tego. Miałem mnóstwo przyjaciół i to z nimi spędzałem swój wolny czas. Życie i nauka w nowym mieście okazały się dla mnie zbawienne.

Po trzech latach nauki osiągnąłem tytuł licencjata. Była wczesna wiosna, a ja postanowiłem uczcić to wydarzenie. Wróciłem do swego mieszkania. Byłem umówiony na wieczór ze znajomymi i miałem kilka godzin na odpoczynek.

Położyłem się w ubraniu na łóżku, z uśmiechem na ustach. Byłem zadowolony z siebie i swego życia. Byłem po prostu szczęśliwy! Upajałem się tym uczuciem w samotności. Odkryłem, że szczęście można odnaleźć samemu i wydawało mi się, że tak się właśnie stało.

Przebudził mnie odgłos dzwonka do drzwi. Podniosłem się zaskoczony, ale postanowiłem otworzyć, mimo że zazwyczaj tego nie robiłem. Spodziewałem się ujrzeć świadków Jehowy bądź innych zagubionych komiwojażerów.

Zdziwiłem się bardzo, gdy moim oczom ukazał się widok drobnej i niskiej szatynki, ubranej w biały, frotowy szlafrok.

– Cześć, mieszkam od niedawna po sąsiedzku. Chciałam zapytać, czy też nie masz wody? Właśnie brałam prysznic i nagle przestała lecieć. Nie wiem, czy to ogólna awaria, czy tylko coś u mnie? – pytała spokojnym głosem.

Patrzyłem na nią i poczułem, że zaczynam czuć do niej pożądanie. Nie wiem dokładnie dlaczego, czy zadziałał na mnie tembr głosu, sama wymowa, czy może jeszcze coś innego. Patrzyłem na nią zauroczony, a ona chyba to dostrzegła, bo zaczęła się figlarnie uśmiechać.

– Może sprawdzisz to, o co pytam? – odezwała się ponownie.

Przetarłem ręką oczy, aby obudzić się z tego dziwnego stanu, który tak nagle mnie ogarnął.

– Tak, tak, już sprawdzam – mruknąłem i nie zamykając drzwi, poszedłem w stronę łazienki.

Odkręciłem kran, a woda trysnęła mi na spódnie. No nie! – krzyknąłem ze złości. Jak ja teraz będę wyglądał? – pomyślałem zażenowany.

Opłukałem twarz i wyciągnąłem ze spodni podkoszulek, tak aby zakrywał mokrą plamę. Wyszedłem z pomieszczenia, szukając jej wzrokiem.

Stała naga u stóp mego łóżka. Widziałem dokładnie jej ramiona, drobne piersi i lekko zaokrąglony brzuch. Patrzyła na mnie, uśmiechając się niewinnie, jakby to wszystko było jakimś kawałem lub dziwnym snem. Podeszedłem do niej bez słów i zatopiłem w namiętym pocałunku. To była rzeczywistość.

Spędziłem z Marią kolejne dwa dni, nie wychodząc z łóżka. Nie mogliśmy się sobą nasycić i kochaliśmy się wciąż, robiąc krótkie przerwy na zjedzenie i wypicie czegośkolwiek. Wydawało mi się, że po raz kolejny spełniam swoje sny.

Gdy doszliśmy do siebie, po wykańczających, seksualnych igraszkach, zaczęliśmy się powoli poznawać. Spotykaliśmy się w kawiarniach, chodziliśmy do kina, teatru czy też filharmonii. Dużo ze sobą rozmawialiśmy i stawialiśmy się nierozłączni.

Maria była ode mnie starsza i właśnie broniła pracę dyplomową z malarstwa. Podobało mi się to, co robi i co sobą reprezentuje. Nie była seksbombą, ale ciekawą, mądrą i namiętą kobietą, z którą bardzo dobrze się rozumiałem.

Wydawało się, że jest nam ze sobą dobrze. Trwaliśmy w związku tygodnie, miesiące, lata. Maria po ukończeniu studiów zamieszkała ze mną i podjęła pracę w agencji reklamowej. Myślę, że oboje byliśmy zadowoleni.

Po dwóch latach ukończyłem studia z wynikiem bardzo dobrym. Zamierzałem znaleźć pracę w szkole, zacząć uczyć i nie wracać do Zielonej Góry. Wyglądało na to, że tak też się stanie.

Kilka tygodni po tym fakcie spędzaliśmy z Marią letni, ciepły dzień, siedząc na balkonie. Paliliśmy papierosy i piliśmy niezbyt wyszukane wino. Słuchaliśmy jazzu, który dochodził zza otwartych drzwi. Czułem, że moja partnerka jest w niezbyt dobrym humorze. Nie miałem jednak ochoty drążyć tego tematu. Wpatrywałem się spokojnie w gwiaździste niebo i delektowałem chwilą.

– Nigdy, nigdy... – odezwała się Maria, ale nie starczyło jej siły, aby dokończyć.

Spojrzałem na nią. Jej oczy były nieobecne, a wzrok pusty i daleki.

– Nigdy co? – zapytałem po prostu.

Odwrociła twarz w moją stronę. Dostrzegłem emocje, które widoczne były w jej słowiańskich rysach. Już wiedziałem, że nie będzie to łatwa rozmowa.

– Nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz – oznajmiła pełnym zdaniem.

Odruchowo spuściłem wzrok na podłogę. Poczułem, jak momentalnie zaschło mi w gardle i sięgnąłem po kieliszek. Nie wiedziałem, czy powiedzieć jej prawdę, czy skłamać. Co będzie lepsze dla mnie i dla niej? – pytałem sam siebie.

Wstałem i podszedłem do niej. Chciałem ją przytulić i pocałować, ale jednym gwałtownym ruchem mnie odepchnęła.

– Odpowiedz mi szczerze – powiedziała szeptem.

Nabrałem w płuca powietrza i odetchnąłem głęboko. Zawsze próbowałem być szczerzy. W stosunku do siebie i innych. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nie zawsze prowadzi to do rzeczy dobrych.

– Zależy mi na tobie, ale naprawdę nie czuję nic do ciebie. Przepraszam – wypowiedziałem słowa, zdając sobie sprawę z ich konsekwencji.

Nie płakała. Wstała z miejsca, dopiła kieliszek wina i wyszła z mieszkania. Nigdy więcej już jej nie zobaczyłem.

Wróciłem do swego miasta rodzinnego i rozpocząłem pracę jako nauczyciel muzyki w szkole podstawowej. Nie byłem związany z nikim i nie potrzebowałem tego. Byłem szczęśliwy w swojej samotności.



**Miłość w czasach zarazy**

Trudno jest kochać i trudno jest nie kochać  
Twoje jasne horyzonty,  
gdy lęk stoi przed drzwiami  
w dniach gorączkowych wiadomości.  
Prowadź myśli tam, gdzie za górami i lasami  
żyje się urodzajnie.  
I do przyszłości nas prowadź,  
kiedy tłumy kręcą się na rynku jak na karuzeli,  
a sklepiki i kawiarnie ruszają jak z kopyta.  
I lody liże się odświeżnie.  
Trudno jest kochać i trudno jest nie kochać  
Twoje jasne horyzonty,  
gdy choroba panoszy się po mieście.  
Ocal płynące poranki rozmów z dziećmi.  
Spraw, aby język najadł się śmiechem.  
Do przyszłości nas prowadź,  
kiedy można się witać i ściskać,  
przysunąć, by zamienić słówko  
w bliskości dosłownej.

**W rzeczy samej**

*Białoszewskiemu*

A klamek niestety nie kocham,  
bo wirują i zawirusowują.  
Szczerczą zęby metalem  
z nie wiadomo czym nad i pod,  
i dookoła, wypraszając.  
A dywany kocham,  
puszyste firmamenty  
i wzory zachwyty.  
Bezpieczne podróże,  
na czterech.  
A obrusy kocham?  
Można zaszaleć i zaszeleścić  
bielą i zielenią jak w lesie.  
I od razu raźniej  
w przepaści materii skończonej.  
A obrus obrasta i wyrasta nad.  
I chwala. Kocham.

# Dwa opowiadania z latarnią „w tle”

I

Grupka dzieci wybiegła z lasu, goniąc najmłodszego, ale najzwinniejszego Franka, który zwędził całą torbę „cementarnych cukierków” z jednej z odpustowych budek. Goniący byli zziębnięci, ale ciągłe potykanie się o korzenie drzew i krzewów sprawiło, że na betonowym podłożu poczuł przyływ sił. Śmiejąc się i potykając, tym razem po schodach trzydziestometrowej latarni, dopadli Franka przy zwężeniu w górnej części budynku. Zjedli cukierki w ciszy, zakurzeni, ale wciąż niezamordowani uśmiechnięci.

Latarnia była dawno opuszczona, choć miała swojego „widmowego latarnika” – człowieka, który był opiekunem budynku, sprawdzał stan schodów, ścian, gruntu wokół, doglądał codziennie, czy w środku nie urządziły sobie legowiska dziki lub podobni im, lubiący niszczyć wszystko wokół niemądry ludzie. Ot, strażnik z zamyślenia i ze smutku z powodu minionych lat, gdy latarnie były jeszcze jako tako ludziom potrzebne.

Jaga, najstarsza z czwórki, zauważyła, że skoro już wleźli tak wysoko, to czemu by nie wspiąć się na samą górę? Reszta dzieci ochoczo porzuciła plecaki i papierki po cukierkach, aby pobiec za nią po metalicznie dudniących schodach.

Poryw wiatru na górze zaskoczył ich. Pogoda bardzo szybko się zmieniła. Antek krzyknął, gdy podmuch wiatru porwał jego kaszkiet. W zastygłym milczeniu dzieci obserwowały długi przelot czapki, lawirującej w powietrzu raz w jedną, raz w drugą stronę. W końcu wylądowała.

– O tam, zobaczcie, co to?

Nadia wskazała ramieniem na obiekt leżący jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie wylądowała czapka.

– Sprawdzamy? – zapytała Jaga, marszcząc brwi.

Kompani podążyli znów za nią, tym razem bez entuzjazmu.

Na dole wszystko ucichło. Dzieci stały niepewnie kilka metrów za najstarszą. Jaga wiedziała, że jeśli teraz odejdą, to za kilka dni pękną z powodu narastającej w brzuchu dławiącej kuli. Zaczęła liczyć do dziesięciu. Nie doliczyła do czterech, gdy zerwała się z miejsca, runęła na chłodnym piasku przy obłym worku i szarpnęła za gruby zamek błyskawiczny. Brak reakcji najstarszej spowodował, że reszta podbiegła spłoszonym truchtem. Zobaczyli stertę starych książek, wilgotnych i uformowanych w worku w kształt ludzkiego ciała. Wszystkie miały oderwane okładki. Najmniejsza z książek, ułożona w miejscu, gdzie mogłaby znajdować się twarz człowiekopodobnej masy, również bez okładki, miała wyraźny, odręczny napis na pierwszej stronie, zaraz pod zamazanym tytułem książki: „Oto, co spotyka szorujących pokład nie dość dokładnie”.

Następnego dnia w południe Jaga przyprowadziła na miejsce funkcjonariusza miejscowej policji. Wórka z książkami nie było na miejscu. Nie było go nigdzie widać. Jak gdyby go tam nigdy nie było.

Dwa tygodnie później zgłoszono zaginięcie dużego kutra rybackiego wraz z całą załogą. Kolejne trzy dni później „odnalazł się” jeden z członków załogi. Morze wyrzuciło na brzeg jego ciało. W worku z grubym suwakiem spoczywały zwłoki z precyzyjnie usuniętymi poprzez mocne tarcie tkankami twarzy.

*Jeśli pragniesz spokojnego, niezmqconego koszmarami snu, nakarm wpierw swoje demony, aby uspokojone i łagodne mogły pójść spać razem z tobą.*

Zwaliste konary drzew zdawały się ugiąć pod ciemną masą nisko sunących chmur. Poprawiłem plecak i wzdrygnąłem się, bo na ramieniu wyraźnie poczułem chłód ciemnego skrawka obłoku, nieprzeniknionego jak toń Bałtyku obserwowana z moło. Lepiej nie narażać się na widok tych „ramion” chmur – wydają się być tak ciemne, jakby pożerały przestrzeń przed sobą. Lepiej iść prosto, nie narażając zbyt swojej wyobraźni. Przede mną jeszcze trochę chaszczy, a zaraz za nimi – nazywana tak przez miejscowych, czarna laterna.

Mała, bo kilkunastometrowej wysokości, dawno zarośnięta liściastym drzewostanem, sprawiała z daleka wrażenie samotnie stojącego, przysadzystego leśnego dziada. Ukryta była już teraz w niemal całkowitym cieniu. „Zaraz zapewne pogrąży się w czarnym obłoku” – nie zachwycała mnie ta myśl. Zerknąłem na nadgarstek. Kompas zaczął wariować, z każdym krokiem gwałtowniej – zgodnie z planem.

Ukradkiem zerknąłem przez ramię – zdało mi się, że ściana chmur przesła nieco bokiem już jakiś czas temu. Dobrze. Stałem tuż przed ramieniem ośmiościennego niskiego murku wokół latarny. Wskazówki nadal wariowały. Zrobiłem krok do przodu, stając już tym samym na terytorium budowli. Spojrzenie w dół – wskazówki znieruchomiały. Byłem jednak pewien, że wyznaczony przez nie kierunek jest błędny. Uśmiechnąłem się. Wszystko zgodnie z planem.

Gotowy zadać kłam legendom krążącym wśród mieszkańców regionu, jakoby laterna była wrotami piekieł, w której ludzie giną na zawsze, zacząłem wypakowywać sprzęt. Czujnik niskich dźwięków, aparat do pomiaru odchyień w polu magnetycznym oraz przyciąganiu ziemskim. Na prośbę kolegi, lubującego się w chwytaniu duchów, zabrałem też kamerę z czujnikiem ruchu na statywie i jakiś dziwny wihajster, który miał się podobno trząść, gdy duch będzie w promieniu kilku metrów. Niech mu będzie, sprawdzimy i to. No i najważniejsze – okulary noktowizyjne z funkcją nagrywania i robienia fotografii obrazów z podświadomości człowieka, gdy przez chwilę wydaje mu się, że coś kątem oka widział lub w wyraźniejszej formie – jako halucynacje wzrokowe. Aparat wykrywa też mikrodrżania gałek ocznych, które z powodzeniem mogą doprowadzić do bardzo realnych omamów wzrokowych, a przynajmniej do lekkiego stanu lękowego. Byłem gotów na ewentualność takich doświadczeń w tym miejscu. No i latarka. Kucnąłem przed samym wejściem do latarni, które było dziurą po drzwiach, przeklinając mój przepastny plecak, w którym wszystko było wymieszane. Gdy złapałem latarkę, miałem wrażenie, że grunt pod moimi stopami traci swoją gęstość. Gdy wyjąłem latarkę, szukając już włącznika, straciłem równowagę na dobre – ziemia się osunęła, a wraz z nią ja i wszystkie moje graty.

Upadłem z jakichś ośmiu metrów na miękkie dno, pokryte jakby czarnym, lśniącem skajem. Po moim ciełe w podłożu pozostał wgnieciony ślad. Dookoła stały lustra w kształcie sztachet od płotu – niektóre były węższe, inne szersze, ale tej samej wysokości. Wyraźne i jasne odbicia otaczały mnie z każdej strony, mimo że nie widziałem żadnego źródła światła. Podeszedłem do jednego z luster i od razu cofnąłem się. Odbicie przedstawiało nie moją rękę, ale rękę kogoś, kto ewidentnie cierpi na poważną chorobę skórną. Obejrzałem swoją skórę, oczywiście wrzodów i sinych plam ani śladu. Podeszedłem do innego kawałka lustra i zobaczyłem w nim sylwetkę może dwunastoletniego chłopca. Uśmiechał się nieśmiało, a ja zdałem sobie sprawę, że to mój uśmiech w reakcji na taki miły skądinąd widok. W pewnym momencie jednak odbicie się usamodzieliło, chłopak rzucił okiem w przestrzeń za mną, spojrzał na mnie szybko surowym wzrokiem i wycofał się nie wiadomo dokąd. Gdy się obejrzałem, w przeciwległym, szerokim lustrze zobaczyłem postać mężczyzny w sędziwym wieku. Przywołał mnie gestem dłoni. Z uśmiechem przyglądał się bogato zdobionej ramie, którą trzymał w rękach. Pomyślałem, że to jakiś obraz i zaraz mi go pokaże. Odwróciłem ramę w moją

stronę bez żadnego ostrzeżenia, w środku zaś było lustro. Widok potwora z moich dziecięcych snów sprawił, że zgiąłem się wpół z przerażenia. Nie mogłem jednak z jakiegoś powodu oderwać oczu od jego potężnej, granatowej sylwetki. Dziób jak u kruka, tylko bardziej zakrzywiony, cielsko wielkie jak góra i ślepia, które zjadały moje przerażenie, wnikając w źrenice głębiej i głębiej. Potwór jednak stał nieruchomo i sprawiał wrażenie zadowolonego z faktu, że go widzę i obserwuję. Oderwał w końcu ode mnie wzrok i pokazał mi się także z obydwu profili, z tyłu, obrócił dziób pod każdym możliwym kątem, a nawet naprężył bicepsy. Choć nie mogłem wyjść z oszołomienia, to zachowanie potwora sprawiło, że moje przerażenie, choć tak samo odczuwalne, zaczęło być mniej uciążliwe.

Na koniec tego osobliwego występu potwór skinął do mnie dwuszpniastym łapskiem i sięgnął za coś poza granicę lustra, w którym siedział – a było to kolejne lustro. W nim zobaczyłem swoją twarz. Ledwie się poznałem. Nigdy nie widziałem w odbiciu swoich emocji. Każda zmarszczka, ślady po ospie, każdy włos w brwiach, granica zuchwy zdawały się przeżywać ten nieopisany szok razem ze mną. Zobaczyłem w samym środku moich oczu największy, najpotężniejszy i szarpiący duszą strach, czując, że poznałem jakiś ułamek swojej duszy, który jest całkowicie nagi i prawdziwy.

Moja lewa stopa opadła kilkanaście centymetrów w dół, zachwiałem się i spojrzałem w dół. Miękkiej zaczął się ruszać i pełznąć. Był skręcony niczym ogromny, lśniący łuskami wąż. Ciało stwora przesunęło się przede mną, sunąc delikatnie po podłożu – o ile było pod nim jeszcze jakieś podłoże. Z lekkim strachem wypatrywałem wielkiej głowy, która powinna zaraz wynurzyć się z gadzich zwojów i połknąć mnie w całości. Jednak zamiast tego ciało stwora poruszyło lustro – zaczęły się składać jedno przy drugim, jak pakowane do pudełka kostki domina, by po dłuższej chwili zniknąć. Tak sądzę, że ostatecznie znikły, bo gdy obserwowałem te dziwy, poczułem niesamowicie otulający przyływ senności. Musiałem w tamtym momencie odlecieć.

Obudziłem się, gdy już świtało. Leżałem poza murkiem okalającym latarnię i miałem na nią bardzo ładny widok. Wyglądała w świetle poranka niewinnie, niepozornie, wręcz zwyczajnie, jak zapomniana ruina w środku lasu.

Poleżałem sobie tak jeszcze na wilgotnej i zimnej ziemi, trawiąc swoją traumę i analizując wspomnienie – bardziej omam czy koszmar senny, a może wynik odurzenia jakimiś wyziewami? Może wcale nie byłem tu sam? Podniosłem się w końcu. Obok mnie był plecak, a w środku wszystkie sprzęty, łącznie z latarką. Brakowało w niej jednak baterii, a miejsce po soczewce było zupełnie puste.

Anna Witkowska

# Robot – ogrodnik

Mój robot ogrodowy najwyraźniej miał dość grzebania w ziemi i pilnowania przyrostu roślin. Jego ciekawość, która pozwala zapełnić pamięć, w celu nauki rzeczy wymaganych od indywidualnego właściciela, zmierza w dziwnych kierunkach.

Kiedyś, doglądając mojej róży sycylijskiej, zastygł, kucając na jednej nodze i z pochyloną głową. Padał deszcz i stare przyzwyczajenia kazały mi się lekko zaniepokoić jego stanem. Gdy podszedłem, wyjaśnił mi, że rozważa możliwe związki pomiędzy słowami RÓŻA, RÓŻANY, RÓŻOWY. Bo przecież nie wszystkie róże

mają kolor różowy, a z pewnością też nie różany. Miał problem szczególnie z wyobrażeniem sobie barwy różanej i zapytał mnie, czy nie pozwoliłbym mu skorzystać z domowej biblioteczki, by mógł zasięgnąć informacji. Rozłożyłem ręce, szczerze wątpiąc, czy ten robot o archaicznym wręcz rysie charakteru odnajdzie cokolwiek w temacie palety barw w moich książkach.

Tak jak podejrzewałem, zainteresowanie różnymi aspektami języka nie skończyło się na ogrodzie i egzemplarzach botanicznych oraz odcieniach i kolorach, w jakich występują kwiaty. Zielniki i poradniki ogrodnicze łądowały na jednym stosie, na drugim zaś – właściwie wszystko inne.

Spodziewałem się, że niedługo może dojść do jakiegoś kłopotliwego pytania – jak to zwykle bywa z pytaniami maszyn do ludzi. Widok robota w drzwiach, ze słownikiem frazeologicznym języka polskiego, ścisłanego z wycuciem przez mechaniczne szczypce, wprowił mnie w dłuższą chwilę zmartwionego osłupienia.

– Odnalazłem niezwykłą książkę. Nie wszystko udaje mi się z niej rozszyfrować. Mówiąc szczerze, moja konsternacja osiąga osiem punktów w dziesięciostopniowej skali.

Usiadł obok mnie na kanapie. On – ze słownikiem, ja – z gazetą. Pomyślałem, że musimy wyglądać całkiem podobnie, choć jego emocje można było rozpoznać jedynie po różnej długości pauzach w aktywności.

– Co zatem dokładnie chciałbyś wie...? – nie dokończyłem nawet pytania, gdy przewrócił kartki i wskazał szczypcem jedno z wytłuszczonych wyrażień.

– O, tu. „Wpaść komuś w oko”. Załączony opis nie jest dla mnie jasny.

Obrócił kwadratową głowę ze szklanymi ślipami wprost ku mojej twarzy, aż musiałem się lekko cofnąć.

– Nie pojmuję. Wytłumacz mi, proszę.

Zerknąłem na wyjaśnienie w słowniku i spróbowałem je nieco przeformułować. Biedny robot nadal jednak nie rozumiał.

– Spróbujmy inaczej. Zrelaksuj się i opowiedz to tak, jakby nie robot, ale dziecko zadało ci pytanie. Ja będę analizować ruchy twojej twarzy. Może twoje emocje powiedzą mi więcej.

Odetchnąłem. Niech mu będzie...

Kiwnąłem głową, wyrażając aprobatę.

– Świetnie. Zacznę od pytań wprowadzających: wpaść komuś w oko znaczy, że samemu się wpa-  
dło, czy też osoba stojąca w zasięgu mojego wzroku wpadła do moich oczu? I co to oznacza w praktyce?

– Pewnego dnia dziewczyna potknęła się i wpadła do studni. Ta studnia to źrenica oka mężczyzny, na którego nie zwracała uwagi, dopóki się nie potknęła. Potknięcie, dajmy na to zahaczenie czubkiem buta o wystającą z chodnika płytę, symbolizować może poddanie się czynnikom zewnętrznym. Takim wiesz, ogólnozyciowym czynnikom. Odpuszczenie kontroli. Jednak czy mężczyzna zorientował się, że ma ją w oku? Ciężko stwierdzić. Myślę, że odnotował jedynie częstsze swędzenie rogówki, niezwiązane z niczym niecodziennym. Jednak małe ciało wewnątrz, niczym drzazga w skórze, zaczęło sprawiać problemy. W wyschniętej dotąd studni nagle pojawiła się niespokojna woda. Dziewczyna musiała wspinać się po kamieniach, a właściciel oka odczuwał pieczenie i drapanie już przez większość doby. Zaczął się nawet zastanawiać, czy w gałce nie ma pasożyta i czy nie powinien skierować się na badanie. Częste przemywanie oka pogorszyło sprawę. Woda w tym czasie uderzała na dziewczynę z góry i od dołu. Chlorowana i ciemna, gęsta niczym zimna magma. Nic przyjemnego. Którejś nocy dyskomfort spowodowany okiem sięgnął zenitu. Mężczyzna usiadł na łóżku i zaczął płakać z bezsilności. Na koniec jeszcze kichnął. Spojrzał na dłonie, które trzymał przy twarzy. Na jednej z nich siedziała dziewczyna. Wiesz, taka w mikroskali. I wtedy wiedzieli już o swoim istnieniu we własnych rzeczywistościach.

Krążyłem wzrokiem gdzieś po suficie, stopniowo wychodząc z opowiedzianej przed chwilą historii.

Brak odzewu ze strony robota był na tyle długi, że w końcu na niego spojrzałem.

– Jesteś niezwykle dziwnym egzemplarzem człowieka. Trzymaj, pisz bajki. – Osłupiałem ponownie, trzymając w dłoniach podany mi przez robota notatnik i długopis.

Tak. Trzeba przyznać, że ja i mój robot dobraliśmy się jak w korcu maku.

### Menora

Wysiedli z pociągu. On w zmęczonym prochowcu,  
już siwy. Ona wciąż piękna i elegancka, też siwa.

Wyszli na pustawą, zalaną słońcem ulicę.  
On gwałtownie odwrócił głowę  
i oczy zatopił w strumieniu pamięci.  
Ona uśmiechnęła się i oczy przetarła delikatnie,  
jak po wyjściu z rzeki zapomnienia.

On zobaczył tego mężczyznę zaledwie kątem oka.  
Starannie ukryty w zakamarkach  
płomyk menory raptownie zachybotał.  
Ona zobaczyła tego mężczyznę zaledwie kątem oka,  
niesiona fruującą na wietrze sukienką  
podbiegła, pośpiesznie chwyciła jego dłoń,  
niespodziewanie pocałowała go.

Kiedy trzymając się za ręce  
przekraczali bramę parku,  
pośród świetlistej zieleni, w obłokach,  
ponad ich siwymi głowami,  
słychać było głos.

Pewnie skowronek, była późna wiosna.

**Aniołowie**

Przymrużone łopianem oko stawu  
przegląda się w niebie

kąpiel biorą aniołowie szaleni  
z mokrych skrzydeł strzepują wodę

krople deszczu spadają na sad  
krzątają się pszczoły uparte

w gwarze ptaków zamiera cisza  
w oczach kotów przyczał się głód

przy stole nad talerzem konfitur  
siadamy chciwie czekając

może oko przymrużą  
znad stawu aniołowie

znowu będziemy mieli dom

**Późne lato**

Stoję i patrzę jak rudo-czerwona kula  
stacza się powoli w przepaść.  
Słysząc trzaski migawek aparatów,  
a kormorany, jak dwa posążki nagle  
przybyłych bogów, zastygają na bojach. Smutek  
rozstań – jak w koncercie Rachmaninowa.  
Tylko ziarenka piasku mrugają podrywane  
rzadkimi podmuchami wiatru i rudy  
pies przebiega wywijając ogonem. Jego  
szczęście unosi się i jak lekka mgiełka  
przykrywa plażę.

Wracając do domu, myślę o tobie  
i o tym, że może tego roku  
jesienne jabłka będą mniej cierpkie.

**Nie poznałem**

Nie policzyłem wszystkich księżyców Saturna  
nie zgłębiłem tajemnic dna Pacyfiku  
Febe to wciąż tylko antyczna bogini  
a odnaleziony skorupiak to zwykły krab

Nie poznałem mięśni ciała odartego ze skóry  
choć jego ból nie był mi obcy  
Liczba pi nie zawiodła mnie  
do nieskończoności

a przecież jestem

ze światem zamkniętym  
w dłoni tamtego chłopca

z leniwymi kotami w ogrodzie  
i wysmukłą sosną za oknem  
i z dziurą w płocie przez którą  
przeciska się czas

# Zapiski. Jesień 2020

## Codziennosc

Została nam codzienność, mająca wielką, kosmiczną pojemność. Trzeba o niej myśleć, pracować i mieszkać. I trzeba się jej trzymać, mocno trzymać, dbać o codzienne piękno, bo ważna jest realność, która człowieka otacza, skomplikowana realność spraw życiowych. Może to być całkiem skuteczne antidotum na nacierające z różnych stron, także z samego wnętrza, ułudne wizje, sugestie i wyobrażenia. Które jakże często okazują się źródłem dużych nieszczęść.

## Żniwa

Na polach żniwa, niepokoję się o nie w sierpniu każdego roku. Usiadłem na chwilę, patrzę, rozmyślam, położę się, chociaż to marnowanie czasu, gdy nic się nie robi, jednak ciało i głowa muszą odpocząć, zrzucić z siebie wszystkie sprawy, zacząć je od nowa, odkrywać świat. Czy mam rację?

## Problem

Problem codzienności jest nie do ominięcia, dotyczy każdego człowieka. Wypada na jej kształt wskazywać i uwrażliwiać na jej treści, w oparciu o nią formułować zasady moralne i inne, nie w pierwszej kolejności na metafizykę, z którą mamy coraz większe problemy, bo nie wiemy, jak ją transponować, transferować (to obszar dla wybranych) w codzienność, w której jest miejsce na wszystkie zagadnienia.

## Przyroda

Ogarnia mnie przerażenie, gdy myślę o obecnym stanie przyrody – faunie i florze na Planecie. Jesteśmy za sprawą takiego, a nie innego kształtu cywilizacji, jej maszynerii, ekonomii, polityki, pazerności, braku odpowiedzialności i braku szerokiej współpracy na rzecz przyszłości, za sprawą ignorancji, konsumpcji i głupoty, na szybkiej w skutkach drodze do samounicestwienia. Tylko stworzenie globalnego solidarnego kościoła – religii miłości, religii troski, pomocy, wybaczenia, religii odpowiedzialności za każdy metr ziemi, każdy oddech powietrza, każdy gatunek roślinny, zwierzęcy, tylko to winno być wielkim zadaniem. Tu się zmęczymy, tu pracujemy na swoje ocalenie, jest miejsce i wiele etatów pracy, dołożymy starań. Gdy czytam o obszarach ekologicznie zatrutych, zniszczonych, zdewastowanych chciwie i z premedytacją, o bezpowrotnie ginących tysiącach gatunków, to ogarnia mnie przerażenie. Czasy wszelakich pandemii przed ludzkością. Dotyczy to ekologii, moralności, wartości kulturowych, produktów żywnościowych. Równowaga ekosystemów uległa zachwianiu. Także to widać w poezji. Jej świata nie trzyma żaden rozpoznawalny ład, równowaga emocji i refleksji, więc trudno spodziewać się, by mogła mieć szersze znaczenie.

## Natchnienie

Wiersz się pojawił. Pojawiał się z linijki na linijkę, szło natchnienie. Pisałem w niedzielny, trochę pochmurny ranek. Ten bieg linijek zostanie. I będę mógł do niego wrócić. Niedziela i jej wczesne godziny wyruszają w drogę.

## Włodzimierz Korsak

Z Gorzowa za sprawą życzliwej pamięci Danuty Zielińskiej dosyć niespodziewanie dowiedziałem się, a potem otrzymałem pięknie wydaną książkę *Piękno w lesie* właśnie wymienionego wyżej Włodzimierza Korsaka, o którym można powiedzieć, że był pisarzem-przyrodnikiem, rysownikiem przyrody, a także myśliwym, co też z przyrodą jest ściśle związane. Poza wszystkimi funkcjami, które w okresie jeszcze przed drugą wojną światową pełnił, zwłaszcza jako Wielki Łowczy Rzeczypospolitej, można go z pewnością nazwać także „myśliwym” słowa, chwytającym w prozaicznych zapiskach niezwykle wysublimowany kształt, kolor i znaczenie przyrody. Był także „myśliwym” fotograficznego i rysowniczego obrazu. Wydał w tamtych latach sporo przyrodniczych publikacji. Postać to w ogóle niezwykła. Książka, która ukazała się pośmiertnie z zapisków, jest bardzo na czasie, trzeba to powtarzać, a samego Korsaka rzeczywiście można uznać za prekursora edukacji ekologicznej, bowiem natura, którą kochał niebanalnie, całym sobą, weszła ostatnimi laty w stan zagrożenia. Jego książki mogą przyczyniać się do jej obrony. Każde słowo tego autora, jak słowo baśni, to wyraz pochwały i apologii jej piękna oraz wpisanej w każdy jej leśny przejaw (liść, korzeń, pęd, łodygę i wszystkie stworzenia duże i małe) boskiej wartości, boskiego sacrum. Przyznać muszę, że jestem zachwycony urodą jego opisów, świadczących o posiadaniu niezwykłego daru wrażliwej obserwacji, np. o nocnym ptaku słońce pisze: „Posiada prześliczne cieniowane pojedyncze pióra, harmonijnie zmieszane są barwy szara, rudobrazowa i czarna, delikatnie komponuje z nich swą maskującą okrywą, jak mistycznym światłem skrzą się wielkie czarne oczy”. Z tak dogłębnych opisów składa się ten tom. Ale też wielką urodę tej prozy wzmacniają liczne, bardzo piękne i doskonałe technicznie fotografie Henryka Leśniaka. To dopełnienie książki *Piękno w lesie* jest wysokiej miary. Dodać w tym miejscu wypada, że Włodzimierz Korsak w 1961 roku, wraz z Januszem Koniuszem i innymi literatami, był założycielem oddziału ZLP w Zielonej Górze. Ta książka, luksusowo w dużym formacie wydana, winna doczekać się teraz opublikowania w mniejszym rozmiarze, w większym nakładzie, niekoniecznie na kredowym papierze, by być bardziej dostępną. Książka Włodzimierza Korsaka *Piękno w lesie* już bez mała sto lat temu miała być opublikowana. Pozostawała w rękopisach i szczęśliwie doczekała się swojego dnia. Miała zawierać podówczas dwieście fotografii przyrody zrobionych przez autora, które jednak tylko w małej części ocalały. Dobry czas dla tej baśni o lesie, o jego życiu, tajemnicach, zdarzeniach, porach roku i zapachach w końcu jednak przyszedł, dzięki staraniom edytorskim, organizacji, osób i instytucji, w tym obu naszych lubuskich bibliotek wojewódzkich.

## Skrawek łąki

Wychodzę na spacer lub jadę autem i za każdym razem patrzę, nie bez bólu, na spory skrawek podmokłej łąki, porośniętej olchami, przedzielonej kilkoma rowami, kiedyś meliorowanymi, w które wiosną wpływały z Odry ryby, w te czyste, płytkie wody na tarło. A teraz urosła tu grubo wysoka sterta wysypywanych: gruzu, plastików, puszek, betonu, szkła, cegieł, płytek, żwirów. Bo tak się komuś zachciało.

## Sierpień

Jeszcze jeden sierpień życia, powolne od rana godziny, prace w polach, ale dobrze, że powolne, bo można zdążyć myśleć, obserwować i reagować. Nic nagle nie degraduje ani nie pozbawia sensu, ani nie unicestwia. Żyć w spokoju to co innego niż w ciągłym zagrożeniu lub przerażeniu. Ludzie mają siłę mówić jeszcze o tym, co przeszli w pamiętnym Sierpniu. Ja nie mogę nawet słuchać tych strasznych relacji i opowieści. A oni ocalali, by świadczyć o tym, co ich spotkało.

## Tablica Michała Kaziowa

Pośród wielu tablic (cementarnych, drogowych, urzędowych, kamiennych, mosiężnych) są także tablice pamiątkowe, które mają żyjącym kogoś przypominać, ale też to, co dla ludzkiej wspólnoty ktoś zrobił. Umocowane

na fasadach domów tkwią jak stemple czci. Nawet wmontowywane są w chodnik, jak np. przed Muzeum. Michał Kaziów na swoją tablicę na pewno zasłużył, pokazał bowiem, jak mimo ciężkich okaleczeń (brak rąk i wzroku) starał się przezwyciężać bariery swojej sytuacji, swojego losu, w którym odzwierciedlają się wszystkie cechy człowieczeństwa. Widać wyraźnie, jak wielką wagę i sens ma życie nie wyłącznie dla siebie. Ci, którzy Michałowi w zasadzie każdego dnia pomagali żyć (np. Halina Lubicz, pani Stenia), a było i wielu innych (lektorów), sprawiali, że i Kaziów miał możliwość pomagać. Swoją misję życiową odnalazł w pisanym słowie, nie tylko w szeroko znanej opowieści biograficznej *Gdy moim oczom*, która wyszła w 1985 roku w wielkim nakładzie kilkudziesięciotysięcznym, ale i w następnych zbiorach prozy powieściowej i opowiadaniach: *Dłoń na dźwiękach*, *Zdeptanego podnieść*, *A jednak w pamięci*, *Z orchideą*, *Piętna miłości*, gdzie pokazywał ludzi pokrzywdzonych, zagubionych, niedających sobie rady z problemami. I te jego historie ludziom pomagały, podnosiły na duchu, stąd też chętnie był zapraszany na spotkania. W czasach ciemnych, trudnych latach stanu wojennego wielu potrzebne było pokrzepienie. Pisarskie pokazanie, że jest wyjście z każdej ciężkiej sytuacji, odnosiło pozytywny skutek. Miało pewną utylitarną wartość. Autor umiał także w bezpośrednich kontaktach trafiać do ludzi, zmieniać ich nastawienie do doznawanych cierpień osobistych, wiem o tym, bowiem mogłem te fakty przez bez mała 20 lat obserwować jako sekretarz literacki Michała Kaziowa. W 20. rocznicę śmierci Michała Kaziowa, na fasadzie bloku nr 12 przy ulicy Sucharskiego, w obecności kilkunastu osób, dzięki staraniom Roberta Rudiaka, została w gorące, wrześniowe południe, nie za dużym kosztem, odsłonięta tablica, która jego postać ma zadanie przypominać, tablica z banalnego szkła, przez którą widać wrzosowego koloru ścianę, do której czterema żelaznymi wkretami została przymocowana.

## Lekarz

Lekarz powiedział, że trzeba zrobić podstawowe wyniki i usg brzucha, a potem się zobaczy. Muszę się zarejestrować, najlepiej jutro z rana i potem udać się do fryzjera. Właśnie pobolewa mnie brzuch. Poza tym wrześnieowe ciepło szeroko rozlewa się.

## Dobrze

Dobrze. Jeszcze dokonywać małe-duże cuda przy pomocy słów. To też cud wchodzić w kontakt z dziwnością istnienia. Wszyscy są wrażliwi, ego każdego człowieka pracuje, czasami może nawet boleć. I po to są słowa, by łagodziły ten ból, jakieś rany.

## Morawski

Miałem niespełna 20 lat, kiedy było mi dane poznać gorzowskiego pisarza Zdzisława Morawskiego, pisarza mającego wtedy w lubuskim regionie jakby z marszu wysoką pozycję. Kiedyś odprowadzałem go na przystanek i życzliwie ostrzegł mnie, bym uważał na ludzi, którzy odsiadali więzienie. Potem odwiedziłem Morawskiego w mieszkaniu, usadowionym nad gorzowskim Empikiem, w którym często przesiadywał. Dużo rozmawialiśmy, zostałem poczęstowany przez panią Marię obiadem. Chyba mnie lubił, polubił na dłużej, bo czułem jego życzliwość i brak bariery. Napisałem o jego poezji szerszy esej, już po śmierci. W stanie wojennym powstał ważny poemat *Ziemia dla żywych*, którego nie chciało opublikować „Nadodrże”, ale ten utwór wkrótce ukazał się na łamach „Ziemi Gorzowskiej”. To była postać, której mentorskich zdań wysłuchiowano w kręgach partyjnych i nie tylko partyjnych z respektem. Jednak jego polityczność zupełnie mnie nie interesowała ani nie przeszkadzała w kontakcie, tylko człowiek. Poeta. Z przydomkiem „książę”. Który o coś starał się, miał swoje pojęcie i zdanie, podniósł celebrowane. Jego ówczesny biogram zawierał informację o pracy i szybkim awansie w Urzędzie Bezpieczeństwa. Ale nic dokładniej. Książka Dariusza Aleksandra Rymara, patetycznie zatytułowana *Przegrałem jak żołnierz* (Wydawca: Akademia im. Jankuba z Paradyża), przybliżyła właśnie w szerokim wymiarze ów polityczny wymiar autora *Słów o dzierża-*

wie i przez to, że znałem go osobiście, bardzo mnie zainteresowała. Sięga Rymar do zasobów archiwalnych i pozyskaną wiedzę interpretuje. Mimo jej niekompletności pozwala ona Rymarowi kreślić wizerunek postaci Morawskiego, pełen niejasności, tajemnic, dwuznaczności, co jest cenne. Możemy się nawet zastanawiać się, jakie były dokonania Morawskiego w utrwalaniu władzy ludowej, bo pewnie były, albo i nie. Czy popadł w jakimś momencie w niełaskę stalinowskiego systemu? Czy zapłacił cenę kalectwa w kamieniołomie, który wszedł do jego kilku wierszy. Nie dam rady o tej materii orzekać czegokolwiek. Jego poezja, jeśli można na tej podstawie formułować jakieś zdanie, pokazuje Morawskiego, zwłaszcza późniejszą poezja, jednak jako humanistę. I może to jest najlepsze świadectwo o Zdzisławie Morawskim.

## Kazik

Minęło 40 lat, jak znam się z Kazikiem. Kilka dni temu w sądzie składałem zeznanie jako świadek w jego sprawie. Powiedziałem, że odwiedzałem go w mieszkaniu przy ulicy Ptasiej, że we Wrocławiu był wzywany na przesłuchania, że jego spektakl *Prawdą żyjący*, oparty na poezji C. K. Norwida, został po premierze zdjęty ze sceny teatru w Gorzowie i potem Kazik nie miał już zatrudnienia ani perspektywy na życie w Polsce, że czuł się znękany psychicznie. Powiedziałem o rzeczach, które, udając się na emigrację, wysyłał w bagażach do Francji, i po otwarciu skrzyni okazały się być mocno zniszczone. O depresji związanej z sytuacją po „13 grudnia”, o współpracy z KOR-em, że dzięki niemu poznałem w restauracji „Ratuszowa” legendarną aktorkę Halinę Mikołajską, i o naszej wieloletniej przyjaźni. Tyle, ile wiedziałem. Wróciłem do domu zamucony całym tym przypomnieniem dalekiej już dosyć przeszłości.

## Nowy zbiór Urszuli Benki

Mit, magia, baśń, to głównie kierunki penetracji intelektualnych i twórczych, i wewnętrznych wrocławskiej poetki Urszuli Benki. Wydawnictwo Akwedukt wydało właśnie książkę *Pasja Jezusa z Nazaretu* naznaczoną tego rodzaju poszukiwaniami. Są to próby odczytywania poniekąd po swojemu, autorsko (jakże inaczej) czegoś bardzo istotnego w ludzkich dziejach; czegoś, co ich bieg uregulowało albo wytyczyło światu dalszą drogę. Predylekcje do wnikania w tajemnice istnienia zawsze Benkę frapowały. Zrozumieć i odczytać niegdyśjszy świat, w kategoriach bosko-ludzkich, życia-śmierci, sensu i nicości, który w swoich głównych cechach okazuje się, że jest/był taki sam jak świat dzisiejszy. A obecny jest jego owocem. Jaki jest, jakim owocem? Wyzwalaniem się? Wchodzenie poniekąd apokryficzne w krąg epokowych doświadczeń, ukrzyżowania, zdrady Judasza, eschatologii męki, milczenia Jezusa wobec Heroda w jego pałacu i drążenie archetypicznej istoty tych zdarzeń, „Całej tej drogi na szczyt góry”, to chęć jakby powtórnego przeżycia, zbliżenia się i dotknięcia tajemnicy, oczywiście. Fascynacja i zwątpienie, wzniosłość i turpistyczne wizje („Ciało wiersza w błoto się zamieni”), wchodzenie w niemożliwość zrozumienia do końca. Nie jest łatwo o najnowszy zbiór Benki pisać, ani czytać nie jest łatwo, choć pisać i czytać można. W końcu jej *Pasja Jezusa z Nazaretu* odwołuje się do Ewangelii, Drogi Krzyżowej Nazarejczyka. W tym zbiorze głosów jest wiele, banalnych, zaślepionych, ulicznych i tych eschatologicznych w poszczególnych stacjach (np. VII, VIII, IX, X), cechuje je też rozdarcie, ciemność, eskalacja doznań, dramat człowieczy, uniwersalizacja znaczeń, pytania o los i miejsce człowieka, rozpacz także. Jeden raz tej książki nie da się czytać, trzeba do niej wracać, rozważać odważnie, odczytywać kontemplacyjnie sensy poetyckie, symboliczne. Gęste są jej treści. Myślę, że przydatne w budowaniu pogłębionej, podmiotowej samoświadomości. Ale współczesność jest spłaszczona, wyczyszczona z takowych i zgubiła do nich drogę.

## Uważaj na siebie

Czym jest poezja, jeśli nie ściganiem się z ogromem rzeczywistości. Jest próbą mistrzowskiego przekraczania realności, jej zmysłowej jednowymiarowości, oporu materii, pokazowym nadawaniem rzeczom, myślom,

zjawiskom sensu innego niż ten oczywisty. Taka gra, takie zdarzenia ze światem muszą być udziałem każdego poety, artysty. Na różne sposoby czynione. Albo bywa to próba osiągnięcia celności wyrazu przy pomocy maksymalnego ograniczenia potoku słów, by kilkoma, jakby ostatnimi, absolutnie już koniecznymi i jedy-  
nymi (najlepiej jednym, tym poszukiwanym, boskim) – podłoać wręcz natrętnie jawiącej się wielości i wiel-  
kości świata, nie minąć się z nim, znaleźć to, co najważniejsze, więc skutecznie dojść do jego sedna, do czy-  
stego, niczym niezakłóconego kształtu istnienia. Albo – poeta próbuje tego dokonać w równie wirtuozow-  
ski sposób, jednak korzystając z wielości znaków językowych, form retorycznych, by użyć ich do nazwania,  
pochwycenia (jak to ma miejsce w poezji Urszuli Kozioł lub Tymoteusza Karpowicza) i naznaczenia słowem  
każdego przejawu realnego lub intelektualnego. Tą pierwszą drogą, drogą minimum słów idzie Jerzy Hajdu-  
ga, o czym świadczą jego kolejne zbiorki, zwłaszcza niedawno wydany *Uważaj na siebie*. Jego wiersze-poezje  
są bardzo krótkie, oszczędne, zdyscyplinowane, zwarte. To są jakby oszczędne odezwania się, westchnienia,  
retrospekcje, wyimki obrazowe, pojedyncze refleksje. Wokół nich milczenie, wieczność lub nicność. Poeta nie  
dodaje i nie uzupełnia tych treści, „przeczekam tę chwilę / z tobą też mogła / wrócić”, każdy z wierszy może  
być przykładem tej zasady, nie tylko retorycznego minimum, ale i lirycznego niedopowiedzenia. Poeta wie, jaki  
to sens, czytelnik musi do niego dochodzić, gdzieś umieścić obraz i krótkie frazy w swojej domyślnej wrażli-  
wości. Każdy wiersz po prostu zmusza do uruchomienia wyobraźni. I musi to minimum wystarczać. Tyleż jest  
w nim wypowiedziane, co przemilczane. Poszczególne trzy wersy mają w sobie duży ładunek napięcia zna-  
czeniowego. Niewątpliwie, stawka tej poetyckiej gry nie jest banalna, lecz dotyczy czegoś ważnego w mię-  
dzyludzkich relacjach. Słowo jest jak iskra, która wiele musi mieć mocy, by rozpaścić poetycki ogień. Czyli speł-  
nić swoją rolę, a spełnić w tej poezji oznacza wzniecić inny oczywiście ogień, bo wyzwolić wstrząs skojarze-  
niowy, otworzyć jakąś przestrzeń, drzwi, wyzwolić kontemplację, wskazać kierunek itp. Od doznania, od  
niezwykłej konieczności, dojść dalece dalej, ale już w milczeniu, które niczego nie degraduje, a tylko posze-  
rza pole duchowych skojarzeń: „powtórz mnie powtórz / przypomnij / szeptem”. Poetyckie miniatury Hajdu-  
gi są właśnie swego rodzaju skrótami szerszej realnej rzeczywistości, jego osobistych myśli i bardzo prywat-  
nych obserwacji, którym towarzyszą pola niedopowiedzeń. Ostrożność w nich, ale i pokora. Więc zmuszają do  
refleksji i odczytywania ich szyfru i sekretu, którym poeta wprost nie chce się dzielić z czytelnikiem. Ten szyfr  
i te liczne skróty i niedopowiedzenia zaciekawiają. Jest w nich też zawarta gra znaczeniowa, także opowiada-  
na lirycznie sfera podmiotowych życiowych epizodów, które zapisywane są jakby w notatkach. Nie decydu-  
je się Jerzy Hajduga na szersze narracje lub wykładnie intelektualne o swoim świecie, bo chce konsekwentnie  
uprawiać lirykę prywatności i dyskrecji. Ten subtelny ton przenika cały zbiór *Uważaj na siebie*. Kiedyś bym po-  
wiedział, że brakuje mi tu rozszerzeń narracyjnych, dzisiaj dostrzegam w takiej formie oryginalność poetycką  
(wydawca: Biblioteka „Toposu”, t. 182).

## Ja

Czuję, że pokonuję czerń nocy. Nie swoim światłem. Więc tym bardziej wiem, że jest to światło.

## Noc

Po nocy świat istnieje. Obudziłem się. Poszedłem do łazienki. Za olchowym lasem wstaje wrześniowe słoń-  
ce, więc znowu biorę się i piszę.

## Ktoś

Ktoś pyta, co sądzę o LGBT, bo to gorący teraz temat. Przede wszystkim nie chcę sądzić, ale jedno powie-  
dzieć. Niech ludzie nie zajmują się tak gorliwie nie swoimi sprawami, to dobry obyczaj dający gwarancję,  
no właśnie, życia w wolności, by nie okazało się, że domagając się tolerancji dla siebie, rani się innych i nie  
jest się po prostu tolerancyjnym.

## Poezja

Poezja to nie system myślowy, to zaskakiwanie wszystkim, co możliwe, więc niepotrzebna jest daleko idąca konsekwencja i logiczna spójność. Dodają jej siły także sprzeczności, fragmenty wrażeń, różnorakie nieprzystawalności, dalekie zestawienia rzeczy i skojarzeń etc. W wierszu trzeba zostawić siebie, swoje ja, dać tchnienie swojego życia, czucie, zmysły i zwłaszcza wyrazić doświadczenia, a doświadczeniem może być po prostu także treść świata zewnętrznego, jego barwa, zapach, kształt, brzmienie. Wszystkie zjawiska nie do ominięcia realnie, więc i w poezji nie do ominięcia. Każdy dobry, szczególnie stary poeta, o tym wie. Píše, że pada deszcz, że patrzy na dziewczynki jadące rowerami, na psa, na zmoknięte auta. To, co widzi, słyszy, czuje, dotyka, jest głównym ważnym doświadczeniem bytu, każdego dnia życia jako tego jedyne.

## Było

Było dobrze, siedzieliśmy na tarasie, jedliśmy obiad, piliśmy wino, potem piwo, wodę, paliliśmy papierosy. Rozmawialiśmy o polityce, gospodarce, uchodźcach z Syrii, Libii, książkach, ekologii i o zdrowiu. I... tak przysła noc.

## Z chmur

Słychać kapiące krople deszczu. Można się wsluchać w ich monotonię i melodię.

## J. Ł.

Pośród wielu zdań, jakie w telefonicznej rozmowie ze sobą zamienialiśmy, pewnego razu J. ni to z żalem, ni to stwierdzając oczywistą oczywistość, jakby dodał: „Człowiek jest istotą śmiertelną”. Dotarło to do mnie jako coś uderzającego, co wcześniej sytuowało się jakby poza świadomością, poza całą konstrukcją bytu, a tu nagle mocą wypowiedzianego krótkiego zdania, jak wyrok, wkroczyło w samo centrum ludzkiego i nieludzkiego świata, a nawet w moim pierwszym odczuciu zburzyło wszystko. Całe istnienie przenika śmiertelność.

## Szkic

Nie spał prawie całą noc. Płytki sen zmorzył go dopiero nad ranem. Potem jego głowę zaprzętały myśli o tym, co się z nim dzieje, co go jeszcze spotka w życiu i czy sobie poradzi. Lub nie. Martwiły go osobiste sprawy. Czuł ich trywialność. Duszę i ciało ogarniał bezwład. Odezwał się do samego siebie, więc co robić. Wstał. Chodził po pokoju, nie jadł. Patrzył przez okno. Wzruszył go przypomniany okrucieństwo. Kiedyś adresowany do niego. Już bez znaczenia. Był zmęczony wewnętrznie, wychudł w krótkim czasie. Dawała o sobie znać arytmia serca i bóle w biodrowym stawie. Życie zanurzało się w smudze cienia. Już nie umiał wyzwolić w sobie radosnych emocji. Zaczął liczyć lata i wyobrażał sobie, że tych lat prawie już nie ma. Wszystko prawie pożegnane.

## Promyk na kamieniu

Wzrusza mnie okrucieństwo, ten promyk na kamieniu. Okrucieństwo zaraz przestanie istnieć.

## Wilk

spociałam się tej nocy  
i już czułam że to porażka  
we śnie gonił mnie siwy wilk  
dwie słoty wcześniej  
biała wilczyca karmiła młode  
kremowym mlekiem

to wymaga telefonu do matki  
*już patrzę*  
*wilk to znaczy nowy początek*  
*siła*  
*przyjaciół*  
*dobrze życie*

to się nie trzyma kupy  
mamo  
nad ranem  
łowczowie strzelają do dzików  
a ja dostaję nóż pod żebra  
pierwszy raz w nowym roku

wilk to znaczy człowiek  
niepokój  
zdrada  
zdarzenie życiowo-losowe  
którego nijak nie opatrzysz zdjęciem  
i lajkami

## Dom

Trudno jest kochać ludzi  
tak szybko zawodzą  
otłuszczona po zimie  
otrzewna psa ogrzewa  
to nasze *scenari*  
które wygląda tak  
(bo takeśmy je zastali):  
na kuchennym blacie nóż  
i trochę rozlanego wosku  
dźwięki z głośnika  
pod sufitem  
jak rozdrażniona szarańcza  
grzejniki zapowietrzone  
dom jak noc  
spokojny i miękki

nie napiszą o nas „społecznicy”  
„kochali ludzi”  
ale ja napiszę  
że tu był niechwiejny płomień  
a na zewnątrz wataha  
że tu oddychałam głęboko  
a na zewnątrz pękała kra  
(bo takiego domu chcieliśmy)

**Dla tych pamiętanych aż za dobrze**

A więc tak czuje się  
Upstrzona otarciami i bliznami  
Ręka  
Posypana solą  
Lizana (zbyt wylewnie)  
Przez pijany język  
Tuż przed wgrzyzieniem się  
W cytrus  
Uprzednio skropiony  
Substancją chemiczną  
I obity jak ta ręka  
W transporcie  
Tak to się właśnie scala  
Ręka język i stado  
Zbolałych tkanek  
Kiedy obtłukujesz szklanki  
W zupełnie innym już  
Lokalu

**co się u ciebie dzieje**

pyta w mailu człowiek  
(siedzi teraz nad gorącym źródłem  
słucha skandynawskiego śpiewu a capella  
rozmyśla o istocie rzeczy  
obserwuje dzikie żmije  
dobrze mi życzy)  
dzieje się wszystko  
a najczęściej wszystko naraz  
w korporacyjnym pokoiku  
postawiłem kwiatek  
nocą wracam do drugiej osoby  
i na trzydzieści sekund przed zaśnięciem  
przypominam sobie o życiu najlepszym z żyć  
moim własnym  
cherlackim zwietrzałym  
w ogóle nie myślę  
o najtrwalszej skamielinie gnoju  
która po nim zostanie

# Księżę bez ziemi

(fragment powieści)

## 1. W Krainie Latających Szczyrków

– Kielce bardzo się zmieniły od czasów mojej wczesnej młodości, kiedy przyjeżdżałem tutaj z ojcem na targ. Kupował gołębie... – powiedziałem do Renaty, z którą po raz pierwszy wybrałem się w rodzinne strony. Naszego synka zostawiliśmy teściom w Nałęczowie i ruszyliśmy w podróż. Czuję się jak Odyseusz wracający po latach do swojej Itaki.

Wysiedliśmy na dworcu w Kielcach i od razu wskoczyliśmy do busa jadącego przez Nową Słupię. Na zardzewiałym boku pojazdu widniał napis „Transport aux Alpes”. Tutejsi przewoźnicy kupowali na Zachodzie wysłużone landary, trochę je remontowali i wypuszczali na drogi w Polsce.

– Teraz takie stare pudło jeździ po Górach Świętokrzyskich. Całkowita degradacja... Jak piłkarz po bogatej karierze w dobrym zachodnim klubie, trafiający na emeryturę do marnego klubiku na zadupiu, w jakimś Uzbekistanie czy Turkmenistanie... – zacząłem komentować. Futbolowe metafory ciągle się mnie trzymały, tak jak ja kurczowo trzymałem się futbolu. A futbol to było najlepsze wspomnienie z dzieciństwa i wczesnej młodości.

Kierowca włączył disco polo, które niemal wyparło muzykę ludową, uwielbianą przez mojego ojca. „Przypomnij mi, je, je, jak smakuje szczęście, je, je” – płynęły z radia naciągane rymy, a cały bus razem z kierowcą podrygiwał w rytm tego kawałka.

Myślałem o naszej wielkiej podróży po Francji. O szczęściu, jakie mnie spotkało. Niektórzy wracali z takich wojaży zamożniejsi, ja wróciłem z notatkami do powieści o emigrantach i żoną w ciąży. Wolałem to od zwitków eurasów.

Bus był zatłoczony, ludzie rozmawiali. Zawsze byłem wyczulony na moje rodzinne strony. Może nawet: uczulony.

– Oj, co to było, co to było – bulwersowała się kobieta rozmawiająca przez telefon komórkowy. – Otru-li ją trutką na szczury, to wylądowała na intensywnej terapii – mówiła, zajadając się cebularzem z piekarni „Pod Telegrafem”.

Znałem tę piekarnię. Na początku mieli tylko jeden samochód dostawczy. Zdarzało się, że jego kierowca zabierał mnie na stopa, gdy dojeżdżałem do liceum w Opatowie albo wracałem z treningów. Teraz to była ogromna sieć, wykraczająca daleko poza województwo świętokrzyskie. Gdy tutaj żyłem, literackie pomysły same przychodziły, wystarczyło nadstawić uszu.

Wysiedliśmy w rozkopanym centrum Nowej Słupi. Za pieniądze z Unii remontowano, co się dało, wszystko się zmieniało, jak za dotknięciem magicznej różdżki i jeszcze nikt nie myślał o tym, że ta różdżka została pożyczona.

„Może jeszcze kiedyś tutaj wrócę? Tylko czy mi wybaczą, że ich opisałem?” – myślałem, kiedy ruszyliśmy pod górę, w kierunku Świętego Krzyża. Ta góra położyła cień na całym moim dzieciństwie. Dopiero po latach zrozumiałem, że to był dobry cień, chroniący przed nadmiernym poparzeniem przez zycie.

– Kiedy byłem mały, razem z ojcem przemierzaliśmy tę drogę wielokrotnie – kopnąłem kamyczek, ot, taki nawyk z dzieciństwa. Podczas tych wędrówek ojciec próbował tłumaczyć mi świat, którego chyba sam za bardzo nie rozumiał.

Zajrzeliśmy do muzeum dymarek.

– Zrobisz mi zdjęcie? – poprosiłem, siadając na ławeczce przed chatką z gliny i drewnianych bali, imitującą lepiankę sprzed dwóch tysięcy lat. Byłem ciekawy, czy ktoś z naszych znajomych we Francji uwierzy, że ta lepianka to mój rodzinny dom. Nie wiedzieli zbyt wiele o Polsce, leżeliśmy poza ich kręgiem zainteresowań. Z drugiej strony, my, Polacy także przestaliśmy się interesować Francją po 1939 roku, kiedy Francuzi po raz kolejny w historii nas zawiedli.

W drodze pod górę minęliśmy posąg Emeryka. Podczas podróży po Francji, gdzie żebrałem w mnisim habicie, opowiadałem Reni legendę o figurze wędrującej na szczyt góry. Kiedy włożyłem habit mnicha i wystawałem w nim pod francuskimi katedrami, czułem się właśnie jak Emeryk. Przybyłem do Europy Zachodniej, skąd do nas przyszło chrześcijaństwo, a tam zastałem... niewierzących. I muzułmanów. Spoglądali na mój mniś habit ze zdziwieniem albo niechęcią.

– Nosiliśmy tędy worki z makiem zakonnikom na Święty Krzyż – mówiłem, gdy podążaliśmy przez las ścieżką zadeptaną butami turystów. – Wiele się zmieniło na górze, która od wieków była święta – dla pogan i dla chrześcijan.

Nawet gołoborze się zmniejszyło, jakby miało niebawem zupełnie zniknąć.

– W Górach Świętokrzyskich istnieje jeszcze jedno gołoborze, szczytnickie, ale mało kto o nim wie... – opowiadałem Reni. – Dopiero kiedy stąd wyruszyłem, rodzinne strony wydały mi się interesujące. To oczywiście banalne stwierdzenie, ale tak naprawdę było. Wcześniej – tylko niechęć, wręcz pogarda.

Święty Krzyż.... Kiedyś Łysa Góra. Łatwo było sobie tutaj wyobrazić pogańską gontynę zamiast kościoła. I moich wiślańskich przodków palących na jej szczycie święte ognie.

– Diabły kieleckie to była hołota, tacy drobni psotnicy... – opowiadałem Reni to, co zapamiętałem z dzieciństwa. – Gdzież im tam było do Wolanda! Te diabły teraz poprzenosiły się do Warszawy albo do Krakowa, ewentualnie powyjechały za granicę. Ale tam nadal są marnymi diabełkami, które robią marne świństwa, do czynienia większych brakuje im rozmachu. Polska to nie jest kraj dla szatana... ani dla Jezusa – urwałem, bo moja żona spojrzała na mnie pytająco.

W nocy, cichaczem, z pomazanego czarnym sprayem przystanku w mojej rodzinnej wsi, ruszyliśmy na usytuowany opodal szosy cmentarz. Odszukałem grób matki. Leżała obok ojca. Patrzyłem na jej zdjęcie, które podświetliłem latarką z komórki. Matka miała na nim ze 45 lat. Zmarła kilka lat później. Była za młoda, by umierać. Nie doczekała się wnuka. Pomodliłem się. Już dawno tego nie robiłem, prawie zapomniałem, jak się modlić. Chciałem porozmawiać z matką, brakowało mi jej trafnych odpowiedzi. To była mądra kobieta, chociaż niewykształcona. Z ojcem nie chciało mi się rozmawiać. Niewiele mógł mi powiedzieć – nie sprawdził się ani jako ojciec, ani jako mąż. Radziłem sobie w tych rolach lepiej od niego.

Coś zaszeleściło.

– Duch matki? – Zerknąłem na Renatę.

Gdy moja mama była młodą dziewczyną, zbierała zioła. Było w niej zakochanych wielu chłopaków z całej okolicy. Mieszkała sama, bo mój dziadek zginął jako partyzant na wojnie, a jej matka także wcześniej zmarła. Któregoś wieczora postanowiła wypowiadać się ze swoich grzechów. Rano szybko się ubrała, zjadła śniadanie, a potem popędziła w stronę kościoła. I pewnie by do niego doszła, gdyby nie spotkała sąsiadki, która zaczęła wypytywać ją o to i owo, i jak to zwykle bywa między znajomymi, czas szybko zleciał.

– Jutro pójde, na pewno – szepnęła więc moja przyszła matka. Jednak w nocy spadło tak dużo śniegu, iż ugięty pod jego ciężarem dach chaty wpięty zaczął jęczeć i zawodzić, a potem z trzaskiem runął

i moją przyszlą mamę przykryła śnieżna kołdra. Wówczas jej dusza usłyszała szelest. Przestraszyła się bardzo i pewnie czmychnęłaby czym prędzej, ale była jeszcze niezadarna. Usiadła więc na ramieniu kobiety i tylko cicho jęknęła.

– Jak mi pomożesz, przywrócę ci ciało – powiedział szelest, który był całkowicie kosmaty, miał rogi na głowie i stąpał dość pokracznie.

Dusza jęknęła w odpowiedzi.

– Widzisz, jaki ze mnie mały diabełek? Nie mogę urosnąć, bo jedynie ludzki strach sprawia, że ogromnieję. Bez niego jestem tak niepozorny, że ludzie nawet nie potrafią mnie dostrzec. Jeżeli złożysz przysięgę, że mi pomożesz wzbudzić w ludziach strach, wepchnę cię znowu w ciało i będziesz żyć tak długo, aż przyjdzie starość, nad którą władzy nie posiadam.

Dusza mojej matki zgodziła się, bo bez ciała było jej jakoś nieswojo. Lubiła delikatne mrowienie, kiedy posiadając jeszcze ciało, dotykała przedmiotów, zwłaszcza starych drzew. Albo to przyjemne łaskotanie w nosie, gdy wąchała aromatyczne potrawy i wywary z ziół. Dobrze знаła tajemnice roślin i często korzystała z ich pomocy, chociaż ludzie tak łatwo potrafili kogoś posądzić o czary, zwłaszcza jeśli to była kobieta.

Boruta pstryknął palcami i nagle dach chaty powędrował w górę, stare belki zasklepiły się, a śnieg zsunął się po dachówkach na ziemię. Dziewczyna otworzyła oczy i początkowo bardzo się ucieszyła, potem jednak posmutniała, gdyż nie zamierzała być na usługach czarta. Długo się tym martwiła, aż w końcu zarzuciła na głowę chustkę i pobiegła do kościoła. Tym razem nie zatrzymała się przed bramą, lecz szybko weszła do środka, zatrzaskując drzwi tuż przed rozeźlonym diabłem.

– Niech mi ksiądz pomoże, bom z diabłem pakt zawarła, a przecież nie jestem złą dziewczyną... – poprosiła proboszcza. – Ot, czasami ziółka sobie warzę, ale tylko w dobrej wierze i po to, żeby innym pomagać..

Ksiądz Molga pożałował dziewczyny, bo była młoda i jeszcze dużo dobrego mogła zdziałać, a potem klasnął w dłonie i wyszeptał, że z bożą pomocą to i diabła można pokonać.

Wieczorem, kiedy kobieta kładła się spać, diabeł przysiadł na jej parapecie i zaczął tak głośno walić w okno, że musiała je otworzyć.

– Dziewczyno, coś ty u księdza robiła? Widzisz moje ręce? Skurczyły się trochę, a przecież miałaś mi pomóc urosnąć. Wróć tutaj za tydzień. Jeżeli dalej będę mały, wówczas śmierć ze sobą przyprowadzę i kary nie unikniesz.

– Nic się nie martw. Za tydzień wszystko się zmieni – rzekła kobieta, zacierając dłonie, co diabeł wziął za dobry znak, bo był przecież mały i jeszcze niezbyt mądry. – Tymczasem jutro wieczorem idź na cmentarz, będzie pogrzeb, a ja ci pomogę żałobników wystraszyć.

Poszedł więc diabeł następnego dnia na cmentarz, a przy tym podskakiwał z radości tak bardzo, że nawet może z tego wszystkiego troszkę urosł, bo kot, który zwykle się go nie bał, teraz uciekł i zza drzewa jedynie swój łebek wystawiał. Ujrzał bies księdza w oddali i zdumiał się bardzo, gdyż ojczulek nad pustym grobem stał i coś mruczał, a zadowolony był przy tym, jakby się ulubionego gulaszu najadł. Zakradł się więc Boruta bliżej, oczy niepewnie przecierając, gdyż żałobnicy w wybornych humorach śmiali się i rozmawiali, jakby nie na pogrzebie byli, tylko na wesołej biesiadzie.

Wyskoczył na środek i zrobił groźną minę. Ludzie jednak zamiast się go przestraszyć, jeszcze bardziej zaczęli się śmiać. Diabełek podkurczył ogon, zmalął i obraził się piekielnie.

– Patrzcie, jakie małe, bezbronne diablątko! – krzyknęła dziewczyna. – Schwytajmy go, póki ma krótkie nóżki i nie potrafi szybko biegać.

Rzucili się więc żałobnicy na diabła, pojmali go i związali, a potem do trumny wrzucili, a wieko zabiłi gwoździami.

– Oto dzisiaj przyszło mi odprawić mszę za diabła – powiedział proboszcz i kazał spuścić trumnę na dno grobu.

Matce udało się wtedy przechytryć śmierć. Drugi raz już się to nie powiodło – przegrała z chorobą..

Ruszyliśmy ścieżką ku rozpadającej się bramie cmentarza. Przy wyjściu znajdował się grób księdza Jana Molgi. W powieści *Ludzka rzecz* Paweł Potoroczyn zrobił z niego księdza Morgę, żeby brzmiało bardziej chłopsko. Ksiądz Jan Molga uczył mnie religii w zerówce, niedługo potem zmarł.

Czy Polska była krajem, w którym mógł się pojawić Szatan albo Bóg? Interesować się nią mogły tylko małe diabélki, nie mogliśmy liczyć na rodzimych bożków, które wyginęły tak skutecznie, że nawet nie znałimy dobrze ich imion.

Przemknęliśmy przez wioskę słabo oświetloną drogą i dotarliśmy do mojej ojcowizny. Wielu chciało mi obić głębę za debiutancką książkę, wolałem nie rzucać się w oczy. Mimo ciemności dało się zauważyć, że dom się zestarzał, zarastał bluszczem, a zabudowania gospodarcze niszczały: zapadł się dach w opustoszałej oborze, stodoła wymagała remontu, ktoś ukradł drzwi od drewnutni. Wszędzie rosły pokrzywy i czarny bez. Brakowało gospodarza w tym obejściu. Jak to wszystko odbudować? Czy uda się zdobyć kiedyś na to budżet? Na literaturze? Na filmach?

We framudze drzwi czekało na mnie wezwanie od komornika. W końcu będzie trzeba zapłacić zaległą grzywnę za handel podrabianymi kartami telefonicznymi. Grozili, że jak nie zapłacę, to mnie wsadzą. Kiedyś zakładałem, że będę albo aż tak biedny, że tych długów nikt ode mnie nie wyegzekwuje, albo zostanę milionerem i spłacę wszystko od razu. Nie stało się ani tak, ani tak, więc musiałem te zobowiązania spłacać w ratach.

Ruszyłem do swego pokoju oglądać stare dyplomy, puchary, medale. Niektóre z nich zamierzałem zabrać ze sobą, żeby wspominać czasy, kiedy byłem potężny, przynajmniej w szkole i na boisku. Może moc znów do mnie wróci?

Wszedłem po schodkach na górę, gdzie znajdowała się sypialnia rodziców. Od śmierci matki niczego tutaj nie zmieniałem. Na stole leżał modlitewnik o zniszczonych okładkach, na oparciu krzesła wisiały jakieś stare sukienki, chustki na głowę. Ściany ozdabiały wyblakłe maty z mądrościami ludowymi. „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje” – to było ulubione przysłowie mojej matki. Zgoda pomiędzy nią a ojcem rzadko jednak się zdarzała. Ojciec potrafił zepsuć wszystko, o co matka tak się starała. Doprowadził naszą rodzinę do klęski, marząc o zbudowaniu Księstwa. Teraz tylko ja z naszego rodu mogłem je zbudować. I czyż nie budowałem jego podwalin, pracując nad książkami i scenariuszami?

Na końcu korytarza były przeszkłone drzwi. Pchnąłem je i znalazłem się w przestronnej kuchni. Znajdował się w niej ceramiczny zlew, olbrzymia lodówka, którą matka kupiła na raty niedługo przed swoją śmiercią, kuchenka gazowa i spory stół, nakryty dziurawą ceratą, na której widniały obrazki z sawanny. Stół nie miał głowy, bo przypaliłem mu ją kiedyś rondelkiem z jajecznicą. Na blacie szafki stał chlebak. Chleba nie kupowaliśmy, piekła go matka. Dlatego chlebak kojarzył mi się z matką. Gdy stąd wyjeżdżałem, schowałem do chlebaka notatki do swej książki o moim dzieciństwie. Obawiałem się, że zostały zjedzone przez myszy, ale nie – były tam, to po nie tutaj głównie przyjechałem. Zapakowałem pokreślone kartki do podróźnej torby i wróciłem do Renaty, która czekała na mnie w kuchni.

Utrzymanie rodziny to nie przelewki. W przypadku pisarza – bezpardonowa walka o każde zlecenie, spotkanie autorskie. Na boisku nie unikałem ostrych starć, teraz też nie zamierzałem odpuszczać. Od początku była we mnie niezgoda na klęskę. Nie chciałem mieć, jak mieszkańcy rodzinnej wsi, porażki wypisanej na twarzy. Zresztą nie tylko tak jak oni. Jak mieszkańcy Świętokrzyskiego. Jak Polacy. Jak Słowianie. Ale – czy ja na pewno byłem Słowianinem?

Znalazłem czystą pościel. Sprawdziwszy, czy się nie zaległy w niej mole, umożliwiliśmy sobie w niej z Renatą legowisko. Przed snem oglądaliśmy zdjęcia rodziców w starym albumie.

– To ona wybrała mi ciebie za żonę – przypominałem Renacie, patrząc na zdjęcie matki, na którym była młodą dziewczyną. Może nieco zbyt pyzată jak na mój gust, zbyt pulchnawą, ale ładną. Mogła mieć, kogo

chciała, tak się niekiedy przechwalała. Jednak wybrała mojego ojca. Robiłem wszystko, żeby moja młoda żona nie żałowała, że została ze mną. Gdy poznałem Renatę, matka mi się przyśniła i powiedziała, że mam się nią zaopiekować. Zawsze chciała „zatwierdzić” moją żonę, więc nawet po śmierci jej się to udało. To była świetna rada. Niedługo potem odrobiłem straty w rodzinie – urodził się nasz synek.

Zasnęliśmy. I wtedy ponownie zjawiła się matka.

„Wymienili zamki, czy co? Nie chcą, żebym do nich przychodziła? Sporo się tutaj zmieniło... Zajęta byłam, to nie przychodziłam, musiałam załatwić kilka spraw... Teraz wreszcie mam dużo czasu, choć tych spraw i tak się nie udało załatwić. Kiedyś wszystko było łatwiejsze, co to się z człowiekiem teraz porobiło” – mówiła do siebie, przeglądając swoją szafę w poszukiwaniu ulubionej chustki.

„Robiłam je kiedyś dla całej wsi” – powiedziała, rozkładając serwetkę, którą wyhaftowała.

Martwiła się, że dom się starzeje, dawno nie był remontowany. Przeczytała z niezadowoleniem wezwanie do zapłaty grzywny.

„No i jak oni żyją? Czy jakoś sobie chłopak radzi? Wszystko poświęciłam, żeby mu się udało. I co? Po co mu ta literatura była? To trochę moja wina, bo jak się zaczęły u niego te ciągoty, to mu jeszcze maszynę do pisania przydźwigałam na plecach z Ostrowca. Było go bardziej do roboty w polu gonić, może by mu przeszło. Prawo skończyłby, grosz godziwy by zarabiał. A tak to co? Żonę ma, synka ma, musi o nich myśleć. Pamiętam, jak on był mały. Kiedyś źle mu pieluchę założyłam, to kupa do łóżeczka wypadła, całą poszewkę trzeba było prać, tylko sobie pracy narobiłam przez tę niezręczność. Teraz są pampersy. Tetrowe były utrapieniem. Ile to się trzeba było tego naprać! Matko Boska kochana! Cały sad był nimi zabelony jesienią, ktoś mógłby pomyśleć, że jabłonie zakwitły zamiast owocować. I tych sztucznych zupek nie było, tylko kaszki się gotowało. O, garnek. Zupy bym mu ugotowała. Pomidorową lubił. Dlaczego nie mogę nic mu ugotować? Czy ta jego żonka dobrze gotuje? Młodą dziewczynę sobie wziął, to kiedy ona się miała nauczyć gotować? Teraz młodych to obchodzą tylko zakupy, wycieczki, kino, a nie garnki. Żyją jak koczownicy. Boże, na co mu przyszło, mojemu dziecku. Mówiłam, żeby się nie zajmował tą literaturą. Wynajmują mieszkanie i jak studenci żyją. Ciągłe na walizkach. Te walizki w kącie stoją, nierozpakowane, bo i po co rozpakowywać, jak nie wiadomo, ile pomieszkają? I co oni mają w tych walizkach? Ubrania, jakieś nagrody, dyplomy, talerze. Wszystko wymieszane. Bałagan. Powoli tracę już cierpliwość. Ale matka powinna wierzyć w swoje dziecko. Wierzyłam wcześniej, to i teraz muszę wierzyć. Zawsze mu pomagałam. – I mama się rozpłakała. – Jednego razu pojechałam do wydawnictwa do Warszawy i pytam się, czemu książki nie chcą mi wydać. Mój Boże, dwadzieścia razy powieść przepisywał i nic. Popatrzyli na mnie jak na wariatkę. Niby obiecali, że na pewno się odezwą, ale wrócili do swych zajęć i tyle. Nigdy się nie dowiedział, że byłam u tych wydawców, boby się na mnie obraził. Wtedy się zdenerwowałam. Mówię do niego: Jak ci nie chcą wydać, to sam to zrób. Masz tutaj złoty pierścionek po ciocie z Nowej Huty, bardzo drogi. Idź do lombardu i sprzedaj. I wydaj za to książkę. Tak zrobił. Dał mi pierwszy egzemplarz. A jaki był zadowolony! Co z tego, jak niedługo zaczęły się kłopoty. W tej książce całą naszą wieś opisał. Ale się wszyscy wściekli! Pobić go chcieli! Wójt to nawet na niego policję nasyłał! Nie miał odtąd życia w naszej wiosce, wracać do domu mógł tylko nocą. Baby w sklepie to mnie potem pytały: A jak się pani do tego swojego pisorza w domu zwraca? Na „pan”? A ja na to, też mi pan, w dupę bym chętnie dała, jak coś źle robi, ale na to się już nie odważę, bo za duży – matka spojrzała z uśmiechem w naszym kierunku.

– Czy to telefon tak dzwoni? Nie będę odbierał, bo to przecież nie do mnie. Kiedyś, jak był na studiach, to leciałam do słuchawki w podskokach, tak lubiłam z nim rozmawiać. O wszystkim mógł mi opowiedzieć, o wszystko poprosić. Pamiętam, jak mu głupio było, kiedy musiał powtarzać rok na studiach prawniczych. Długo się nie przyznawał. Byłam zdziwiona, bo w liceum piątkowym uczniem był. A tutaj – takie niepowodzenie. Do komisijnego doszło. Sprzedawałam więc krowę i poszedł zdawać. Nie zdał. Za rok – znowu nie. Co się stało? Przeszło go to? Chyba nie. Po prostu zajął się pisaniem. Oszukiwał mnie, że się uczy. Brał

pieniądze, moją krwawicę i pisał. Ale jak zobaczyłam jego pierwszą książkę, to mi przeszło. Tylko dlaczego on ze mnie zrobił taką prostą kobitę w tej swojej powieści? Szkół nie skończyłam, ale mądrzejsza byłam od tych, co pokonczyli. Brygadzystką w zakładach krawieckich mogłam zostać, jakbym maturę zrobiła. Nie zostałam, bo trzeba było w polu robić. Chłop mi nie pozwolił – podeszła do stołu, na którym leżał mój portfel. – Zdjęcie wnuka... – uśmiechnęła się. – Tak na niego czekałam. Zawsze lubiłam małe dzieci. Wszystkim sąsiadkom dzieciaki wyniańczyłam, a swoim wnuczkami zająć się nie mogę. Wymarzyłam sobie, że mój syn będzie blondynem i że będzie miał czarne rzęsy i brwi. I taki właśnie się urodził. Baby ze wsi mówiły, że musiałam się na kogoś zapatrzeć, to dlatego tak wyszło. Kiedy miał cztery lata, babka jedna mnie zapytała, ile moja córka ma lat. A ja mówię, że to syn. Ta na to, że za ładny na chłopczyka. Dla niej pewnie powinien być tylko trochę ładniejszy od małpy, nie ubliżając małpom, to byłoby wtedy dobrze. Dzieciaki przychodziły do niego w szkole i prosiły o rozsądzenie ich sporów. I on to robił. Mądry dzieciak był. Ludzie z całej okolicy się nad tym zastanawiali, co z niego wyrośnie. Naukowiec albo ksiądz. Krowę za krową z obory wyprowadzałam, żeby mógł się uczyć. A on co? Pisarz. Mój Boże! *Od Świętego Krzyża wicher wieje, hej!* Tak śpiewali kiedyś ludzie u nas na wsi. Kiedy to było? Moje zdjęcie w ramce... Ze dwadzieścia cztery lata wtedy miałam, pół Opatowa, gdzie jeździłam do pracy, się we mnie kochało... A ta jego żonka dużo szcuplejsza ode mnie. Co ona je, że taka szczupła? Może mało gotują? Czy ty aby, synku, nie głodujesz? Zawsze mu mówiłam: No i co tak siedzisz w domu? Idź między ludzi, rób coś. Nigdy nie wracał z pustymi rękami. Najważniejsze to mieć w sobie ciekawość świata i pracować nad sobą. Nie ma nic gorszego jak nuda. To po mnie on jest taki. Bogu dzięki, że do ojca się nie wrodził. No, w jedyną są tacy sami. W opowiadaniu historyjek. *Od Świętego Krzyża wicher wieje, hej!* A co to tak dzwoni?”

Obudził mnie dzwonek do drzwi. Wyjrzałem przez judasza. Z trudem go rozpoznałem, ale bez wątplenia był to Drabik, znajomy ze studiów prawniczych. Co go mogło tutaj sprowadzić? No tak, pracował jako windykator. Do tego mu się jego wiedza prawnicza przydała, jak wielu innym windykatorom. Za niezapłaconą grzywnę mnie ścigał!

– Trzeba jednak mieć coś nie tak z głową, żeby wybrać taki zawód – rzuciłem do niego, wychodząc przed dom.

– Wiedziałem, że w końcu cię namierzę, choć tu nie przyjeżdżasz... Nie ma się zresztą co dziwić. Wszyscy cię nienawidzą...

– Prawnik, najgorszy zawód. – Splunąłem mu pod nogi, niemal opluwając te idealnie wypastowane lakierki. – Zawsze oszukujesz. Albo udajesz, że wierzysz w czyjąś niewinność, chociaż to morderca albo pedofil, albo ścigasz niewinnych ludzi, gnoisz ich, bo chcesz się wykazać. Jesteś prokuratorem albo komornikiem...

– Nie filozofuj. Trzeba zapłacić grzywnę, bo pójdziesz siedzieć. Mogłeś odpracować, ale nie, ty sobie robotą rąk nie będziesz brudził... To teraz płać!

– Nie mam kasy.

– Ponoć z książek żyjesz. W telewizji cię widziałem.

Wzruszyłem ramionami. Co mu miałem tłumaczyć?

– Pewnie słabo zarabiasz, bo jesteś kiepskim pisarzem.

– Dorabiasz jako krytyk? – Tym razem udało mi się trafić śliną w lewego buta. Kiedy był na studiach, siedział w kiblu i przed lustrem uczył się na pamięć prawniczych definicji. Wszyscy kopaliśmy go wtedy dla żartów w dupę.

– Będę musiał zabezpieczyć te meble. – Teraz to on triumfował, kopał mnie w tyłek. – Zachciało się wielkiego świata? Ha? Opisałeś nas? – Śmiał się, mijając mnie w drzwiach. – No widzisz. Głupie książki piszesz – mówił, rozglądając się po korytarzu. Poszedł do kuchni.

Nie miałem żadnych argumentów na swoją obronę. Zacząłem się z nim szamotać o stary fotel, ulubiony mebel mojej matki. Pchnąłem go na podłogę, a wtedy zdjęcie matki spadło z biurka na jego głowę. Szkło się rozbiło i rozcięło wyłysiałą pałę Drabika.

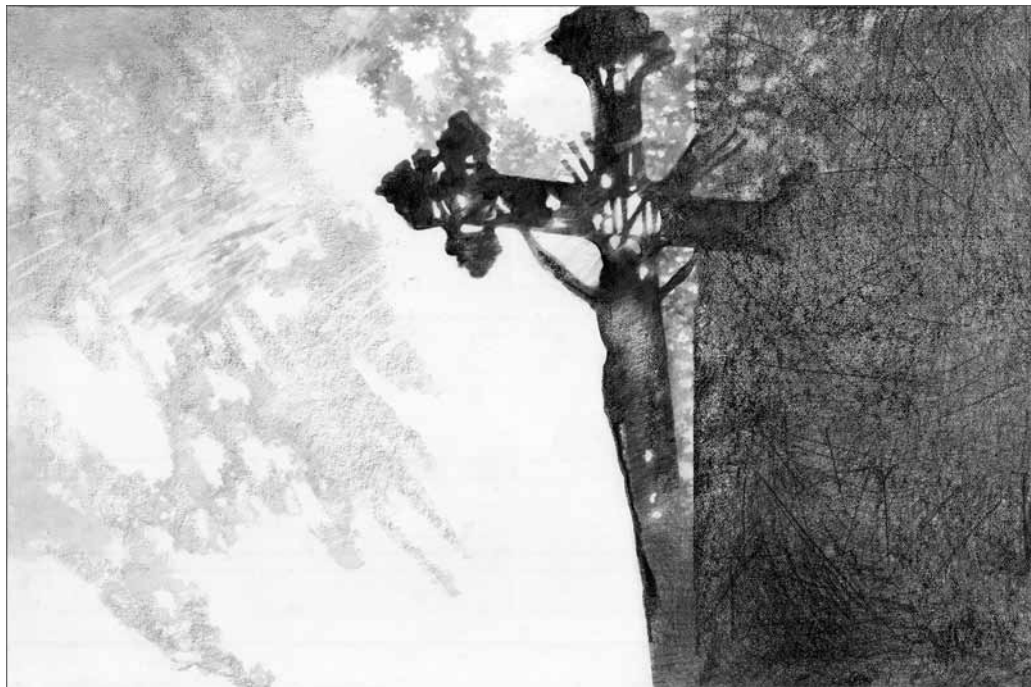
– Podam cię za to do sądu! – wściekł się.

– Moją matkę podaj! – zadrwiłem. – Mogę pokazać, w którym grobie leży... – Zamierzyłem się.

Wiedział, że mogę mu dać w ryja, pamiętał z czasu studiów, jak za akademikiem dostał ode mnie łanie po meczu. Nie tylko dlatego mnie nienawidził. Poza skończeniem wydziału prawa nic więcej mu w życiu nie wyszło.

– Jeszcze tutaj wrócę, z policją! Zniszczę cię! – odgrażał się, kiedy zamykałem za nim drzwi.

Nagle obok mnie stanęła Renata, a w jej wzroku zauważyłem ten sam zawód, który widziałem w oczach mojej matki, gdy ojciec znów coś zawałił.



**Lato**

Chyli się lato i znikąd idzie wielka zima  
Jeszcze przed chwilą było tu wszędzie  
Napisane porywem wiatru wody blaskiem  
Pełno śpiewu i kwiatów a teraz cichną  
I gasną oczy włosy oraz kobiety ramiona

Coraz więcej krawędzi i pustych łodyg  
Więc już po stronie cienia jest światło  
Tu i ówdzie próbuje nagle dać sygnał  
Powietrze i twarz ma zgubioną jasność  
Teraz w czyimś uśmiechu ostatnia przystań

**Od rana**

Od rana kwiaty katalpy snują się po domu  
Biało rozścielają swe czyste lekkie wonie  
Biorę wodę z kranu otwieram okno oddycham  
Płatki drobiny mają pamięć więc dalej kwitną  
Te wczoraj gałązki ułamane czyjąś ręką dla mnie

Zgarniam z twarzy sen i przyjmuję godziny  
Nauczyłem się je zatrzymywać zanim odejdą  
Wszystko jest dziwne chwilę zaledwie mieszka  
Lecz wraca aby nie ginąć bez nazwania  
Że wino piliśmy dla poezji nie dla marności

**Obraca się**

Wieczór się obraca nie zamyka drzwi  
Szelest liści i muzyka świerszcza  
Ma dalszy ciąg w sennej głowie  
A głowa objawia swoje nowe pomysły  
Które w wierszu wyjdą z cienia

Poza wierszem wysoka noc na progu  
Może z siebie coś mi odda i będę pisał  
Jak nigdy do tej pory znowu wiedział  
Że nie tylko dla ciała ani też dla chleba  
Rzeczy nienazwane są niekoniecznie z powodu

### Ambulans

Głośno pędzi więc słychać z daleka ambulans  
Na ekranie widać jaka to wielka sprawa życie  
Rozmawiać o kolorach lub o smakach jabłek  
Zmienić żarówkę w lampie i podać rękę biedronce  
I nie brać sobie lekko żadnej sekundy

Ambulans wyprzedza inne auta na drodze  
Żeby zdążyć na ostatnią chwilę i dać oddech  
Krzyk ten aby była nadzieja w przestworzach  
I przerażenie oznaczało naprawdę błaganie o litość  
I myśli człowieka wypełniały się nie tak śmiertelnie

# W oczekiwaniu na nowe słońce

Leżałem w łóżku taniego hotelu, gdzieś w jednym z tych bezimiennych miast na amerykańskiej prowincji, a obok mnie spała kobieta poznana siedem godzin wcześniej, chrapiąc przy tym okropnie i głośno, chyba na cały regulator. Nie mogłem spać, nie przez nią i jej krzywą przegrodę nosową, tylko w ogóle nie mogłem spać. Cierpiałem ostatnio na bezsenność. Nie spałem po kilka dni z rzędu, żeby piątego czy szóstego przespać cały, budząc się jednak przy tym co chwilę. Męczyły mnie koszmary, ciężkie i czarne jak smoła, zostawiające po sobie ból głowy i zimny pot. Bałem się zasnąć, wołałem już to męczące nocne nicnierobienie. I teraz, kiedy tak leżałem i leniwie wpatrywałem się w światło lamp za oknem, coś nie dawało mi spokoju. Za dużo myślałem, za dużo o złych, mało przyjemnych rzeczach, o których lepiej wcale nie myśleć. Spojrzałem na telefon. Dochodziła trzecia.

Przewróciłem się na drugi bok, twarzą do niej, i zacząłem się jej przyglądać. Nie była brzydka, ale nie była też ładna, chuda czy gruba, ani stara, ani młoda. Ja też taki byłem. Z tym że miałem jakieś dziesięć lat mniej. Nie wiedziałem, jak tutaj trafiła, jak trafiła do mnie, dlaczego jest teraz ze mną, nie znałem nawet jej prawdziwego imienia, ale właściwie to nie miało znaczenia, jej imię i jej historia. Ja sam nie miałem pojęcia, dlaczego jestem tutaj, w tym miejscu i w tym czasie. Musiałem się podnieść. Chciało mi się łać od dobrej pół godziny.

Włożyłem po cichu spodnie, zabrałem ze sobą portfel i telefon, a także kluczyki do auta. Zamknąłem bezgłośnie drzwi i wyszedłem na ciemny korytarz. Dopiero po chwili zapaliła się żółta żarówka nad moją głową, rażąca jasnym światłem. Kibel był gdzieś po prawej, znalazłem odpowiednie drzwi, załatwiłem się, umyłem ręce i przy tym zbytnio nie przeglądałem się w lustrze, bo doskonale wiedziałem, jak źle wyglądam, nieogolony, z czarnymi worami pod przekrwionymi oczami. Napilem się zimnej wody prosto z kranu, tak zimnej, że zaboląły mnie zęby, i wyszedłem. Na końcu korytarza były otwarte przeszklone drzwi prowadzące na balkon. Ciągnęło od nich, przeszły mnie ciarki. Podeszedłem, żeby je zamknąć.

– HEJ! JA TU JESTEM! – Usłyszałem, kiedy tylko złapałem za klamkę. To był kobiecy głos.

– Przepraszam – odparłem zdziwiony, ale też zmieszany. – Nie miałem pojęcia.

– Jasne, misiu – odpowiedziała jakaś ona.

Chciałem już sobie pójść, zdążyłem się nawet odwrócić, kiedy to znowu odezwała się z balkonu.

– Chodź tu na chwilę.

Wszedłem, nie bardzo wiedząc po co. Zobaczyłem ją, jak stała oparta o drewnianą balustradę. Wydało mi się, że była mniej więcej w moim wieku, ale jakoś bardziej zmęczona życiem, więc wyglądała starszo, gdzieś pod czterdziestkę, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Miała blond włosy, ułożone w jakiś dziwny kok i kilogram tapety na twarzy, ale koloru jej oczu nie mogłem dostrzec. Figurę miała natomiast niczego sobie, nogi długie i opalone. Naprawdę musiała mieć nie więcej niż dwadzieścia parę.

– Masz może fajki? – spytała, a głos miała, jakby wypila w swoim życiu tysiąc litrów najtańszego portu albo wypaliła tonę papierosów, albo jedno i drugie.

– Nie – rzuciłem krótko.

– A ogień masz? – nie dawała za wygraną.

– Też nie.

– Nie?

– No nie.

– Co z ciebie za facet, co?

Wcale nie spodobał mi się ton i sposób, w jaki mówiła.

– Facet jak facet – ożnajmiłem sucho.

– Chyba facet jak pizda – podsumowała, ale zaraz się uśmiechnęła.

Wyciągnęła z małej torebki paczkę fajek i poczęstowała mnie, ale odmówiłem. Prychnęła pogardliwie, wyciągnęła jednego i zapaliła go złotą zapalniczką. Zaciągnęła się, wypuściła dym w moją stronę i znowu się odezwała.

– W moim łóżku leży mężczyzna, którego poznałam kilka godzin temu – oświadczyła z jakimś takim znudzeniem.

– W moim też – powiedziałem, dopiero po chwili zdając sobie sprawę ze swojego przejęzyczenia.

– O! To nieźle... – przyznała ze srogim uśmieszkiem.

– Chciałem powiedzieć, że w moim leży kobieta – poprawiłem się.

– Brawo – pochwaliła.

Naprawdę zaczynała mnie męczyć tym swoim sposobem bycia.

– Słuchaj, chcesz czegoś ode mnie czy nie? – spytałem, nie kryjąc irytacji.

– Chcę – odparła.

– No to?

– Co ty taki niecierpliwy?

– Bo zimno jest...

Było zimno, bo stałem w samych bokserkach i boso. Objechała mnie z góry na dół, znowu zaciągnęła się papierosem, potem odwróciła do mnie tyłem i wydychnęła szary obłok. Chwilę przyglądałem się jej zgrabnemu ciału skrytemu pod czarną sukienką.

– Jak masz na imię? – zapytała ni stąd, ni zowąd.

– Mówią na mnie Hank – odpowiedziałem.

– Chciałam pogadać, Hank. Nie lubię palić w samotności – wyznała z cichym westchnięciem.

– Przecież się nie znamy – wytknąłem.

– I tak jest lepiej – rzuciła i stanęła do mnie przodem. – Co tutaj robisz?

– Mieszkam.

– No dobra, ale ja pytam, co tutaj konkretnie robisz?

– Nie wiem. Po prostu zatrzymałem się na kilka dni.

– Jesteś artystą?

– W pewnym sensie.

Znowu objechała mnie z góry na dół, tym razem dłużej zatrzymując się na moich białych nogach.

– Masz ładne nogi, wiesz?

Nie wyczułem w tym żadnego fałszu ani sarkazmu.

– Wiem. To jedyna rzecz, jaką mam ładną – przyznałem.

– To mówisz, że jesteś artystą. Żyjesz z tego?

– Nie bardzo.

- To znaczy co?
- To znaczy, że jeżdżę po takich hotelach jak ten i wykonuję drobne naprawy, tutaj na przykład zbiłem i odmalowałem tę balustradę, o którą się opierasz. A jutro rano mam coś zrobić z hydrauliką w kuchni.
- Czyli jesteś po prostu biedny.
- Może tak, ale niewiele mi potrzeba. Miejsce do spania i pieniądze na ropę. Nic więcej.
- Szkoda.
- Szkoda? – Może zabrzmiało to bardziej, niż chciałem, bo podeszła bliżej, patrząc mi wyzywająco w oczy. Potem westchnęła.
- Już miałam ci zaproponować numer, ale skoro nie masz pieniędzy, to cóż, twoja strata – wyznała, wzruszając ramionami.
- Moja – odburknąłem.
- Twoja, twoja – powiedziała to takim tonem, że naprawdę zacząłem się nad tym zastanawiać. – Wiesz, większość ludzi po prostu to robi i wcale o tym nie rozmawia. Ani po, ani przed, ani w trakcie. To dziwne. Robią to, ale o tym nie mówią. Jakby mówienie było bardziej gorszące od samego robienia. Myślałeś kiedyś o tym?
- Nie bardzo.
- A rozmawiasz o tym?
- Nie mam z kim.
- Kończyła palić swojego papierosa, zaciągnęła się łapczywie, a kropka żaru na jego końcu silnie się rozpałała.
- Moja matka powiedziałaby mi, że jestem puszczałka – oznajmiła obojętnie.
- Słuchaj, nie znam twojej matki – palnąłem.
- No – powiedziała i upuściła peta na podłogę z czarnej papy. – Ja też jej nie znam.
- Przez chwilę oglądaliśmy, jak pod hotel zajeżdża nowy cadillac o białych światłach. Wysiadł z niego jakiś gruby gość, dobrze ubrany, i kobieta, która wyglądała na kolejną dziwkę. Facet złapał ją za tyłek i zaśmiał się ohydnie i głośno, tak że doskonale go słyszeliśmy, ten śmiech, rozchodzący się skrzek pośród nocnej ciszy. Potem zniknęli w wejściowych drzwiach. Spojrzeliśmy na siebie. Odezwała się chyba zrezygnowana.
- Fajnie się gadało, ale muszę wracać do tamtego faceta. Wiesz, on zapłacił mi z góry za całą cholerną noc, a to rzadko się zdarza, uwierz mi. Cała noc to bardzo łatwy pieniądz, zwykle na dwóch razach się kończy, można pooglądać telewizję, coś poczytać albo poleżeć w spokoju. Rano muszę jeszcze zaprowadzić dzieciaka do przedszkola, więc koleś musi mnie odwieźć pod samo mieszkanie.
- Wyszła, nie oglądając się za mną. Chwilęostałem jeszcze w tym zimnie, wyglądałem z balkonu na podjazd, ale przeszedł mnie dreszcz i musiałem uciekać. Pomyślałem, że skoro i tak nie śpię, mógłbym się gdzieś przejść. Wróciłem do swojego pokoju. Światło było zapalone, a drzwi lekko uchylone. Jej, tej poznanej kilka godzin wcześniej kobiety, nie zastałem w środku. Zostawiła natomiast w pokoju niezły burdel, wszystkie szafki były pootwierane, kołdra leżała na podłodze wraz z przewertowaną torbą podróżną i jeansami, których kieszenie wywalono na wierzch, leżały tutaj nawet moje książki. Najwyraźniej szukała czegoś, czego nie mogła znaleźć. Bywa.
- Ogarnąłem trochę ten bajzel i ubrałem się ciepło, wciągnąłem na siebie kurtkę. Było przed czwartą, a na zewnątrz tylko kilka stopni na plusie. Wychodząc, spotkałem w drzwiach tego grubego faceta z cadillaca. Miał spoconą, czerwoną twarz i wyglądał jak buldog i najwidoczniej był zły, zobaczyłem to po jego oczach. Zatrzymał mnie, kiedy prawie udało mi się go wyminąć.
- Hej ty, masz może gummy? – spytał. Jechało mu z gęby.
- Gummy?
- No kondomy, prezerwatywy, kapturki, to gówno z folii, co się wkłada na małego, kiedy babce nie pasuje robić to tak, jak Bozia przykazała.
- Nie mam.

– No to, kurwa, muszę zapierdalać na stację benzynową, a rano mam zajeźbiec ważne spotkanie z inwestorem. No ja pierdole, no!

Poszedł do auta, nowiuśki cadillac zamrugał i gościa zaraz nie było, dał ostro po garach, zorał przy tym podjazd z małych kamyków. Założyłem na głowę czapkę i ruszyłem przed siebie. Mieszkalem tutaj od trzech dni, wiedziałem, gdzie iść – niedaleko był park z niedużym stawem, miejsce w sam raz, aby posiedzieć do rana. Nadal panowały ciemności, jednak czuć było w powietrzu, że zbliżał się świt, chłodne powietrze miało tę specyficzną świeżość, przesywało także boleśnie moje mięśnie i kości. Kroki roznosiły się w eterze, szedłem sam i nie spotkałem po drodze do parku żywego ducha. W samym parku natomiast, na zmurszałych ławkach, siedzieli troje dzieciaków ze smartfonami. Gadały głośno, ale kiedy mnie spostrzegły, przestały rozmawiać. Chłopacy udawali, że mnie nie widzą, a dziewczyna, na oko jakieś jedenaście, patrzyła na mnie z wyzwaniem. W końcu się odezwała, kiedy usiadłem naprzeciwko nich.

– Ty też grasz?

– Gram?

– No – odparła, przeciągając „o”. Miała jeszcze bardzo dziecinny głos.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi, więc nic nie odpowiedziałem.

– To grasz czy nie? – spytała zniecierpliwiona. Zaczęła majtać nogami na tej ławce i nie spuściła mnie na moment z oczu.

– Nie.

Zmarszczyła brwi, czoło jej spochmurniało i wyglądała tak, jakby się dłuższą chwilę nad czymś zastanawiała. Chłopacy nadal tkwili w smartfonach i przy tym jeden notorycznie pociągał nosem, a drugi uśmiechał się szeroko do siebie. Ona natomiast, po jakiejś minucie ciszy, wypaliła coś takiego:

– Ty jesteś tym pedofilem, tak?

– Jakim pedofilem? – zapytałem zaskoczony.

– No takim normalnym. Co lubi dzieci – odparła, jakby to była najzwyczajniejsza w świecie osoba, taki ktoś jak pedofil.

– Nie. To nie ja – zapewniłem.

Rozłożyła ręce w geście bezsilności i westchnęła.

– To co tutaj robisz?

– A wy? Co wy tutaj robicie ledwo po czwartej?

– Gramy se. Łazimy i łapiemy pokemony, a o szóstej zaczyna się *raid* i chcemy być pierwsi na spocie, bo jak się spóźnisz, nie ma miejsc później.

– Jaki *raid*?

– No na pokemonach, a jaki? Boss na pięć gwiazdek, legendarny pok do zdobycia.

Nic z tego nie rozumiałem.

– Rozumiem – odparłem mimo wszystko. – A co na to wasi rodzice?

– Nasi rodzice są na wyjeździe i nic oni na to. Babcia się nami zajmuje, ale jest głucha i dużo śpi – powiedziała ta rezolutna mała.

– I będziecie czekać do szóstej dwie godziny?

– Nie. Idziemy łapać dalej, nie ma co siedzieć, bo się nam *lure* właśnie skończyło. W nocy w ogóle jest lepszy *spawn* pokemonów, jest do tego *event* i opłaca się nabijać kilometry, żeby jajka wykluwać.

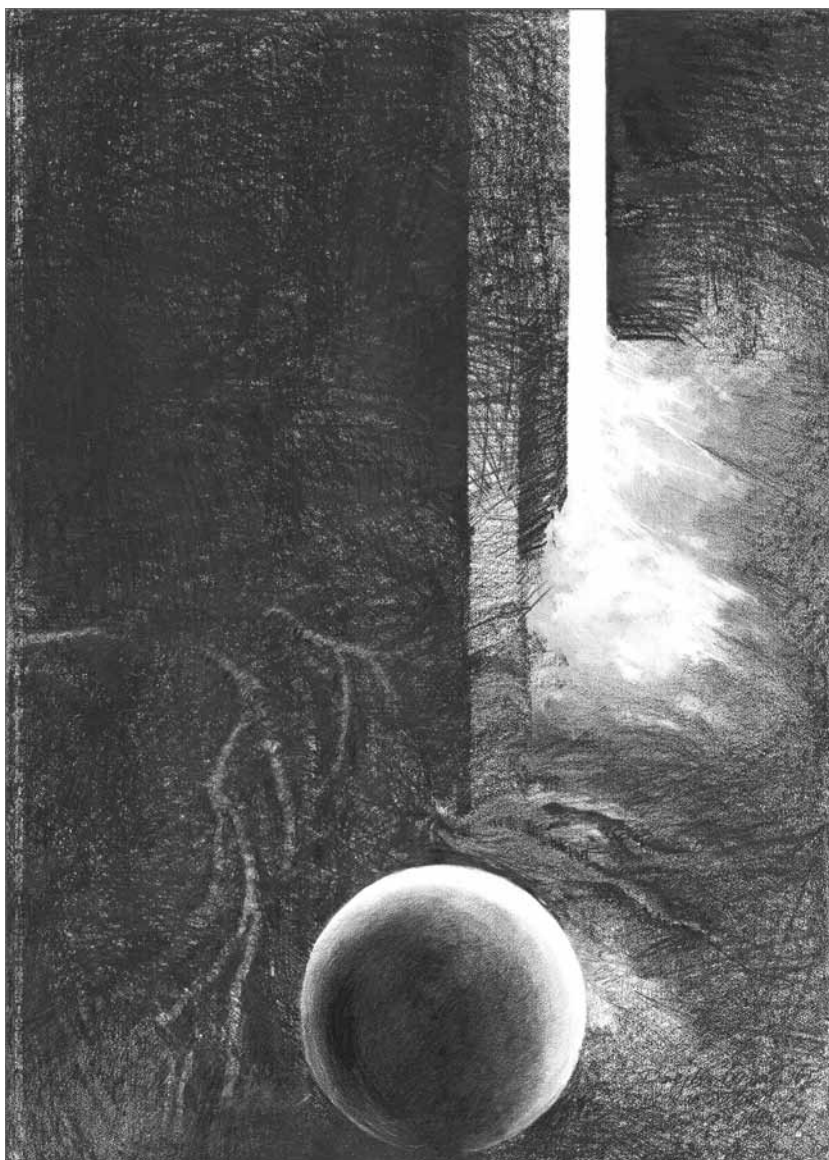
Skończyła mówić i dała znać chłopakom, żeby się podnieśli. Zostawili mnie samego i wcale nie pamiętałem, że dziś była niedziela, a jutro przecież zaczynał się normalny dzień ze szkołą. Dziewczyna miała mnie na oku, dopóki nie zniknęli za zakrętem. Posiedziałem kilka minut, wpatrując się w czarną taflę niewielkiego stawu. Nie myślałem o niczym konkretnym i to było miłe, tak sobie siedzieć i nie myśleć, kiedy to poranny wiatr gładził mnie po twarzy, a kurtka przyjemnie grzała. Ziewnąłem.

Potem wróciłem do hotelu, do tej całej reszty nocnych stworzeń niemogących nigdy zmruznąć oka, do ludzi o sumieniach nie do końca czystych, mających za uszami więcej lub mniej, tych wszystkich ludzi podobnych, takich jak ja. Powoli zbliżałem się do wejścia i pomyślałem o tym, że gdy skończę już z tą kuchnią, za dzień czy dwa będę musiał się zmyć, podziać gdzieś indziej.

Biały cadillac przejechał z furją tuż obok mnie, zrywając nawierzchnię z kamyków. Dzieciaki wyłoniły się z krzaków za budynkiem, miały nosy utkwione w swoich smartfonach. Blondyna z balkonu wyrzucała coś niskiemu facetowi, który właśnie wsiadał do auta. Chodnikiem, w moją stronę, szła kobieta z pokoju, który zdemolowała, a potem zwała.

– Słuchaj, obudziłam się, ciebie nie było, miałam ochotę na wino, a nie mam forsy i szukałam u ciebie, ale nie mogłam znaleźć. Poszłam na stację, koleś okazał się miłym facetem i kupił mi butelkę, zobacz – wyznała jednym tchem i pokazał mi to czerwone wino. Uśmiechała się szeroko, oczy jej błyszczały.

Patrzyłem na nią przez chwilę i pewnie kłamała, ale pokazałem w końcu, że ma iść ze mną. Zaczęło powoli świtać. Nowy dzień. Nowe słońce. Nam wszystkim, po raz kolejny, dane było je oglądać. Doczekaliśmy go w ten czy inny sposób.



## **Anatomia dziejów**

Eduard Pernkopf, austriacki nazista  
stworzył jeden z najcenniejszych atlasów anatomicznych człowieka.

Ilustracje wykonano podczas sekcji zwłok więźniów politycznych,  
homoseksualistów, Żydów.

Z jego arcydzieła korzystają współcześni chirurdzy.

Pod zdartą z człowieka skórą  
widzę nieludzką złożoność dziejów.

**Azymut**

Czasem trzeba pójść w przeciwną stronę,  
by lewa pozostała lewą,  
a prawa prawą,

by góra i dół żyły w zgodzie,  
a środek pozostał,  
gdzie jest.

Niech rdzewieją pułapki codzienności,  
a szuflady pełne ludzi pustoszeją.

**Anonim**

Patrzę na swoją czarno-białą fotografię  
jak na obcą osobę.  
Płowieję.

Czytam już innych autorów.  
Horoskop nieaktualny.  
Myśli nie te.

Gdy mam podpisać wiersz tą samą ręką,  
zastygam.

Nie znajduję miejsca dla dawnych słów.  
Znaczenia żyją nowym życiem.  
Rzucam inny cień.

Pod znakiem zapytania  
staje wiarygodność kolejnego wiersza.

Jego ponadczasowość  
to utopia.

**Dom**

*Maksymilianowi*

Kropla deszczu nie byłaby taka mokra,  
a dzień nie byłby nowym.

Mrówka w cukiernicze  
czy w atlasie nie robiłaby różnicy.

Odkąd jesteś,  
jeż w ogrodzie nie umyka uwadze,  
a trawa rośnie głośniejsz niż kiedykolwiek.

Gdy wyciągasz rączki,  
uczysz mnie chodzić, czuć, widzieć.

Choć to moje pierwsze kroki,  
wiem, że idę w dobrym kierunku.

Na spękanej dorosłością ziemi  
kiełkują twoje uczucia, wykluwają się myśli.

Nasłuchuję,  
milczę.

Z tej ciszy, niczym pierwszy człowiek na świecie,  
wykuwam definicję domu.

# Winiarka z Zielonej Góry

Lubię wieczorne spacerować po uliczkach Zielonej Góry. Miasto staje się baśniową krainą. Domy i uliczki zacierają się w półmroku światła płynących z okien i wysokich lamp. Światła są kolorowe od neonów, migoczących reklam i tworzących się cieni. W mroku wieczoru pojawiają się podwórka, na których nigdy nie byłam, nawet w dzień, a mieszkam tu już wiele lat. Trudno poznać wszystkie uliczki, gdy ma się domowe obowiązki, na spacer pozostaje niewiele czasu. Na emeryturze można dysponować swoim czasem, który „ucieka” coraz prędzej, a może my chodzimy coraz wolniej...

Uliczki tworzą urokliwy klimat i nie trzeba jechać w dalekie kraje, by być zaskoczonym, że tu obok, niedaleko, też warto wybrać się na spacer. Przenieść się w inny czas, ten przeszły, gdy inni ludzie budowali swoje domy, zakładali winnice, uprawiali ziemię. Jakie były ich dzieje – trudno do końca rozwikłać tajemnice codzienności. Na pewno były dni radosne i dni pełne łez. Były też zabawy, śpiewy, dni winobrania, barwne korowody. My dziś odbudowujemy dawną tradycję, zmieniają się tylko rekwizyty i możliwości.

Drzewa, rosnące w alejkach czy w podwórkach mają po kilkadziesiąt lat. Spotkałam wielkie platany, rozłożyste kasztany, potężne dęby. Tyle wspianiałej ciszy i zieleni. Swymi konarami chronią też kamieniczki, są niezastąpione w upalne dni lata. Każda uliczka jest inna, każdy zaułek ma swoją historię. Niewysokie domy tworzą niepowtarzalny klimat starego miasta. Wieżowce to już współczesna historia, inna zabudowa, inne przestrzenie. Stare miasto wyrastało w obrębie obronnych murów, które częściowo są zachowane. Mury te mają kilkaset lat. Na początku była wieś, potem miasteczko i miasto – w księgach kilka kart, historii 700 lat... To nasza Zielona Góra.

Zatrzymałam się przy ławeczce blisko małego placu. Okolony niskim parkanikiem, trawą i kwiatami, uwodził zielonymi winnymi krzewami. Centrum miasta, bliski ratusz, a tu cisza. Usiadłam. Słyszę:

– Psyt, psyt. To ja – Winiarka! Czekam na ciebie. Mam dzban z resztką wina z mojej winnicy, poczęstuj i chętnie też usiądę na ławeczce, bo te dzbany są ciężkie. Mieszkam tu. – Pokazała na posąg „Winiarki”.

Zawirowało, zaszumiło, Winiarka usiadła i nalała do pucharka wina – pyszne!

– Wiesz, Aniu – szeptała Winiarka niby powiew wiatru – tu się urodziłam, znam każdy kamyk na tej ulicy. Niedaleko stąd miałam swoją winnicę. U podnóża Góry Ceglanej przy potoku Złota Łącza. Dostałam ją w spadku po rodzicach. Teraz tam jest Palmiarnia!

– Och! Winiarko, dziś Złota Łącza przepływa przez moje podwórko, tylko że jest ujarzmiona i głęboko ma poprowadzoną drogę przepływu, nie płynie swobodnie po wierzchu jak kiedyś, aż do Przylepu i dalej... – Zrobiło mi się smutno... W Zielonej Górze jest dużo źródełek, sama chodziłam po wodę na Wzgórza Piastowskie – dawno to było.

– Aniu, dawno z nikim nie rozmawiałam, wszyscy się tak spieszą... – Oczy Winiarki błysnęły, zapaliły się w nich iskielki. – Tylko czasem słyszę pstrykanie aparatu... Mam tylko 20 minut, kiedy mogę snuć wspomnienia... Aniu, masz tyle czasu? – zwróciła się do mnie. – Opowiem ci moje dzieje. Z moim chłopcem – Hansem, nazywanym Bergiem, znaleźmy się od dawna. Na mnie wołali Zielona – Grun. Pokochałam go. Spotykaliśmy się, a rodzice wyrazili zgodę na nasz niedaleki ślub. Wszystko się zmieniło, gdy dostał powołanie do wojska. Musiał się stawić za kilka dni. Wzięliśmy ciche śluby. Pojechał – ja nie płakałam, nie chciałam powiększać jego

smutku. Dostałam od niego kilka listów, do dziś są schowane w sercu. A potem przyszło zawiadomienie o jego ciężkim stanie zdrowia po wybuchu granatu. Był w szpitalu, ale już więcej żadnych wiadomości, co się stało, gdzie jest, nie dostałam. We śnie powiedział mi, że czeka na mnie o godzinie dziewiątej wieczorem, tu na tym placyku... Czekam do dziś i mam tylko 20 minut.

– Dlaczego? – zapytałam.

– To już inna historia. Gdy minęło kilka lat, ktoś chciał zająć miejsce Hansa. Ja odrzuciłam stanowczo propozycję. Za to dostałam zaklęcie: będziesz tu stała i czekała, aż ktoś z tobą porozmawia 20 minut! I opowiedz swoje dzieje, Winiarko!

– Winiarko, czy ja posłucham? Oczywiście! – odpowiedziałam.

– Aniu, widzisz ten dom naprzeciwko? Tam się urodziłam, a do szkoły chodziłam tu niedaleko, taki duży budynek, dziś to przy ulicy K. Lisowskiego. Czy wiesz, Aniu, że po wojnie był tam dworzec PKS, a autobusy parkowały na placu przed kościołem? Zawsze słyszałam, kiedy zapalają motory. Stanowiska odjazdu były między drzewami kasztanowców, ale wiele z nich zostało ściętych.

– Pamiętam! – odpowiedziałam.

– Ja – po rodzicach – otrzymałam winnicę, ale także zainteresowała mnie historia miasta, wtedy nazywało się Grünberg – to ja Grun i Hans Berg po ślubie. Muszę uważać – dla mnie nie istnieją odległości i zegary, wszędzie jestem już... Sama musisz sprawdzić i uporządkować, co, gdzie i kiedy dokładnie się działo.

Prawa miejskie Grünberg otrzymał w 1323 roku. Rozwój miasta zawdzięcza też Henrykowi IX – piastowskiemu księciu, właścicielowi tych ziem. Kiedy podczas wielkich mrozów w 1453 roku zniszczone zostały winne krzewy, sprowadził nowe sadzonki i odnowił uprawy. Pielęgnacją plantacji zajmowali się winogrodnicy, a produkcją wina – winiarze. Na 700 ha było 2200 winnic. Bardzo znana była wytwórnia win Gremplera i spółki.

– Wiesz, Winiarko – wtrąciłam – do dziś w Muzeum Wina jest oryginał dna beczki z napisem „Grempler Co – G. gegr. 1826 – Grünberg in Schlesien”.

– Aniu, opowiem ci legendę o Bachusie. Jest bardzo zawiła, częściowo tłumaczy, dlaczego na wzgórzach wokół Zielonej Góry powstały winnice. Otóż, gdy Bachus naraził się swoim nieposkromionym i rozpustnym życiem tytanom i Herze, zabili go. Atena Pallas krwią Bachusa pokropiła wybrzeża Morza Śródziemnego, Francję, obszary nad Renem i Mozę. Tam gdzie spadła, ziemia nadawała się do uprawy winorośli, jedna z kropel doleciała do Zielonej Góry...

W 1850 roku zorganizowano wielkie święto z okazji 700-lecia zielonogórskich winnic. Przyjechali winiarze i ogrodnicy z całej okolicy, bawiono się świetnie. Co roku po zbiorach była wielka parada Święta Wina!

Wiem, że były lata cieplejsze i mroźne, kiedy krzewy wymarzały. Dwie wojny światowe też przyczyniły się do upadku winiarstwa. Pozostały zbiory w muzeum i legendy o świetności i dobrych winach. Muzeum Wina w Zielonej Górze posiada wspaniałe eksponaty od średniowiecza do czasów współczesnych... Och!!!

Winiarka spojrzała na zegar i już jej nie zobaczyłam – minęło 20 minut! Klątwa spadła! Pozostawiła po sobie tylko zimny posąg, trzymający pusty dzban.

Dużo mogła mi powiedzieć o przeszłości, a ja chciałam jej opowiedzieć o tym, jak dziś spełnia się tradycja Winobrania i Dni Zielonej Góry – zabrakło czasu...

Chciałam jej opowiedzieć, jak odradzają się winnice – Cantina, Krucza, Miłosz, U Michała, Na Leśnej Polanie, Julia, Kinga i Hiki. Nie zdążyłam!

Na ławeczkę padł dziwny cień. To moja dawna znajoma – Czarwinka przyleciała na swoim pojeździe ozdobionym winogronami. Też wybiera się na święto Winobrania. Dawniej – jako czarownica z Zielonej Góry – nie zjawiałaby się, groziłoby jej spalanie na stosie!

Do widzenia, Czarwinko, masz jeszcze kilka dni – zdążysz!

### Zbrodnia doskonała

Zbezczęściłam  
serc więcej niż jedno

słono płacę  
za chwilę  
radości  
zrodzonej z kłamstwa

Gryzę swe usta  
z poczucia winy  
i chyba  
poślubiłam  
chciwość

a chciałam zapomnieć  
na wieki  
wieków

**Zakochałam się**

Zakochałam się  
to już piąty raz w tym roku

Moja nadzieja  
rozszczepiona  
na pięć  
wzlotów  
i upadków

Zakochałam się  
to już piąty raz w tym roku

Moja próżność  
wyszła z kwaciarni  
z bukietem  
lub pięcioma

Zakochałam się  
to już piąty raz w tym roku

Moja wyobraźnia  
zbudowała  
królestw pięć  
z nikim u boku  
na tronie

Zakochałam się  
to już szósty raz w tym roku

Nie każ mi powtarzać  
wszystkich  
tych rzeczy  
tylko  
bądź  
początkiem  
mego  
końca

# Drabble

## Grzyby

Jakiś głos powiedział, że pokazały się grzyby.

– Komu się pokazały? – zapytałem, rozglądając się trwożnie, gdyż dochodził nie wiadomo skąd, a to podobno oznaka. Czegoś tam.

– Halo, co z tymi grzybami? – zawołałem, lecz mój głos zagłuszała ulewa.

Żadnej odpowiedzi tylko o szyby deszcz dzwonił, deszcz dzwonił wiosenny.

Wiosenny? Przecież już lato, więc to jego letnia odmiana. Nie rozpoznałem od razu, bo dzwonek miał nieaktualny. Zwykle zmieniają je cztery razy do roku.

I wtedy je dojrzałem. Tuż pod sufitem, nieśmiało, powolutku, spod tapety zaczęły się pojawiać. Stałem na drabince i ostrożnie, aby nie uszkodzić grzybni, zebrałem całkiem sporo. Zjadłem ze śmietaną. Pycha!

## Kot i dziewczyna

To, że wpadła mi do szklanki z piwem lotka, nie powinno mnie dziwić, w końcu one latają własnymi drogami. Zastanowiło mnie natomiast, że moją whisky popija rudy kot siedzący na barze, a nad jego miską, kołysząc się na wysokim stołku, pochyla się kuso ubrana panienka. Kot i dziewczyna, też zresztą ruda, wydawali się dobrymi kompanami, śmiali się i poklepywali po plecach. Kociak nie był przy tym zbyt delikatny, bo kobieta miała liczne ślady zadrapań. Wyjąłem obcy przedmiot tkwiący w moim (nie moim) napoju i skinąłem na kelnera. Pojawił się bezszelestnie, przeprasząc za pomyłkę, startł ogonem rozlane piwo i podał whisky.

## Odruchy

Nie mam pojęcia, jak się tu znalazła, mógłbym przysiąc, że jeszcze wczoraj jej nie było.

Wróciłem z pracy, zjadłem obiad, wypilem kawę, zapaliłem. Wszystko jak co dzień. Kiedy wszedłem po coś do gabinetu, już tam była. Biała, czysta, nieskalana, leżała na blacie biurka. Tak po prostu. Nic nie mówiła, wyraźnie czekała na mój ruch, zapraszała, abym się nią zajął, coś zrobił. A ja już zapomniałem!

Jeśli ostatni raz miałeś z tym do czynienia kilkadziesiąt lat temu, odruchy zanikają.

Odruchy czy umiejętności? Usiadłem, wziąłem do ręki pióro, w którym wciąż był atrament i rozpocząłem: Nie mam pojęcia, jak się tu znalazłaś...

(Drabble – utwór literacki, który posiada równo 100 słów)

\* \* \*

Pociąg wiezie nas w dal  
kiedy przystaje i znowu rusza  
zmieniają się pasażerowie  
Przed nami wiele stacji  
ale jeszcze nic nie wiadomo

\* \* \*

Czasami w snach  
bywam w mieście  
Dlaczego w tamtym  
a nie w innym  
Tak wiele jeszcze nie wiem

**Taki obraz**

Kilkanaście domów w ogrodach  
uliczka  
w niewielkim miasteczku  
kwitną tulipany  
i drzewa owocowe  
mieszkańcy mają je na oku  
za oknami  
bezruch  
cisza  
tylko ponad jerzyki  
nieustannie kreślą  
kartki błękitu

maj 2020

\* \* \*

Rozmyślał  
co mógłbym powiedzieć  
w tej trudnej chwili  
na Ziemi  
Słowa gubią się  
w Milczeniu

maj 2020

# Okna Leosi.

## Historia pewnej przyjaźni

Lepiej nikomu nic nie opowiadajcie.  
Bo jak opowiecie – zaczniecie tęsknić  
J.D. Salinger, *Buszujący w zbożu*

– Sto lat, babciu!

– Przy moich dziewięćdziesięciu pięciu to brzmi prawie, jakbyś życzyła mi źle!

Gdy się uśmiecha, trudno uwierzyć w taki wiek. W datę urodzenia w dowodzie tożsamości i na dokumentach. I w białe, lukrowe cyferki, ustawione trochę krzywo na cytrynowym torcie.

Sama upiekła tort. Jak co roku. Jak w każde urodziny, odkąd pamiętam. Zmieniała się tylko liczba na tortie i ilość zmarszczek na twarzy babci, które powoli gromadziły się w kąciakach oczu i ust, coraz wyraźniejsze i gęstsze, jakby mały, pracowity pająk nie przestawał tkąć na jej skórze sieci. Reszta pozostawała bez zmian. Ten sam zapach perfum. Te same twarze, uśmiechające się ze starych zdjęć w sepii. Te same filiżanki z porcelany tak cienkiej, że boimy się wziąć je w dłonie. I te same paprocie w korytarzu, tak wielkie, że sięgają do kolan. Jakbyśmy byli w lesie, a nie w lubelskim mieszkaniu.

W miejscu, w którym czas się zatrzymał – albo nauczył się biec wolniej.

Dziś jednak babcia wydaje się odmieniona. Uśmiecha się mniej, a jeśli już, to raczej do własnych wspomnień. Wędruje wzrokiem po kolejnych twarzach gości, jakby szukała kogoś, kto jeszcze nie dotarł. Ale to niemożliwe. Jesteśmy w komplecie: dzieci, wnuki, prawnuki... Przyszli wszyscy.

– Tylko Leosi nie ma. Zawsze przychodziła na moje urodziny.

Babcia ma oczy pełne łez, ale nie daje im popłynąć. Nie widziała Leosi prawie siedemdziesiąt lat. Większość swojego życia. Jak to jest tęsknić za kimś siedemdziesiąt lat? Wspominać go, wypatrywać w oknie, nasłuchiwać kroków, które nigdy nie zabrzmią? Wystarczyła seria z karabinu, dół na skraju lasu i jeden gest oficera w czapce z trupa główką, by skończyło się wszystko. By Ola straciła Leosię. By lubelskie miasteczko straciło swoich Żydów. By słoneczny dzień przestał być słonecznym dniem. A przynajmniej dla Oli, gdy nie widziała nic przez łzy. A one nie przestawały płynąć.

– Żydzi mieszkali na Lubelszczyźnie od zawsze – zaczyna babcia, a my otaczamy ją kołem. Słuchamy z uwagą, choć znamy historię Leosi na pamięć jak książkę, którą czytaliśmy wiele razy: każdy akapit, rozdział i tak do tragicznego finału. Ale babcia nie chce skupiać się na finale. – W naszej wsi było ich prawie trzydzieści procent. Mieliliśmy jeszcze Ukraińców, Niemców i rodzinę rosyjskich unitów, ale to Żydów było najwięcej. Nie dało się ich nie zauważyć na naszych drogach i podwórkach, na targowisku i w sklepikach. Przywykliśmy do nich. Do ryb, które żydowskie przekupki sprzedawały, śpiesząc się przed szabatem. Do niebiesko-białych chałatów, którymi okrywali się mężczyźni, wierząc, że chronią od złych duchów. Do chłopców, studiujących *Torę* tak wytrwale, że woleli to od gry w piłkę i w kulki. Do zapachu chałki i blasku szabasowych świec, których płomienie kołysały się w oknach w każdy piątkowy wieczór. Do mądrości rabina, który pełnił rolę sędziego. Do opowieści o Raju, gdzie według chasydów miał przebywać każdy przed urodzeniem – i do histo-

rii o dybuku, złośliwym duchu, który szuka ciała, w którym mógłby zamieszkać. Dlatego trzeba się mieć na baczności. Dlatego panna młoda nie może zostać sama w dniu ślubu, by nie odwiedziły jej demony, mawiał Josef, nauczyciel z medresy. Pamiętam jego zielone, kocie oczy, jakbym patrzyła w nie wczoraj, a nie siedemdziesiąt lat temu. Dokuczali mi, że za często w nie patrzę, a i Josef nieraz zatrzymał się przed naszym domem, by zapytać mnie, co w szkole. Zagadywał też inne, ale mnie jakby częściej. Podobał mi się, ale kiedy koleżanki pytały, kiedy ślub, czerwieniłam się i uciekałam wzrokiem.

– Za wcześniej – powtarzałam, gryząc koniec warkocza. – Mamy czas.

Skąd mogłam wiedzieć, że Josef ma go mniej? I Leosia. Leosia miała go tak mało, że gdybym przewiodła to wiosną 1939 albo latem, spędzałabym z nią każdą chwilę. I koniec jej warkocza związała z moim niebieską wstążką.

Ta wstążka wciąż leży w komodzie babci, z aktem ślubu i książeczką do nabożeństwa, choć nie jest już błękitna, ale wyblakła jak jej stare, pozbawione pigmentu oczy. Wstążka została, choć jej żydowskiej właścicielki dawno nie ma. Poszła tam, gdzie nie potrzebuje się wstążek – tłumaczyła babcia, gdy pierwszy raz opowiedziała mi o Leosi.

– Włóżcie mi ją do trumny – mówi. To nie prośba, to rozkaz, wobec którego możemy tylko milczeć i potakująco kiwać głowami. I choć chcemy krzyczeć, protestować i obiecywać jej kolejne lata, milczymy i kiwamy głowami.

– Leosię poznałam przypadkiem, choć myślę, że ona planowała to od dawna. W wiosenne popołudnie, kiedy siadałyśmy z koleżankami w sadzie, żeby odrabiać lekcje albo czytać na głos *Trędowatą* (nie za głośno, by rodzice nie słyszeli), zakradała się do nas bezszelestnie jak kot. Chowala się za starą jabłonką, wspinała na gałęzie albo kładła w trawie wysokiej jak tani zboż, czekające na żniwa.

– Widziałyście? Co ona tu robi? Czego ta Żydówka tu chce?

Leosia poderwała się z trawy, jakby słowa Justyny, córki komendanta granatowej policji, trafiły ją jak kamienie. Nie miała garbatego nosa ani czarnych, kręconych włosów jak reszta Żydów, ale Justyna wiedziała. Każdy wiedział. To było małe miasteczko. Każdy znał każdego. Każdy wiedział o sąsiedzie wszystko.

Leosia strzepała z sukienki liście. Jedno ze źdźbeł trawy zaplątało się w jej warkocz i zwiisało w dół razem z błękitną wstążką. Przygryzała wargi tak mocno, że bałam się, że zaraz popłynię z nich krew.

Ale krew miała dopiero popłynąć. Jeszcze nie teraz.

– Śledzisz nas, Żydówko?

– Tylko słucham. – Leosia zerknęła na otwartą książkę. Zerwał się wiatr i przewracał stronnice, tak że niełatwo mi będzie znaleźć miejsce, gdzie skończyłam czytać. Dziewczyny będą złe, pomyślałam, patrząc kolejno na koleżanki. Być może zaprosiłyby Leosię na czytanie i lemoniadę, gdyby nie wściekły wzrok Justyny. Ona nie bawiła się z Żydami. A na pewno nie zapraszała ich na lemoniadę.

– Nikt cię tu nie zapraszał – rzuciła przez zęby. – Idź sobie!

Cofnęła się bez słowa i spojrzenia, bez przeprosin, że przyszła, i bez próśb, by mogła zostać. Żółta sukienka jaśniała na tle ciemnych drzew, kiedy oddalała się i malała, podobna do motyla bielinka albo ćmy. I nagle zrozumiałam, że nie chcę, żeby odeszła.

– Hej! – zawołałam, a mój wrzask spłoszył ptaki. – Zaczekaj!

Wzrok Justyny dosłownie mnie zmroził, ale podjęłam już decyzję. Nasza wieś mieściła wszystkich: Polaków i Żydów, Rusinów i Niemców. Dlaczego nasz sad nie miałby być taki? Przecież wydawał się ogromny. Starczyło w nim miejsca, cienia i owoców dla wszystkich, tak polskich koleżanek, jak i żydowskiej sąsiadki. Mogłam przynieść i dla niej butelkę oranżady. Talerzyk na ciasto z rabarbarem. Postawić przed nią jak pusty talerz w wigilijny wieczór.

Dogoniłam ją przed bramą, bo nie chciała się zatrzymać. Chwyciłam za ramię chyba za mocno, bo odwróciła się z sykiem. Spojrzała na mnie z bólem w oczach, jakbym chciała ją skrzywdzić.

Mój Boże, nigdy nie chciałam. Nie mogłam być jak Justyna.

– Cześć, jestem Ola.

Wyciągnęłam dłoń i czekałam. Słońce przedarło się przez liście i rzucało na nią cętkowane, złociste plamy.

– Leokadia. – Jej palce ledwie musnęły moją dłoń. – Ale wolę Leosia.

Wreszcie poznałam jej imię. Wreszcie mogłam nazywać ją w myślach Leosią, a nie Żydówką z sąsiedztwa.

\*

– To dziwne uczucie: żyć obok siebie od wieków, a nie ufać sobie do końca. Żyć obok od lat, a prawie się nie znać.

Babcia prosi o herbatę. Wrzuca do szklanki dwie kostki i obserwuje, jak cukier się rozpuszcza w bursztynowym, gorącym płynie. Dopiero wówczas wraca do opowieści, ale nie śpieszy się. Ma jeszcze czas, wiele czasu. W przeciwieństwie do tych, o których mówi.

– Potrzebowała mnie, a ja jej. Nigdy mi tego nie powiedziała, zresztą mówiła niewiele. Nigdy nie podziękowała, że zawróciłam ją i gdy reszta dziewcząt odeszła, doczytałam na głos rozdział *Trędowatej*, ale czułam, że była mi wdzięczna. Może dlatego zaprosiła mnie do domu Goldsteinów, a ja pierwszy raz ugryzłam gorącą jeszcze macę, zdjętą z pieca. Dowiedziałam się, że podłużny przedmiot na framudze drzwi nazywa się mezusa, i że przed wyjściem z domu trzeba dotknąć go dwoma palcami. Że zniszczonych stronnicy *Tory* nie można wyrzucić, ale zakopać na kirkucie. Że kiedy my obchodzimy Wielkanoc i zmartwychwstanie Jezusa, Żydzi świętują wyjście z Egiptu i nazywają to Paschą.

– Pascha to uroczysta kolacja z bliskimi.

– Wiem – przerwałam Leosi, dumna, że tym razem mnie nie zaskoczyła. – Jezus spożywał paschę w Wielki Czwartek. Zanim Judasz go zdradził.

– Jezus? – zmarszczyła łukowate brwi.

– Jezus – recytowałam, jakbym powtarzała wyuczoną lekcję. – Syn Boży. Mesjasz.

– Mesjasz dopiero przyjdzie – oświadczyła.

To była nasza jedyna kłótnia, ale tak poważna, że przez tydzień ona nie pukała do naszych drzwi, a ja nie odwiedzałam Goldsteinów. Ominęło mnie nawet pieczenie chałki, a że był grudzień i śnieg otulił drzewa i dachy jak puszysty, biały płaszcz, nie widziałam też zapalania w oknie chanukowych świec. Jak ona mogła nie wiedzieć, myślałam z goryczą, patrząc w jaśniejące okna Goldsteinów. W okno Leosi, wychodzące na ogród, w lecie pełen piwonii i malw, teraz samotnych, sterczących żałośnie badyli. Przecież ksiądz mówi o tym w kościele!

I wtedy zrozumiałam, że Leosia nigdy nie była w kościele. W soboty zakładała najlepszą sukienkę i szła z rodzicami do bożnicy w miasteczku. W wielkich miastach, takich jak Lublin, Żydzi modlą się w synagogach, mówiła z rozmarzeniem. Oni mieli tylko bożnicę, niepozorny budynek malowany na biało, podobny do wielkiego sześcianu. Przez maleńkie szybki wpadało niewiele światła. Prawie tak mało, że w mroku widać było jedynie zarys menory (Leosia nauczyła mnie, czym jest menora), a malowidła z rzekami Babilonu i rajskim ogrodem na sklepieniu zdawały się zlewać w jedną, zielonkawą plamę.

Kiedy ona szła w sobotę do bożnicy, a dopiero prałam sukienkę na niedzielną mszę. Kiedy ona świętowała chanukę, ja dopiero wieszałam na choince orzechy i jabłka. Kiedy ja biegałam po wsi, obrzucając kamieniami kukłę Judasza przed Wielkanocą, ona wołała nie opuszczać domu. Kiedy ja marzyłam o szkole krawieckiej, ona mówiła o synu rabina, z którym zaręczono ją, gdy miała ledwie cztery lata. Opowiadała o nim w listopadowy, ponury wieczór, kiedy bezlistne gałęzie pukały w szyby jak trupie dłonie. Rano miałyśmy się dowiedzieć, że tej nocy, zwanej późniejszą kryształową, w Rzeszy spłonęły tysiące synagog.

Leosia się nie bała. Jeszcze nie. Nawet w sierpniu 1939, kiedy zbierałyśmy antonówki w sadzie, a pod Warszawą kopano rowy przeciw czołgom, zdawała się nie myśleć o wojnie. Nie wierzyć plotkom. Ani wrzaskom Hitlera w radiu, które im dłużej trwało przemówienie, tym bardziej przypominały warczenie psa.

W ostatnim tygodniu sierpnia bawiliśmy się na weselu jej siostry, tak innym od potańcówek, które pamiętałam. Mężczyźni i kobiety tańczyli oddzielnie, jedli tylko koszerne potrawy, a nowożeńcy pili kolejno z jednego kielicha, by musnąć się wargami czerwonymi od wina. Wszystko było inne, a zarazem podobne. Ten sam blask w oczach panny młodej, jakby płonęły w nich małe iskierki, te same życzenia zdrowia i pomysłowości, ten sam zapach kwiatów, które kobiety wpięły we włosy. I nieważne, że nazywaliśmy ich Żydami, a oni nas gojami. Że inaczej brzmiały nasze nazwiska i inaczej modliliśmy się w innych świątyniach. Że rabin straszył Szeolem, a proboszcz Piekłem. To wszystko nie miało znaczenia w wieczór wesela, gdy czułam, że żyjemy w tej samej wsi, pod tym samym niebem. Przed jednym Bogiem, którego wszyscy byliśmy dziećmi. A on chyba nie zwracał uwagi na język, nazwisko i narodowość.

Pierwszego września w strachu byliśmy równi, bo też nikt nie wiedział, co się z nami stanie. Ta niepewność była najgorsza, kiedy padały kolejne miasta, a dorośli zbierali się wieczorami, by szeptać. Cała wieś szeptała. Wtedy jeszcze wierzyliśmy w pomoc Anglii i Francji. W wojsko, które odepchnie Niemców jak bolszewików znad Wisły. Nam nie mogło się nic stać, szeptałam w rozpuszczone włosy Leosi, kiedy spała w moim pokoju, bo rodzice pozwolili jej zostać na noc.

– Jesteśmy niezniszczalne – powtarzałam. – Nic nam nie zrobią.

Byłyśmy właściwie nierozłączne. Leosia była dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam; ja zastąpiłam jej siostrę, która wyszła za mąż. Znałyśmy każdy swój sekret. Czytałyśmy te same książki. Tańczyłyśmy do tych samych piosenek. Nawet warkocze związywałyśmy wstążką w tym samym, błękitnym kolorze. Rozumiałyśmy się bez słów, bo też przy takiej przyjaźni niepotrzebne są słowa. Wystarczy spojrzenie, mimika, drobny gest.

– Serio kolegujesz się z tą Żydówką? – prychnęła Justyna, ale było to nasze ostatnie spotkanie. Wyjechała do Lublina, gdzie związała się z chłopakiem z Hitlerjugend. Ostatniej zimy wojny za kolaborację ogolili jej głowę.

Nie myślałam o Leosi jako o Żydówce. Tylko jako o przyjaciółce. A później...

Wolałabym nie pamiętać tego później, choć zarazem wiem, że takim jak Leosia należy się pamiętać. Czasem myślę, że nie mają nic, oprócz naszej pamięci.

Pierwsze były opaski z gwiazdą Dawida, które musieli naszywać na rękawy w miastach. Później getta, transporty, głód. Wreszcie sierpniowy dzień 1942, kiedy żołnierze otoczyli wieś kordonem. Nawet psy nie szczekały, tylko załośnie skowyczały, ukryte w budach, kiedy Niemcy wyprowadzali Żydów. Szli w milczeniu, kobiety, mężczyźni, dzieci, jakby udawali się na nową tułaczkę. Który to już raz, zastanawiałam się, wyliczając w myślach wygnanie do Babilonu i wszystkie odyseje przez wieki. Bo nawet wtedy nie dopuszczałam do siebie myśli, że walizki, które nieśli, nie przydadzą się tam, dokąd ich zabierają. Że nie wezmą tam zegarków, zapasów, oszczędności całego życia; że nie przydadzą się futra i zimowe płaszcze. Że dzieje się najgorsze z możliwych.

A oni szli, i szli, a my – mogliśmy jedynie patrzeć. Wtedy wyostrzała się różnica między nimi i nami, i jeszcze nadludźmi z trupa czaszką na czapce. Oni byli i ponad nimi, i ponad nami, a wszyscy razem w ich błękitnych, idealnie aryjskich oczach nie różniliśmy się od robactwa, które trzeba zdeptać pod obcasem czarnych, lśniących oficerek. Był piękny, sierpniowy dzień, ciepły, ale nie upalny, pełen brzęczenia pszczół, zapachu malw, kolorów lata. Nie umiera się takiego dnia. Nie umiera się takiego sierpnia.

Żydowski świat naszych sąsiadów zniknął w jeden dzień. Zostały po nich chaty z mezuzą, bożnica i stragany, tak nagle ciche bez ich krzyków, ale czym są miejsca bez ludzi?

Zostały po nich puste domy, szuflady, komody. Niedogotowany obiad, niedojedzona zupa na talerzu. Niezamieciona izba, niesprzątnięte dziecięce zabawki. Niedomknięte okiennice, choć zbliżała się burza.

To przez tę burzę nie słyszeliśmy terkotu karabinów pod lasem. Myśleliśmy, że to kolejny grzmot. A może chcieliśmy tak myśleć?

Wieczorem okna Leosi pozostały puste. Ciemne kwadraty, które nikogo nie przywoływały światłem. I zdeptane malwy pod parapetem. Wracalam pod jej okna wiele razy. Czekałam. Płakałam. Wypatrywałam jej. Nie wróciła.

Dziś wracam pamięcią do tamtych zdarzeń i nadal widzę jej puste, ciemne okna. Nie twarze, nie postaci, nie zdarzenia, ale okna. Kto staje w nich dziś, by otworzyć je na oścież, na wschodzące słońce?

Bo na pewno nie Żydzi.

Babcia mówi o wsi, w której pozornie nie zmieniło się nic (bo nadal kwitły malwy bordowe jak krew, nadal dzwoniono na *Anioł Pański*, a żuraw nadal ciągnął ze studni wodę o ziemnym smaku), lecz zmieniło się wszystko. Chce jeszcze coś dodać, kiedy braknie jej tchu. Palce płaczą się w wyblakłą wstążkę, która nie wiedzieć kiedy znalazła się w jej palcach; opłotła je jak zazwyczaj koraliki różańca – i ciałem babci wstrząsa dreszcz. Ktoś biega po mieszkaniu, ktoś wzywa karetkę, krzycząc do słuchawki, ktoś płacze. Jestem chyba jedyną osobą, która zachowuje spokój. Zbliżam do ust babci lusterko, ale na szkle nie dostrzegłam pary wodnej. Głowa opada, a klatki piersiowej nie unosi najlżejszy oddech.

Świece na torcie zgasły. I choć to wina przeciągu, mogę przysiąc, że zdmuchnął je ktoś niewidzialny. Ktoś, kto bardzo chciał być tu dzisiaj. Ktoś, kto wiecznie ma siedemnaście lat jak w sierpniu 1942.

Płacemy, a babcia się uśmiecha. Zerkam na kąciki jej ust, zastygłe i uniesione w uśmiechu, jakim wita się dawno niewidzianego przyjaciela, i już wiem.

Babcia nie chciała swoich stu lat. Chciała w jasnym, otwartym oknie zobaczyć znowu swoją żydowską przyjaciółkę.

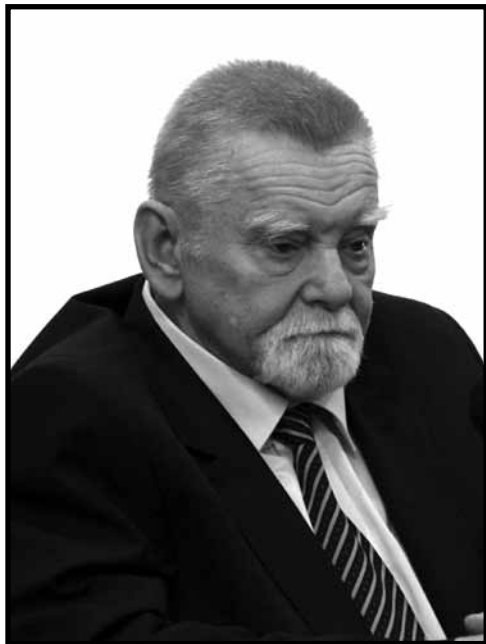
(3. nagroda w 21. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Mała ojczyzna – pogranicza kultur”, Kargowa 2020)

Anitta Maksymowicz

# Wspomnienie o Andrzeju Toczewskim

Andrzej Toczewski był w regionie postacią znaną, szanowaną i lubianą. Jako doktor nauk humanistycznych, historyk, muzealnik, regionalista, specjalista w zakresie badań dotyczących drugiej wojny światowej i zbrodni hitlerowskich realizował się na wielu płaszczyznach i na wielu był autorytetem. Był od początku związany z Ziemią Lubuską, urodził się 2 marca 1947 roku w Zielonej Górze, co zawsze z dumą podkreślał.

Andrzej Toczewski miał bardzo bogate doświadczenie zawodowe, które zdobył, piastując różnorodne funkcje w wielu instytucjach. W pierwszej pracy, którą podjął po maturze zdanej w Technikum Chemicznym w Kostrzynie nad Odrą w 1968 roku, objął stanowisko inspektora wojewódzkiego w ówczesnym Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze w Wydziale Gospodarki Wodnej i Ochrony Powietrza. Pracował tam jednak krótko, bowiem został powołany do wojska, gdzie – w wyniku konkursu – został fotoreporterem „Żołnierza Ludu” we Wrocławiu.



W 1970 roku podjął pracę w Wojewódzkim Domu Kultury w Zielonej Górze jako instruktor. W WDK zajmował się fotografią, filmem amatorskim oraz współtworzył sieć Dyskusyjnych Klubów Filmowych na terenie województwa zielonogórskiego, a także był inicjatorem powstania Klubu Fotograficznego im. Witolda Romera w Zielonej Górze oraz organizatorem wielu wystaw i konkursów fotograficznych. Rok spędził w Krakowie, na studiach historii sztuki, ale w 1972 roku powrócił do Zielonej Góry, gdzie od ówczesnego rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze prof. Hieronima Szczegóły otrzymał propo-

in memoriam

zycję utworzenia i kierowania uczelnianym wydawnictwem, które organizowane od podstaw przez Andrzeja Toczewskiego bardzo dobrze się również pod jego kierunkiem rozwijało. W tym czasie rozpoczął zaoczne studia historyczne na Wydziale Humanistycznym WSP, które ukończył w 1976 roku, broniąc pracę magisterską zatytułowaną *Historia drukarstwa w Zielonej Górze*. Wtedy też podjął pracę dydaktyczną w Zakładzie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej, gdzie wykładał edytorstwo. Jednocześnie uczęszczał na seminarium doktoranckie prowadzone przez prof. Hieronima Szczegółę, realizując temat *Walki 1 Frontu Białoruskiego o przełamanie linii Środkowej Odry w 1945 roku*. Kolejnym etapem w pracy zawodowej było zatrudnienie na stanowisku adiunkta w Instytucie Historii WSP. Do 1983 roku kierował tam powstałą z jego inicjatywy Pracownią Badań nad Dziejami Środkowego Nadodrza. Stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii uzyskał w tym samym roku na Wydziale Historycznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Innym znaczącym działaniem w dorobku Andrzeja Toczewskiego było pięć lat pracy na stanowisku sekretarza generalnego Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Również dzięki jego zaangażowaniu prowadzono tam wówczas bardzo szeroką działalność naukową, badawczą i wydawniczą.

O jego niezwykle aktywnej działalności świadczą kolejne pełnione funkcje. W 1988 roku powrócił do pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej, gdzie pełnił funkcję pełnomocnika rektora ds. rozwoju uczelni, a także prowadził zajęcia ze statystyki i demografii historycznej oraz historii powszechnej do 1945 roku w Instytucie Historii. W tym czasie rozpoczął pracę nad rozprawą habilitacyjną, której temat brzmiał *Polonia amerykańska wobec stosunków polsko-sowieckich w latach II wojny światowej*, a przewód habilitacyjny został otwarty w 1993 roku, niestety, nigdy nie dokończył tego ważnego projektu. Ponadto w latach 1994-1997 pracował jako adiunkt na Politechnice Zielonogórskiej w Instytucie Zarządzania, będąc kierownikiem studiów zaocznych zarządzanie w kulturze, a w latach 2001-2002 na Uniwersytecie Zielonogórskim w Katedrze Komunikacji Językowej i Społecznej prowadził zajęcia z edytorstwa. W latach 2003-2010 był także zatrudniony jako docent w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sulechowie, gdzie wykładał muzealnictwo i historię sztuki. W związku z prowadzonymi badaniami odbył kilka stażów naukowych, m.in. w Lipsku i Poczdamie, a w 1988 roku dzięki stypendium Fundacji Studium Polski Podziemnej w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie prowadził badania dotyczące jenieckich losów żołnierzy AK w niewoli niemieckiej. Na przełomie lat 1991/1992 przebywał w Stanach Zjednoczonych na rocznym stypendium Fundacji Kościuszkowskiej, które umożliwiło mu zapoznanie się ze zbiorami ośrodków i organizacji polonijnych, m.in.: Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, Archiwum Polskiego Związku Narodowego i Muzeum Polskiego w Chicago oraz Archiwum Polonii znajdującego się w Orchard Lake koło Detroit.

Na kilka lat stał się urzędnikiem. W 1994 roku, w odpowiedzi na propozycję ówczesnego wojewody, prof. Mariana Eckerta, został dyrektorem Gabinetu Wojewody w Urzędzie Wojewódzkim, a następnie dyrektorem Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, gdzie pracował do 1998 roku. Podlegało mu wówczas m.in. siedem instytucji kultury: zielonogórski teatr, filharmonia, WiMBP, RČAK oraz muzea w Ochli, Drzonowie, Świdnicy i Zielonej Górze. Szczególnym osiągnięciem Andrzeja Toczewskiego w tym czasie było opracowanie strategii rozwoju kultury dla województwa zielonogórskiego. O tym, iż doceniano nie tylko jego umiejętności organizacyjne, ale też osiągnięcia naukowe, świadczy fakt, iż w listopadzie 1996 roku Andrzej Toczewski został powołany na stanowisko dyrektora Okręgowej Komisji w Zielonej Górze przez dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej. Piastował je do 1998 roku. Podjął wtedy działania, mające na celu ponowne wszczęcie umorzonych śledztw dotyczących zbrodni hitlerowskich w związku z pojawieniem się nowych materiałów dowodowych.

Muzea zawsze interesowały Andrzeja Toczewskiego, marzył o pracy w muzeum i kilkakrotnie w ciągu życia jego drogi krzyżowały się z różnymi instytucjami, m.in. miał kierować Centralnym Muzeum Jeńców

Wojennych w Opolu (1986) oraz wygrał konkurs na dyrektora Muzeum Miejskiego w Gdańsku (1989), jednak ze względów rodzinnych nie objął żadnego z tych stanowisk. Marzenie spełniło się 1 lutego 1998 roku, gdy po wygraniu konkursu rozpoczął kierowanie Muzeum Ziemi Lubuskiej. W roku 2000 ukończył podyplomowe studia muzealne na Uniwersytecie Warszawskim, a w 2004 roku uzyskał najwyższy w polskim muzealnictwie stopień kustosa dyplomowanego. W latach 2002-2004 pełnił funkcję wiceprezesa Związku Muzeów Polskich. Warto również wymienić, że w latach 2002-2006 był członkiem prestiżowej Rady do Spraw Muzeów przy Ministrze Kultury. Działał czynnie także na rzecz rozwoju innych muzeów, zwłaszcza na Ziemi Lubuskiej.

Andrzej Toczewski przejął Muzeum Ziemi Lubuskiej po swym poprzedniku, kierującym instytucją ponad 20 lat dr. Janie Muszyńskim. W muzeum dominowała wtedy sztuka współczesna, czego wyrazem były m.in. stałe wystawy twórców – znane jako Galerie Autorskie. Obejmując funkcję dyrektora, Andrzej Toczewski przedstawił diametralnie inną koncepcję działalności. Dla niego – jako historyka – istotne było działanie na rzecz wzmacniania tożsamości miasta i regionu. Jednocześnie opracował koncepcję muzeum dynamicznego, które miało podjąć nowe, odpowiadające czasom transformacji ustrojowej wyzwania. Andrzej Toczewski, podczas 17 lat, kiedy kierował Muzeum Ziemi Lubuskiej, dokonał bardzo wielu zmian, zarówno w zakresie zarządzania instytucją, jak i dotyczących profilu programowego. Ich efektem była zmiana postrzegania Muzeum przez publiczność i wykształcenie u niej potrzeby i zwyczaju odwiedzania Muzeum. W trakcie kadencji dyrektora Toczewskiego nie tylko zwiększyła się dynamika i znacznie poszerzył przekrój tematyczny wystaw czasowych, lecz powstały również nowe galerie stałe, akcentujące to, co dla dyrektora było ważne i czego rzeczywiście w lubuskim muzealnictwie brakowało – historia regionu, jego przemiany, poszukiwanie i umacnianie poczucia tożsamości mieszkańców. Przejawiało się to w nowo powstałych wystawach stałych: Gallerii Tadeusza Kuntzego, Muzeum Zielonej Góry, Muzeum Wina, Muzeum Dawnych Tortur oraz Gallerii piastowskich książąt Śląska Lubuskiego. Ta ostatnia wiąże się ze stworzonym przez Andrzeja Toczewskiego pojęciem *Śląsk Lubuski*, na określenie południowej – historycznie śląskiej – części województwa lubuskiego. Już same wymienione wyżej ekspozycje świadczą o tym, iż Andrzej Toczewski – jako historyk – szczególnie nacisk kładł na tematykę regionalną, tworzenie i wzmacnianie poczucia tożsamości lubuskiej. Ponadto znacznie wzbogacona została m.in. oferta edukacyjna i wydawnicza Muzeum (był m.in. inicjatorem muzealnego czasopisma „Museion”) oraz rozwinięta działalność naukowa.

Badania naukowe były istotną częścią działalności Andrzeja Toczewskiego. Jego zainteresowania wiązały się z historią drugiej wojny światowej (tu w szczególności walki w końcowej fazie wojny, problematyka jeniecka oraz zbrodnie hitlerowskie na terenie Ziemi Lubuskiej), historią Ziemi Lubuskiej i tożsamością kulturową jej mieszkańców oraz historią i funkcjonowaniem muzeów w tym regionie. Jest on autorem ponad 180 publikacji naukowych, wśród których są cenne monografie, m.in.: *Międzyrzecki Rejon Umocniony* (1987, 1988, 1997), *Kostrzyn 1945* (1988), *Zielonogórskie Winobrania* (2005), *Historia Ziemi Lubuskiej. Krótki zarys dawnych dziejów* (2008), *Bitwa o Odrę w 1945 roku* (2010), *Festung Küstrin* (2015), *Bitwa o Odrę w 1945 roku* (2018) oraz artykuły i eseje, a ponadto bogata publicystyka. Był także redaktorem wielu opracowań i publikacji zbiorowych, a także twórcą i przez 24 lata redaktorem naczelnym „Studiów Zielonogórskich”.

Andrzej Toczewski był również bardzo zaangażowanym społecznikiem. W latach 1976-1980 pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Miejsc Pamięci Narodowej. Między 1992 a 1996 rokiem był prezesem Zarządu Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Pełnił również funkcję prezesa Rady Nadzorczej Lubuskiej Oficyny Wydawniczej (1990-1991). W 1994 roku założył i został pierwszym przewodniczącym Komitetu Katyńskiego w Zielonej Górze, przekształconego następnie w stowarzyszenie Lubuska Rodzina Katyńska, której został honorowym członkiem. Jako muzealnik Andrzej Toczewski angażował się również w prace kilku rad muzealnych, był m.in. przewodniczącym Rady Muzeum

Woldenberczyków – Ofłagu IIC w Dobiegniewie oraz członkiem Rady Naukowej Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu i Rady Muzeum w Międzyrzeczu. W roku 2011 został członkiem nadzwyczajnym Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i z woli kombatanatów został wybrany na prezesa Zielonogórskiego Okręgu ŚZZAK, którą to funkcję pełnił do 2015 roku.

Zasługi Andrzeja Toczewskiego, zarówno na polu naukowym, kulturalnym, jak i społecznym, są powszechnie znane. Był za nie wielokrotnie doceniany. Do najważniejszych wyróżnień należą m.in.: Nagroda Naukowa Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (1982), Srebrny Krzyż Zasługi (1983), Zasłużony Działacz Kultury (1985), Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej (1985), Nagroda Twórcza Młodych „Zielone Grono” (1986), Medal za zasługi dla miasta Zielona Góra (1986), Odznaka Honorowa PCK IV Stopnia (1987), Lubuska Nagroda Kulturalna I Stopnia (1990), wspomniany już Medal Honorowy Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich przeciwko Narodowi Polskiemu (1994), ponadto Zielonogórski Czart Kulturalny (1998), Złoty Krzyż Zasługi (1999), Nagroda Kulturalna Miasta Zielona Góra (1999, 2007), Złota Odznaka „Przyjaciel Dziecka” (2001), Medal im. dr. Henryka Jordana (2004), Złota Odznaka „Za opiekę nad zabytkami” (2007), Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* (2008), Nagroda Naukowa Miasta Zielona Góra (2011) i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (2012), Pierścień Tysiąclecia (2012). Andrzej Toczewski był także Zasłużonym dla Miasta Kostrzyn nad Odrą oraz Honorowym Obywatelom Zielonej Góry.

Andrzej Toczewski był niezwykle aktywny i pracowity. Do końca, mimo choroby i związanego z nią złego samopoczucia, pracował tak dużo, na ile pozwalała mu jego kondycja. Nie skończył obszernej i ważnej monografii dotyczącej zbrodni niemieckich na obszarze dzisiejszej Ziemi Lubuskiej. Nie dane mu było również kontynuować prac nad jego największym i najważniejszym projektem – rozbudową Muzeum. Pomysł ten narodził się około 2002 roku, po tym jak przez kilka lat bezskutecznie zabiegał (nawiązując poniekąd do podobnego pomysłu dyrektora Muszyńskiego) o pozyskanie dla MZL osobnego budynku z przeznaczeniem na Muzeum Miasta, gdzie w pełni mogłaby być prezentowana historia Zielonej Góry od jej począt-



ków do współczesności. Gdy starania te przyniosły fiasko, Andrzej Toczewski nie tylko nie przestał myśleć (i działać!) w tym kierunku, m.in. tworząc pierwszą w historii Muzeum wystawę stałą poświęconą historii Zielonej Góry, ale – wbrew okolicznościom – postawił na znacznie większy niż pierwotnie projekt: skoro nie możemy dostać budynku na wystawę historyczną, dobudujemy tu, na miejscu, na naszym terenie gmach, w którym na trzech kondygnacjach zmieszczą się odpowiednio: nie tylko wymarzona wystawa historii miasta, wzbogacona o dzieje regionu, ale też osobna ekspozycja poświęcona powojennemu osadnictwu oraz wystawa sztuki, ukazująca dorobek cyklicznej imprezy odbywającej się w Zielonej Górze w latach 1963-1981 – Wystawy i Sympozja *Złotego Grona*. Pomysł też stał się na wiele lat jego *idée fixe*. Bardzo efektywnie pracował nad nim już od 2004 roku, a pierwsze konkretne efekty tych działań pojawiły się w 2006 roku. W kolejnych latach, raz wolniej, raz szybciej, ale prace postępowały. Dziesiątki spotkań, zebrań, konsyliów, pism, próśb... Szukał sprzymierzeńców, a każde spotkanie z „ważnymi tego świata” wykorzystywał Andrzej Toczewski na przypomnienie, na promowanie tej idei, na przekonywanie, iż Zielona Góra zasługuje na nowoczesne muzeum z ważną dla współczesnych zawartością programową. Ostatecznie, dyrektor Toczewski odchodząc w 2015 roku na emeryturę, pozostawił opracowane i zatwierdzone „Studium wykonalności”, przygotowaną „Koncepcję programowo-przestrzenną”, szereg wykonanych różnorodnych prac przedprojektowych oraz kluczową pełną dokumentację projektową wraz z kosztorysem, która stanowiła podstawę do starania się o środki na finansowanie inwestycji. Dwa lata później, w 2017 roku, pojawiła się szansa na powrót do projektu dr. Andrzeja Toczewskiego i wówczas jego następca, dyrektor Leszek Kania, (po koniecznej aktualizacji projektu, a także wprowadzając do niego zmiany) rozpoczął rozbudowę i ostatecznie urzeczywistnił ją w 2020 roku. Dyrektor Toczewski nigdy nie zobaczył na żywo nowego gmachu...

Poza przypomnieniem szerokiej działalności Andrzeja Toczewskiego warto kilka słów poświęcić jemu samemu jako osobowości. Jakim był człowiekiem? Przede wszystkim niezwykle otwartym, życzliwym, przyjacielskim. Potrafił rozmawiać z każdym i na każdy temat: znał się na wielu sprawach, a w przypadku tych tematów, na których się nie znał, nie krył ciekawości i zainteresowania. Mimo że był autorytetem dla wielu, sam wciąż chętnie poznawał i uczył się nowych rzeczy. Skupiał wokół siebie szerokie grono ludzi z najróżniejszych środowisk – historyków, badaczy innych dziedzin, artystów, dziennikarzy, pionierów, byłych żołnierzy... Miał wiele empatii, szczególnie dla dzieci i dla osób starszych, zwłaszcza tych po ciężkich przejściach: m.in. kombatanatów, przesiedleńców, Sybiraków... To dlatego Muzeum było miejscem, gdzie te grona mogły się spotkać, gdzie odbywały się ich zebrania, ale też uroczystości. Gdy przedstawiciele tych stowarzyszeń przychodzili z prośbą o udostępnienie im sali, pamiętam, jak mówił potem: „jak my im nie pomożemy, to kto im pomoże?”.

Zbudował swój zespół ludzi o różnym doświadczeniu, wykształceniu, różnych osobowościach. W dużej mierze ten zespół wykształcił: dzięki wsparciu finansowemu Muzeum (mimo że sytuacja finansowa naszej instytucji nigdy nie była komfortowa) umożliwił wielu z nas uzupełnienie kształcenia na podyplomowych studiach muzealnych, a tym samym podwyższenie kwalifikacji i osiągnięcie wyższych stopni zawodowych – starszych kustoszy czy kustoszy dyplomowanych. Wspierał nasze badania, delegując nas, gdy była taka potrzeba, na kwerendy do archiwów w innych miastach. Dzięki jego zachętom, ale też takiej właśnie wymiernej pomocy ze strony instytucji, za kadencji dr. Toczewskiego powstało w Muzeum kilka doktoratów. Inwestycję w człowieka uważał za najistotniejszą. Wspierał nie tylko zainteresowania i pasje naukowe, ale też artystyczne fascynacje, zdolności i talenty kustoszy. To dlatego powstała Galeria Nowy Wiek, Galeria Twórców Galera otrzymała możliwość prezentowania swoich wystaw w Muzeum, a plakaty autorstwa Igora Myszkiewicza ozdobiły klatkę schodową, tworząc indywidualną galerię autorską naszego kustosa. Każdy indywidualny sukces pracownika pojmował jako wkład w rozwój i podniesienie jakości Muzeum.

Doceniał pracę i zaangażowanie, był zainteresowany naszą pracą: w trakcie przygotowywania ekspozycji zawsze można było porozmawiać na jej temat, podzielić się niepewnością, usłyszeć, czasem krytycz-

ne, uwagi lub sugestie. Co jakiś czas robił „obchód” – przychodził do naszych pracowni i pytał, nad czym pracujemy, jakie nowe pomysły mamy. To nie była kontrola. To były spotkania, rozmowy, podczas których niejednokrotnie powstawały kolejne muzealne pomysły. Ale cenił sobie Andrzej Toczewski także rozmowy pozazawodowe – o prywatnych zainteresowaniach, o ostatnio czytanych lekturach, o odbytych podróżach, spotkanych ludziach, o psach i o przyrodzie. Mówił, pytał, słuchał...

Andrzej Toczewski, choć był szefem wyrozumiałym, to był równocześnie – i w jego przypadku to się nie wykluczało – szefem wymagającym. Za jego kadencji w Muzeum prezentowanych było kilkanaście, nieraz powyżej 20 wystaw czasowych rocznie. Tempo pracy było bardzo duże. A jednocześnie potrafił znaleźć równowagę. Niekiedy dzwonił i pytał: „co robisz?, może zejdiesz do mnie?”. W pośpiechu odpowiadałam: „robię to, to i to, i nie mogę teraz zejść, bo muszę to, to i to”. Na to odpowiadał: „dobrze, no to przyjdź. Mam gościa, wypijemy razem herbatę”. I rzeczywiście, sprawy odzyskiwały właściwe proporcje. Ale bywał też niecierpliwy, że za powoli, że czemu jeszcze nie gotowe, dlaczego to jeszcze niezrobione. Za chwilę, jak widział, że robota ruszyła zgodnie z jego oczekiwaniami, potrafił pochwalić, jak ładnie pomalowane, zrobione czy ustawione. Bywał autorytarny. Ale to przez kilkanaście, czasem kilkadziesiąt minut. Potem wracał do tematu i łagodnie argumentował swoje stanowisko lub pytał: no to co proponujesz? Był człowiekiem, który szukał kompromisu. Dlatego był ceniony w tak rozmaitych gremiach i środowiskach.

Miał w nas dużo wiary, często miałam wrażenie, że nas przecenia. Ale to była jego taktyka: zrobisz to, dasz radę, nauczysz się, nie ma problemu. Mniej lub bardziej wierząc tym zapewnieniom (i sobie samym), chcąc nie chcąc podejmowaliśmy jednak zlecane zadania, rzeczywiście ucząc się wciąż nowych rzeczy, nabierając doświadczeń, by na końcu usłyszeć gratulacje. Problemy? No tak, w pracy pojawiają się problemy... Najpierw pytał: jakie masz rozwiązanie? Raz je akceptował, innym razem modyfikował, niekiedy sugerował inne wyjście. Czasami problem był takiej wagi, że jego rozwiązanie było poza naszymi – „maluczkich” – możliwościami, kompetencjami czy uprawnieniami. Wtedy problem rozwiązywał dyrektor. Wiadomo było, że w razie czego da swoje wsparcie. W konfliktach zewnętrznych, jeśli takowe się zdarzały – wobec osób postronnych zawsze stawał po naszej stronie. Dopiero potem, już we własnym gronie, wyrażał swoją opinię, niekiedy nas przy tym dyscyplinując.

Miał zaufanie, dawał dużo wolności w pracy, wychodząc z założenia, że jeśli będziemy rozwijać nasze pasje, to będzie to tylko z korzyścią dla Muzeum. Nie oznacza to, że pozwalał na samowolę, miał program, w który nas z tymi naszymi zainteresowaniami wpisywał i realizowaliśmy go wspólnie.

Lubił nowinki techniczne. Stosunkowo często wymieniał telefony, tablety, pasjonował się ich możliwościami. Miał słabość do zegarków, marzył o tych nieosiągalnych, ale właściwie bardziej czerpał radość z tego marzenia, niż czuł rozczarowanie, że nie będzie ich miał. Miał duszę zbieracza, o czym świadczy jego wyjątkowa kolekcja guzików wojskowych czy obszerna biblioteka. Jego biurko, na którym piętrzyły się stosy książek, korespondencji, notatek, fotografii, kalendarzy, permanentnie nadawało się do porządkowania, ale on się w tym stosunkowo dobrze orientował. Lubił dobrą kuchnię, co dla niego oznaczało kuchnię bardzo tradycyjną. Był z natury bardzo twórczy. Budował w rzeczywistości: rozbudowywał i wciąż miał plany dalszej rozbudowy domu, w którym mieszkał z żoną Asią i córką Beatą z rodziną. Tworzył i przekształcał swój ogród, zawsze zafascynowany nowymi roślinami, ich współzyciem z ptakami czy owadami. W tym miejscu tworzył mały krajobraz, by wnuczki czuły się tam jak w zaczerowanym ogrodzie. Budował *in spe* – czego wyrazem była idea nowego gmachu i nowych wystaw w Muzeum. Budował też w przenośni – wielokrotnie miałam okazję obserwować go w roli mediatora, gdy budował mosty między ludźmi.

Dzielił się wiedzą, ale dzielił się też ludźmi, poprzez możliwość poznania ich, spotkania. Kiedy do Muzeum przyjeżdżał znaczący gość, dyrektor organizował spotkanie z załogą. Tak nas nazywał – załogą. Sam miał stopień sternika i marzył o żeglarskim rejsie po Bałtyku. Nie spełniło się...

Nadał Muzeum wyraźny kierunek. O ile jego poprzednik, dr Jan Muszyński tworzył *muzeum artystów*, Andrzej Toczewski od samego początku kreował program zgodny ze swoją ideą *muzeum tożsamości*. Był to jasny rys, oś czytelna zarówno w doborze ekspozycji, jak i badań, publikacji, tworzenia z Muzeum miejsca spotkań. Był bardzo związany z Muzeum. Kierowanie Muzeum było zresztą spełnieniem jego zawodowych marzeń. Zakończył swoją kadencję w 2015 roku, po 17 latach kierowania instytucją, którą w tym czasie na wielu poziomach niewiarygodnie przekształcił. Stan zdrowia nie pozwolił mu na kontynuowanie zadania. Po przejściu na emeryturę nadal prowadził jednak badania, wykorzystując swoje gromadzone od wielu lat archiwum, pisał artykuły, opublikował nowe, uzupełnione wydanie *Bitwy o Odrę w 1945 roku* i pracował nad wspomnianą książką poświęconą zbrodniom niemieckim na terenie Ziemi Lubuskiej. Nie dokończył jej. Odszedł 20 marca 2020 roku. Pożegnaliśmy go bardzo skromnie cztery dni później. W piękny, chłodny, słoneczny dzień, ze względu na ograniczenia związane z pandemią COVID-19, na cmentarzu było tylko około 25 osób z grona rodziny, przyjaciół i najbliższych byłych współpracowników.



# Wspomnienie o Profesorze

(zapis wystąpienia okolicznościowego z 30 stycznia 2020)

Organizatorzy konkursu poetyckiego, który odbył się w ramach Czwartków Lubuskich w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze 30 stycznia 2020 roku, zapewne nie uzgadniali tej daty z biografią prof. Czesława P. Dutki, urodzonego dokładnie 84 lata wcześniej, 30 stycznia 1936 roku. A jednak ta niezamierzona korelacja daje asumpt, by myśleć nie tylko o odejściu Profesora,

ale też o uczczeniu pośmiertnej rocznicy. Równie szczęśliwy okazał się pomysł, by poprzedzić organizowane w Bibliotece wydarzenie poetyckie wspomnieniami o Profesorze. Przez wiele lat był on przecież promotorem lokalnej poezji, żywo interesował się twórczością tutejszych autorów, został nawet – jeszcze zanim powierzono mu funkcję rektora Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Wałbrzychu – rektorem zielonogórskiego Uniwersytetu Poezji, sprawował pieczę nad organizowanymi przez Uniwersytet ogólnopolskimi warsztatami pisarstwa kreatywnego. Gdyby żył i gdyby po odejściu na emeryturę pozostał w Zielonej Górze, byłby może jednym z honorowych gości dzisiejszego spotkania...?

Profesor Dutka pełnił funkcję animatora życia literacko-kulturalnego na Ziemi Lubuskiej i był dobrym duchem różnych kulturalnych przedsięwzięć, inicjatorem oraz organizatorem spotkań autorskich, wykładów, konferencji, seminariów, sympozjów. Należał do kilku towarzystw naukowych, przez lata przewodniczył działalności zielonogórskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Dzięki swojej aktywności naukowej i kulturalnej był w naszym mieście postacią powszechnie



nie znaną i rozpoznawalną. Od momentu przyjazdu do Zielonej Góry w roku 1982 (podjął wówczas pracę w zielonogórskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, obecnie Uniwersytecie Zielonogórskim) przez ponad ćwierć wieku (aż do roku 2006) zdążył na trwałe wrosnąć w to miejsce, stać się jego częścią, „barwną legendą”, jak określił to Artur Łukasiewicz – jeden z uczniów Profesora, a obecnie redaktor naczelny zielonogórskiej „Gazety Wyborczej”. W artykule poświęconym prof. Dutce Artur Łukasiewicz pisze o nim, że „wykształcił pokolenia zielonogórskich humanistów. Znałca Norwida i literackich trendów, erudyta, gawędziarz, świetny szachista. [...] Dla pokoleń zielonogórskich polonistów był legendą. Wymagający, ironiczny, postrach leniwych studentów, ale życzliwy. Nie przepuścił nieznajomości teorii Michaiła Bachtina czy Paula Ricoeura. Podręczniki Stefanii Skwarczyńskiej trzeba było znać niemal na pamięć. – Bo polonista musi świadomie czytać dzieła, wiedzieć nie tylko o czym są, ale jak powstały i po co, w jakim duchu – tłumaczył”.

Zanim dodam do tej charakterystyki kilka słów od siebie, powiem tylko, że po śmierci Profesora wiele osób, z którymi miałam okazję rozmawiać, przyznawało, że bardzo dobrze Go pamięta. „Dobrze” w obu znaczeniach tego słowa, był bowiem postacią nie tylko wyrazistą, ale też potrafiącą zafascynować studentów i – jeśli nadarzała się okazja – docenić polonistyczne talenty. Ja natomiast wspominać Go będę przede wszystkim jako promotora doktoratu, naukowego mentora i „szefa”.

Był twórcą oraz wieloletnim kierownikiem Zakładu Teorii Literatury, w którym zostałam zatrudniona na początku lat 90. Pamiętam onieśmienie, które towarzyszyło mi na początku pracy – onieśmienie wiedzą, inteligencją i kulturą Profesora: wielkiego erudyty, błyskotliwego teoretyka literatury, znawcy Norwida, a ponadto świetnego szachisty. Był On bowiem, o czym dziś już mniej osób pamięta, trenerem i mistrzem szachowym, zdobywcą tytułu mistrza Polski nauczycieli, organizatorem Memoriału Akiby Rubinsteina odbywającego się w Polanicy-Zdroju. Bardzo lubił szachy i wyznawał zasadę, iż „szachy jak muzyka, jak miłość potrafią uczynić człowieka szczęśliwym”. Do ostatniej chwili, nawet gdy już był bardzo chory, przygotowywał do druku książkę z opracowanymi przez siebie szachowymi partiami. Być może dzięki staraniom Rodziny Profesora uda się ją wydać?

To właśnie szachom zawdzięczam spotkanie z Profesorem. Mój tata był i nadal jest szachistą, mającym wysoką szachową kategorię. Przez wiele lat jeździł na ogólnopolskie turnieje, m.in. do Polanicy, gdzie poznał Profesora Dutkę. Dlatego po przyjeździe do Zielonej Góry Profesor był gościem w naszym domu – z tatą rozgrywał partie szachów, z mamą polonistką rozmawiał o literaturze. I myślę, że gdy w roku 1993 szukał pracowników do tworzonego przez siebie Zakładu Teorii Literatury, mógł mieć nadzieję (mnie pozostaje nadzieja, że Go nie zawiodłam), że córka szachisty rokuje jako przyszły teoretyk literatury.

W roku 1993 Anastazja Seul, wspomniany wyżej Artur Łukasiewicz i ja przystąpiliśmy do konkursu na asystenta w Instytucie Filologii Polskiej i wszyscy zostaliśmy pracownikami uczelni, podwładnymi Profesora. Dla mnie jednak – nie tylko dzięki szachom – był On jako nasz przełożony kimś więcej. A że urodziłam się w tym samym dniu, miesiącu i roku, co Jego córki bliźniaczki, nazywał mnie swą „trzecią bliźniaczką”.

Podziwialiśmy Jego elegancję, ceniliśmy erudycję. Zawsze miał na biurku mnóstwo prac studenckich i stos książek, a wśród nich najnowsze, dopiero co wydane pozycje. Niejednokrotnie obdarowywał nas tymi nowościami, w każdej rozmowie zachęcał do lektury i naukowych poszukiwań. Bardzo Mu zależało, byśmy śledzili najnowszą refleksję literaturoznawczą, zwłaszcza teoretycznoliteracką, byśmy poszerzali horyzonty i mieli nie tylko wiedzę, ale też głód wiedzy, badawczą ciekawość.

Przy Profesorze nie wypadało powiedzieć, że nie czytało się niedawno wydanej książki znanego autora, że nie zna się jakiegoś ważnego nazwiska. Nieustannie nas inspirował, motywował, budził „twórczy niepokój”, a przede wszystkim – co niekiedy rodziło nasz opór – nie pozwalał „spoczywać na laurach”. Myślę, że m.in. dzięki temu odnajdujemy się dzisiaj w naszej pracy zawodowej.

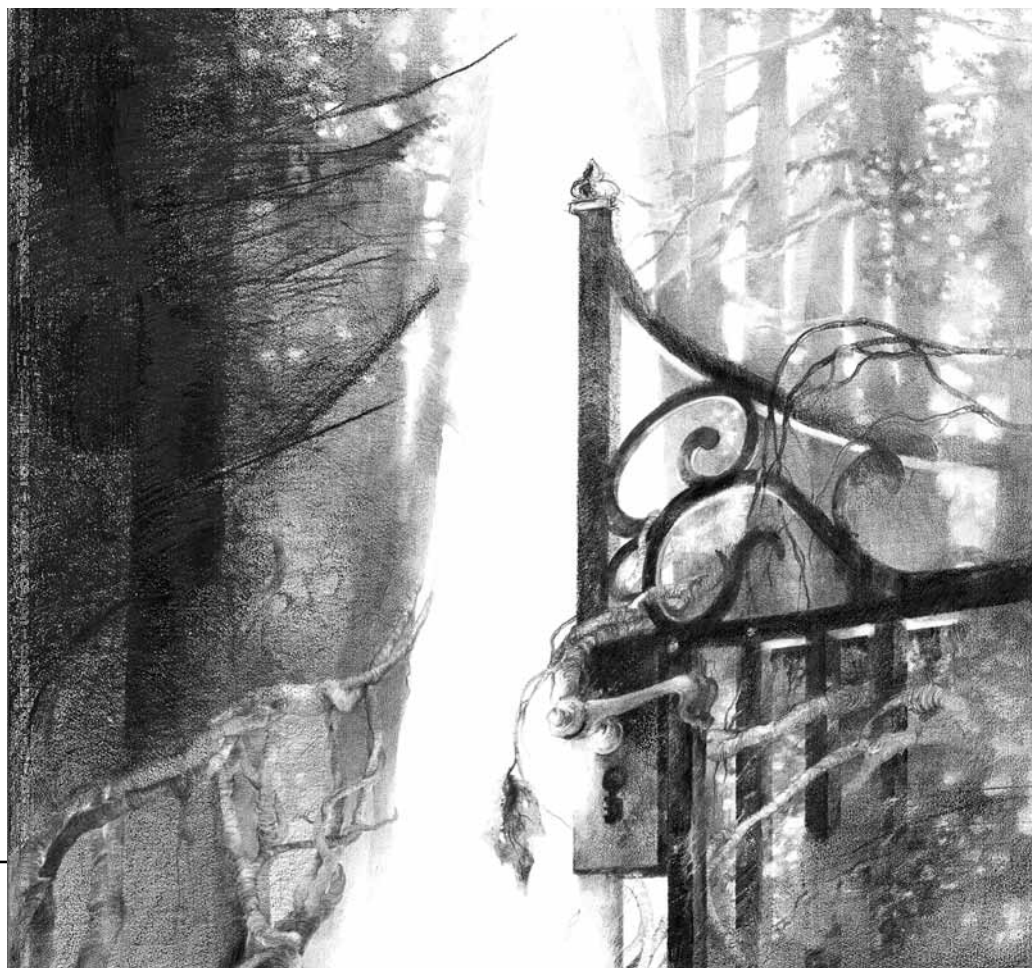
Był kierownikiem żywo o nas zatroskanym. Gdy dłuższy czas się nie widzieliśmy, dzwonił, pytał, co się u nas dzieje. Te rozmowy były szczególnie ważne wówczas, gdy już wyjechał z Zielonej Góry, dopytywał

wtedy o sprawy instytutu i zakładu, którego los leżał Mu na sercu. W czasie tych rozmów mocno czułam na sobie ciężar odpowiedzialności, bo Profesor, odchodząc na emeryturę, mnie właśnie powierzył kierownictwo stworzonej przez siebie jednostki.

Przez wiele lat wymienialiśmy telefony. Krążyły między nami listy, kartki, zdjęcia. Jakiś czas temu odwiedziłam Go wraz z mężem i synami w Wałbrzychu. To było bardzo miłe i ciepłe spotkanie. Planowaliśmy i już umawialiśmy się na kolejną wizytę. Wybierali się do Niego – i niestety, nie zdążyli już dotrzeć – również moi doktoranci; pragnęli poznać osobiście „legendę” zielonogórskiej polonistyki i dołączyć głos Profesora do lubuskiej „Mapy głosów”.

W ostatnich latach Profesor przysyłał nam książki, hojnie obdarowywał zasobami swojej Biblioteki, przekazując to, co zawsze było dla Niego tak cenne. Żałowaliśmy, że nie mógł przyjechać na promocję swojej, wydanej w Zielonej Górze w roku 2016, monografii, choroba nie pozwalała Mu opuszczać Wałbrzycha. Ostatnia wiadomość od Niego – odpowiedź na list, w którym dziękowałam za kolejną paczkę z książkami i posłałam zdjęcia z wakacyjnym krajobrazem w tle, pochodzi z 11 września 2019 roku. Jego zawile pismo (szczyciłam się, że udawało mi się przeczytać owe „hieroglify”) tym razem było bardzo wyraźne. Profesor pisał: „Droga Małgosiu, dziękuję za wyrefinowaną graficznie kartkę i zawarte w niej słowa; cieszę się z Pani radości, wyślę więc jeszcze to i owo [...]. Dzięki i za fotki. [...] I zazdroszczę tła, gdzie już nie będę” [podkr. M.M.].

Myślę, że jest teraz w miejscu piękniejszym niż tamto na zdjęciu. A osobne miejsce – i zarazem najtrwalsze – ma w naszej pamięci.



# Pan Profesor Dutka – książki, studio i „fenotyp uczzonego”



„Jakim to się dzieje sposobem, że koniecznie chcemy kimś być i coś znaczyć. Nie pozostajemy jednak w prawdzie, cokolwiek sami o sobie mniemamy. Czemuż chcesz uskarżać się wiele i biegać tędy i owędy; dokądkolwiek podążysz i pójdziesz, nie wszystko znajdziesz pomyślnym: ponieważ wszędzie musi się trochę cierpieć. I jeśli z tego nie potrafisz się cieszyć, możesz jednak wszystko znosić i w taki sposób pozyskać spokój: ostatecznie wszystko cierpliwością przewyciężać”. Te słowa Tomasza à Kempis przepisałem z książki należącej kiedyś do biblioteki śp. Pana Profesora Czesława Pawła Dutki. Słowa, które tak bardzo kojarzą się mi z jego

---

<sup>1</sup>Tomasz à Kempis, *O życiu cichym i o wyrzeczeniu się samego siebie; De bona pacifica vita cum resignatione propria*, [w:] tegoż, *Cztery medytacje*, przeł. i wstęp A. Sulikowski, Kraków 2001, s. 30.

osobą i jego księgozbiorem... Egzemplarz przekładu traktatów średniowiecznego augustianina znajdował się tam przez pewien czas, by z woli właściciela trafił kiedyś do mnie. Jak wiele innych tomów, które dosta- wałem – a to z powodu akurat pisanego przez siebie artykułu, a to jako wsparcie przy przygotowywaniu się do objęcia kolejnego przedmiotu akademickiej dydaktyki, a to by po prostu sprawiły mi niespodziankę (za- zwyczaj niemałą!). Jeśli już chodzi o owe niespodzianki, wiele razy nie były to książki do pracy niezbędne, ale które miały swą mądrością i pięknem przemówić do obdarowanego... Tak było od początku naszej zna- jomości, gdy jako podwładny Pana Profesora pracowałem na zielonogórskiej uczelni, tak było i przez na- stępne lata aż do samej jego śmierci. Nie stanowiło tajemnicy albo jeśli tak, to przestanie nią być w tej chwi- li, gdy napiszę, że to szczodre otwieranie (i ogoławanie) przez Pana Profesora osobistej biblioteki dotyczyło nie tylko mnie. Wspierało i pozostałe osoby z założonego przez niego i prowadzonego Zakładu Teorii Lite- ratury. Więcej jeszcze – to, co było jego, było zawsze i po to, by gdy tylko trzeba, także nam, członkom ze- społu, mogło służyć i pomagać. Wiem, że oprócz nas również niejedni spośród byłych studentów Pana Pro- fesora mogliby do tej tezy dopowiedzieć swoje słowa (nieograniczające się tylko do pamięci o wspieraniu książkami). I to nie dlatego wiem, żeby kiedykolwiek wprost o tym mi mówił.

Czytelnicy moich rozważań będą już pewnie dosyć zniecierpliwieni, że zacząłem od cytatu obcego sko- jarzeniom z akademicką drogą życia, a co zdanie, to jeszcze się oddalam od myśli średniowiecznego za- konnika. To prawda... Wydaje się przecież tak oczywiste, iż kto zamierza się włączyć w zinstytucjonalizo- wane formy uprawiania nauki, tym bardziej „koniecznie chce kimś być i coś znaczyć”. Jeśli zostanie pro- fesorem, w mniemaniu wielu będzie „kimś” i będzie nieraz (oby!) „coś znaczyć”. I że na pytanie: „Jak to się dzieje?” – jest banalna odpowiedź. Nie ogranicza się wyłącznie do motywów osobistego zadowolenia. Gdy decydujemy się na pracę na uniwersytecie, przyjmujemy na siebie zobowiązanie, by pomnażać doro- bek, co znaczy nieodłącznie – powinniśmy zdobywać stopnie naukowe, awansować. Czujemy oczywiście presję, gdyż nasze osiągnięcia wspierają pozycję zespołu, do którego należymy. Staramy się, mam nadzie- ję, pamiętać, iż w pięknej tradycji naszej kultury „coś znaczyć” odnosi się także do związanych z tym wy- mogów stosownego, uczciwego bycia w przestrzeni pozauczelnianej.

Dotykam tu sprawy etosu uczonego, etosu społeczności uniwersyteckiej, nie dlatego jednak, bym so- bie przypisywał szczególne uprawnienia, aby się zapuścić w górnoletny dyskurs etyczny, oczywiście waż- ny. Chodzi tylko o to, że wspomniane wymogi stosownego bycia w przestrzeni – uczelnianej i pozauczeln- ianej – tak bardzo zajmowały Pana Profesora, tak często stanowiły treść naszych rozmów i zwierzeń do samego końca jego życia, a wcale nierzadko przyczynę autentycznego smutku, gdy widział, jak te wła- śnie komponenty spajające akademicką wspólnotę spadały do rzędu wartości poniewieranych. A choć swe o tym opowieści, bywało, przyodziewał w kostium celnego żartu, to nie przysłaniało owego smutku. Za- wsze smutku i zawsze bez zacietrzewienia...

„Nie pozostajemy jednak w prawdzie, cokolwiek sami o sobie mniemamy” – napisał Tomasz à Kem- pis. Tyle było rozmów z Panem Profesorem, bardzo osobistych, tyle od niego przez lata telefonów, były listy i kartki, nic zaś w nich takiego, by teraz stało się możliwe z dużym prawdopodobieństwem odtworze- nie, cóż „o sobie mniemał”. W tych jego wypowiedziach nie rysowały się egotyczne mniemania. A prze- ciż pełne były słów, wcale nienudzających, które odsyłały do bogatej faktografii życia, do wszystkich eta- pów drogi edukacyjnej i zawodowej, epizodów szachowych, teatralnych, spotykanych sław polonistyki, literatury i sztuki. A jeszcze częściej – nawiązania do osób najbliższych: dziadka, rodziców, siostry, stry- ja, żony, córek, wnuków, siostrzeńca... Także – do dawno już nieżyjących zwierząt domowych... Zdaje się, że nie tylko ja, ale wszyscy z Zakładu Teorii Literatury czuliśmy się w nienachalny sposób jakby od lat na- leżący do tej jego prawdziwej rodziny... To było na co dzień, stawało się jakieś naturalne, niezauważalnie byliśmy włączeni do tego osobistego kręgu.

Średniowieczny zakonnik przypominał też oczywistość: „nie wszystko znajdziesz pomyślnym: ponieważ wszędzie musi się trochę cierpieć”. Lecz „trochę” czasem nie wystarcza. Pan Profesor w ostatnich latach musiał przez kilka dni każdego tygodnia być na długie godziny podłączany do aparatury medycznej, by żyć. „I jeśli z tego nie potrafisz się cieszyć, możesz jednak wszystko znosić i w taki sposób pozyskać spokój: ostatecznie wszystko cierpliwością przezwyciężyć” – zalecał Tomasz à Kempis. Czesław Paweł Dutka istotnie przezwyciężał. Jednak nie mówił dalej nic o tym, co „sam o sobie mniemał”, natomiast o przebiegu choroby i leczenia wypowiadał się nieraz. Niewątpliwie dlatego że krzepiło go uzmysławianie sobie solidarności z nim innych w tych doświadczeniach. Gdyż jak chyba każdy chciał wtedy przy sobie słyszeć głosy bardziej znajome niż jednak obcych lekarzy (opowiadanie o nich było zawsze przepełnione wdzięcznością!) i współpacjentów. Toteż niekiedy potrafił telefonować ze szpitala, gdy był w trakcie wspomnianych zabiegów. Pociuszające było, iż choć słowa skargi padały zupełnie rzadko, to podczas rozmowy jego głos zatracił obolałą nutę, tempo mówienia się ożywiało. Szczęśliwe także to, że z powtarzanymi przez niego słowami zachęty, na które zawsze się powoływał, a jakie przekazywały mu jego córki, obie przecież medyczki, udawało mi się kojarzyć przykłady podobnie chorujących osób akurat z mojego otoczenia. Udawało się wskazać niewymyślone historie z pomyślnym przebiegiem, a zaczynające się o wiele bardziej bezнадziejnie niż przypadek Pana Profesora. Udawało się! Reagował z wdzięcznością. A przecież nic nie budziło w tych okolicznościach takich jego podziękowań, ba, prawdziwej, trudnej tu do opisanego radości, jak zapewnienia o stałej modlitwie w jego intencji. Tak było przez wszystkie lata jego ciężkiej choroby. Trzeba też przyznać, że mimo wszystko pozostało także wiele z tego, co stanowiło normę przed tą poważną utratą zdrowia. Zatem gdy podczas owych telefonów w czasie uciążliwych zabiegów głos Pana Profesora wracał do swego normalnego tempa, musiały być książki. Znienacka przypominał sobie, że koniecznie teraz przydadzą się mi takie a takie tomy z jego biblioteki, że kiedy tylko będzie znów na poczcie, to je do mnie prześle. Przypominał też sobie, że koniecznie musi nabyć tę a tę nowość wydawniczą i żeby ją czym prędzej wyszukał dla niego w poznańskich księgarniach.

„W taki sposób pozyskać spokój: ostatecznie wszystko cierpliwością przezwyciężyć”. Trzeba wspomnieć o prehistorii „spokoju” i „cierpliwości”. Wkrótce po tym, jak zostałem przyjęty do Zakładu Teorii Literatury, w moim domu zaczęła się obłożna choroba, bardzo radykalnie powiększając zakres codziennych obowiązków rodzinnych. Przez wszystkie lata tej sytuacji Pan Profesor nigdy nie traktował tych moich obciążeń jako pozostających w dalszej kolejności za zobowiązaniami zawodowymi. Mało tego, traktował je z osobistą troską. A żeby wszystko dobrze przebiegało, pomagał w najdogodniejszym zorganizowaniu moich prac na polonistycę i ogromnie wspierał w tym, by moje wysiłki naukowe, badawcze jak najmniej ucierpiały. Jestem pewien, że bez jego „spokoju” i „cierpliwości”, wspomaganych także działaniami pozostałych osób pracujących wtedy w naszym zakładzie, nigdy bym sobie z tym wszystkim nie poradził.

„Pozostaniesz spokojny w swym wnętrzu: jeśli nie będziesz się zbyt na zewnątrz zwracał”<sup>2</sup> – to również zapisał Tomasz à Kempis we wspomnianym tu traktacie. Pan Profesor Dutka nigdy „zbyt na zewnątrz” nie wypowiedział tego, jak odnajdywał samego siebie jako autora prac naukowych, wykładowcę, promotora, jako także animatora życia akademickiego. Już chyba więcej „na zewnątrz” wybrzmiewały słowa wrażeń z jego doświadczenia szachisty. „Na zewnątrz” skierował za to wizerunki rzeczywistych oraz fikcyjnych uczonych, starannie wymodelowane instrumentami badań literackich. Tych rzeczywistych ukazał w esejach zebranych w książce *Mistrzowie i szkoły. Szkice o tradycji literaturoznawstwa* (Zielona Góra 1999). Są tam, wyróżniające się spośród innych jeszcze spraw istotnych dla humanistyki, sylwetki kilku czołowych historyków literatury polskiej oraz krytyków. Jak zarysowane? Otóż przede wszystkim za pomocą charakterystyki metodologii wyznawanej przez wymienionych uczonych. A charakterystyka owych

<sup>2</sup> Tomasz à Kempis, *O życiu cichym...*, s. 29.

metodologii właściwych wspomnianym osobom? Przeważnie za pomocą zestawienia opinii, często skrajnie zróżnicowanych, a formułowanych z kolei przez innych luminarzy badań literackich, często współczesnych owym portretowanym na pierwszym planie narracji w rzecznej książce. Zadeedykował ją Pan Profesor: „Pamięci mojego Mistrza – Jana Trzynańskiego”. Autor był wszak obdarzony nieprzeciętnym talentem diegetycznym, ale swojego Mistrza upamiętnił niemal udratyzowanym panelem, do którego przywołał tych, których głosy odsłuchiwał jako dobitniejsze niż swój własny. „Kto sam sobie zbyt ufa: wystawia się na niebezpieczeństwo. Rozsądnie czyni: kto doświadczonych i ucześniejszych od siebie naśladuje. [...] Cóż bowiem rzadszego i godniejszego podziwu, jak wielkie dzieła pełnić, a o sobie pokornie mniemać?” – pyta średniowieczny augustinianin<sup>3</sup>.

A może też w narracyjnym geście *Mistrzów i szkół* żyło echo dialogu spod ideałów starożytnej akademii? Na pewno w rejonie akademickiego sporu Pan Profesor wiodł czytelników niektórych części swego *Słowa peryferyjnego* (Zielona Góra 1999). Tam narratorski głos brzmiał nieraz dosyć ostro, zaznaczał tu i ówdzie ironię, nawet wytykał (czyżby złośliwie?) to i owo autorom recenzowanych książek. Aksjologiczne nacechowanie wymowy obu tytułów tomów – *Mistrzowie i szkoły* oraz *Słowo peryferyjne* – gdy je ze sobą zestawimy, ujawnia zastanawiające zhierarchizowanie ról odgrywanych przez ich autora. Raz – gdy staje wobec mistrzów, innym razem – gdy czuje, że to on sam musi się skutecznie wcielić w postać Mistrza (także jak gdyby ze średniowiecznego moralitetu). Wtedy wspomniana tu wcześniej cierpliwość chwilami milknie i daje się słyszeć niecierpliwość. „Uczyń, abym ku mnie nie pociągał żadnego człowieka przez pochlebstwo albo uległość” – prosił Tomasz à Kempis<sup>4</sup>.

Oczywiście, w naszej kulturze dawne role mistrzów po trochu przejęli uczeni. Skoro pozostaliśmy bez własnego obszerniejszego słowa Pana Profesora o tym, jak pojmował tę właśnie swoją działalność, możemy wspomniany brak choć po części wypełnić. Wiemy bowiem nie tylko, co sądził o niedysyjnych luminarzach wiedzy o literaturze. Oprócz tego napisał interesujące opracowanie *Genotyp postaci uczonego a ukryty aspekt kultury*. Zamieścił ten esej w swojej książce *Tancerz idei*<sup>5</sup> (nawiasem mówiąc – najbardziej przeze mnie lubianej spośród jego publikacji). Pretekstem do jego eseju stała się postać zupełnie fikcyjna, profesor Geist z *Lalki* Bolesława Prusa. Zresztą samo studium na ten temat ewoluowało sporo czasu, zmieniało werbalny kształt, obrastało w konteksty. Co świadczy, że całkiem długo sama sprawa nie chciała opuścić umysłu Pana Czesława Dutki. A prowadziła do poniższego wniosku:

Literacką w swej istocie postać uczonego skonstruowano z „prawdy i zmyślenia” – w repertuarze stereotypowych wcieleń, według jednego i więcej niż jednego punktu widzenia, zewnętrznego i wewnętrznego. Przedstawiano ją zwykle w wielu „ramach modalnych”, jako postać główną (Faust) i poboczną (Geist), choć najczęściej epizodyczną. Została też genotypicznie zhierarchizowana od maga-siłowca poczynając, na uczonym akademickim kończąc. Genotyp postaci wywodzi się tedy z wielości „zaistnień w słowie” i to w sposób zgoła modelowy, stąd jej składniki („relewantne i inwariantne”) powtarzają się w utworach tak bardzo odległych od siebie epok. Genotypiczne elementy topoidalne i stereotypowe tworzą korzenie, na nich zaś rośnie i rozwija się dostępne naszemu bezpośredniemu doświadczeniu drzewo fenotypiczne uczonych<sup>6</sup>.

Ten cytat ukazuje charakterystyczny styl tekstów Pana Profesora. Scjentystyczne terminy zdradzają, jak bardzo upodabniał się język – jego, ale ówczesnie i całej dyscypliny – do przestrzegających taksonomicz-

<sup>3</sup> Tomasz à Kempis, *Pochwała pokory, która jest fundamentem wszelkiej świętości; Recommendario humilitatis, que est fundamentum omnis sanctitatis*, [w:] tegoż, *Cztery medytacje...*, s. 24.

<sup>4</sup> Tomasz à Kempis, *O podniesieniu ducha; De elevatione mentis*, [w:] tegoż, *Cztery medytacje...*, s. 55.

<sup>5</sup> C.P. Dutka, *Tancerz idei. Pisarz jako autor i świadek znaczeń*, Zielona Góra 1995.

<sup>6</sup> Tenże, *Genotyp postaci uczonego a ukryty aspekt kultury*, [w:] tegoż, *Tancerz idei...*, s. 169.

nych rygorów pojęciowych dyskursów dziedzin przyrodniczych, chętniej przecież uznawanych za „prawdziwą naukę”. Czy wobec tego nie jest symboliczne, że Czesław Dutka swój najobszerniejszy esej na temat literackiego wzorca uczonego poświęcił właśnie reprezentantowi nauk przyrodniczych? Czy wreszcie nie jest to wszystko symptomatyczne, a jakoś wbrew faktowi, że sam autor eseju był przede wszystkim bardzo świadomym spadkobiercą przełomu antypozytywistycznego i chętnie się wpisywał w nurty humanistyki rozumiejącej, czerpał ze strukturalizmu, wspierał hermeneutyką, ba – z domieszkami psychoanalizy, nieraz zaś – socjologii? Był spadkobiercą tych zawirowań i nurtów – by jak w zakończeniu powyższego cytatu godzić wszystko, unieść na wyższy poziom poznania otwierający się już nie za pomocą instrumentów nauki, ale na mocy wyobraźniowej fortunności metaforycznego obrazu, obrazu archetypicznego, wydaje się, starego jak pamięć ludzkości – obrazu drzewa z korzeniami. Poetyckość wkradała się do dyskursu Pana Profesora. Czyżby dlatego właśnie pośród swoich „godności akademickich” – co zapisywał w cudzym słowie – najbardziej cenił sobie tę – „honorowego rektora Uniwersytetu Poezji” (też zapis oryginalny zastosowany przez uhonorowanego!)<sup>7</sup>.

„Fenotypiczne” cechy, jednostkowym reprezentantom przypisane w tekście z *Tancerza idei*, co znów symptomatyczne, wcale nie zaznaczyły się rozległej w sferze „zaistnienia w słowie” wypowiedzianym przez wymienianych bohaterów literackich. Podobnie jak niemal nie „zaistniała w słowie” autocharakterystyka Pana Profesora jako uprawiającego naukę. Za to w eseju dobitniej wyraziła się przestrzeń pracowni uczonego, odkryło znaczenie jej umiejscowienia. Ona przede wszystkim, symbolika pracowni, ukierunkowała charakterystykę postaci – od „genotypicznych korzeni” poczynając.

Warto poczytać:

Odrealnienie rzeczywistości, tła działań głównego bohatera i Geista, mające na celu zdemonizowanie osoby uczonego, tudzież charakteru – powtórzmy – jego działalności, zawarte jest ponadto w opisach wyglądu domu i laboratorium. Przestrzeń ma tu strukturę poziomą. Stare zniszczone domy położone są na uboczu, daleko. [...] Pojawienie się tych elementów w tekście stanowi zapowiedź rzeczy niesamowitych, odsłaniają one jak gdyby etyczny charakter obiektu. Mimo że ten przynależy do przedmiotów nieożywionych... [...] Samo wyposażenie pracowni Geista jest niezmiernie ubogie. Poczytywizm nie wniósł żadnych strukturalnie istotnych zmian – zamienił tylko, zgodnie z duchem czasu i panującą tendencją, desygnaty owego wystroju. Romantyczne atrybuty pracowni Fausta (rulony rękopisów i księgi) zostały zastąpione próbkami i przyrządami badawczymi, a ludzkie czaszki – retortami, miseczkami i rurkami ze szkła [...], bombami artyleryjskimi<sup>8</sup>.

Jeśli trzeba w tym modelu rozpoznawania typu postaci zamiast Geista dojrzeć samego Pana Profesora, musimy uruchomić mechanizmy przeciwnie do opisanych. Zatem powinniśmy urealnicić przypominaną rzeczywistość, oddemonizować osobę uczonego. Ze względu na dyscyplinę uprawianą przez bohatera opowieści próbówki i przyrządy badawcze ustąpią znów miejsca rękopisom i księgom. Nie będzie ludzkich czaszek. No właśnie! Znów usuwamy w cień pojawiające się atrybuty badacza tajemnic natury... Ale w zamian poruszeni sugestywnością dociekań, a może i ukrytych faustycznych tęsknot autora zacytowanego eseju (spełnionych nieco przez otrzymaną nagrodę „bardzo kulturalnego Czarta Lubuskiego”<sup>9</sup>), z pewnym może zdumieniem stwierdzimy, że jedno pozostaje niezmiennie. To „etyczny charakter” opisywanego obiektu, czyli pracowni uczonego. I dostrzeżemy to jeszcze lepiej, gdy wesprzemy konstrukcję modelu, sporządzonego przez Pana Profesora, elementami tradycji plastycznych, a ściślej – portretowych.

<sup>7</sup> Tenże, *List otwarty do Zenona Łukaszewicza*, [w:] tegoż, *Słowo peryferyjne...*, s. 215.

<sup>8</sup> Tenże, *Genotyp postaci uczonego...*, s. 163-164.

<sup>9</sup> Tenże, *List otwarty...*, s. 215.

Spróbuję tutaj przeprowadzić ten zamysł. Sięgam po wiedzę do bardzo pomocnego w niniejszej sprawie artykułu znawczyni dawnej ikonografii, Joanny Guze, *Książka jako symbol treści intelektualnych w sztuce doby humanizmu XV-XVI w.*<sup>10</sup> A sięgam tam dlatego, że przy innej okazji warto by to opracowanie odczytać jako znakomicie komplementarne wobec *Genotypu postaci uczonego*... Pośród ilustracji wykorzystywanych przez autorkę jest reprodukcja grafiki Hansa Burgkmaira ukazującej Konrada Celtesa, wielkiego humanistę<sup>11</sup>. Ten renesansowy wizerunek od lat kojarzył mi się z osobą Pana Profesora.

Otóż w renesansie humaniści byli portretowani na tle swoich pracowni, ukazywani przy pulpicie, w trakcie zapisywania bezcennych myśli. Burgkmair zaś przedstawił Celtesa, owszem, wspartego obiema rękoma o pulpit, ale całkowicie zajętego księgami, tak że ni cala nie pozostało, by rozłożyć tam arkusz i zapisać go własnym piśmem.

Mam nadzieję, że już stają się jasne powody moich skojarzeń. To rola odgrywana przez książki – zaznaczona w szesnastowiecznym portrecie i w moich wspomnieniach Pana Profesora, a w obu wypadkach naprawdę dochodzi do głosu „etyczny charakter”.

Książka jako przedmiot, a zarazem jako symbol treści intelektualnych, została szczególnie wyeksponowana w interesującym wytworze kultury renesansowej, jakie stanowiło *studiolo*, specjalne pomieszczenie wprowadzone do włoskich rezydencji. Odzwierciedlało w przemyślny sposób „humanistyczny ideał wszechstronności wykształcenia i zainteresowań”<sup>12</sup>. Albowiem specjalnie zaprojektowane miało eksponować księgozbiór, imponować zestawem narzędzi naukowych, a w starannie dobranych portretach umieszczanych na ścianie wskazywać ideowych patronów właściciela. Przede wszystkim zaś stanowiło miejsce do pracy naukowej. Choć w następnych epokach stawało się coraz częściej tzw. gabinetem osobiowości, potraktowane jako pewien schemat-zasada, tu zdalnie uzupełni „korzenie” wyznaczone „genotypami” i „fenotypami” z eseju *Genotyp postaci uczonego*..., szczególnie gdy chodzi o szansę postrzegania funkcji gabinetu naukowego. Zdatnie, dlatego że utrwaliło pewien stereotyp, którego różne warianty są obecne powszechnie w dzisiejszych uczelniach i mieszkaniach.

W niniejszej opowieści najdalsza retrospekcja sięga września 1996 roku. Wtedy to po raz pierwszy osobiście zetknąłem się z Panem Profesorem. Było to podczas wstępnej rozmowy na temat zatrudnienia mnie na etacie w zielonogórskim Zakładzie Teorii Literatury. Na razie w związku z tym sama książka jako obiekt w takiej przestrzeni musi się ukryć. Po raz pierwszy zatem minąłem próg uczelnianego gabinetu Pana Czesława Pawła Dutki, zarazem wspólnego gabinetu wszystkich pozostałych członków zakładu, ponieważ rozmaite te funkcje musiało spełnić jedno niewielkie pomieszczenie. Jak wyglądało? Oczywiście, że w narożniku stało obowiązkowe biurko, jak zawsze w takich pomieszczeniach. Większość powierzchni pokoju wypełniały stoliki skupione ze sobą, zestawione blatami, tak że powstawało z tego coś na kształt olbrzymiego stołu refektarzowego, przy którym mogła się spotkać niemała grupa osób. Najbardziej wyeksponowaną ścianę wypełniał zaś szereg bardzo powiększonych (o wysokości gdzieś 70 centymetrów) fotograficznych portretów czołowych autorytetów polonistycznej wiedzy o literaturze – Juliusza Kleinera, Wacława Borowego i Jana Trzynaśdłowskiego. Czyli właśnie jak w klasycznym *studiolo*, gdzie przewidywano sporo miejsca na wizerunki patronów intelektualnych poszukiwań użytkowników.

Półki odkryte dla oczu widza okazywały ogromną liczbę zszywek i oprawnych egzemplarzy prac dyplomowych. Podobnie była zagospodarowana przestrzeń biurka, po brzegi. „Refektarzowy” blat – także, a oprócz tego zajęty mnóstwem spiętych ze sobą arkusików studenckich prac semestralnych, szkiców rozdziałów magisterskich rozprawek. Między tym wybrzuszały się zrulowane szczotki książki Pana Profesora.

<sup>10</sup> J. Guze, *Książka jako symbol treści intelektualnych w sztuce doby humanizmu XV-XVI w.*, [w:] *O ikonografii świeckiej doby humanizmu. Tematy – symbole – problemy*, red. J. Białostocki, Warszawa 1977, s. 159-244.

<sup>11</sup> Tamże, s. 229.

<sup>12</sup> Tamże, s. 208-210.

ra właśnie przechodzącej etapy drukarskiej produkcji. Jedyne maleńki narożniczek „refektarzowego” stołu nie był tak wysoko zabudowany materiałem kartek. Tam Pan Profesor nanosił korektę na jedną ze szczotek swojego tekstu. Zapisywał wszystko pilnie czerwonym tuszem na marginesach próbnego wydruku. Pochylony niemożliwie, wielkimi okularami dotykający papieru, w którym zupełnie zginęła jego zazwyczaj godnie prosto noszona sylwetka. Tak zastałem go po raz pierwszy. Oczywiście przejęty nawet nie widziałem, w jaki sposób na blacie zwolniło się wiele miejsca na zastawienie poczęstunkiem dla mnie, zdrożonego podróżą, niepewnego co do dramaturgii pierwszej naszej rozmowy na żywo.

Nie minęło wiele minut, a w wymianę zdań wdarły się echa korektorskiego bólu. Bólu, który znajdował cały swój wyraz w głosie tłumionym westchnieniami charakterystycznej emocjonalnej zadyszki. A wszystko, jak się okazało, dlatego że wykonawcy próbnego wydruku po raz nie wiem który nie wprowadzili wskazanych przez autora poprawek błędów. Słowa o niedbałości odbiorców korekty tu nie wystarczyły. Dostałem do wglądu wcześniej poprawiane szczotki tych samych partii powstającego tekstu.

Przez wiele następnych lat przy wspomnianym skraweczku „refektarzowego” stołu zastawałem Pana Profesora o wszelkich możliwych porach, gdy z nie mniejszym przejęciem takim samym czerwonym tuszem zakreślał coś w kontrolowanych pracach studentów. I z nie mniejszym bólem w głosie oznajmiał przy okazji, że tyle razy już zwracał na to samo uwagę swemu adeptowi polonistycznych wtajemniczeń warsztatowych. I podobnie jak podczas owej korekty szczotek trzeba było wejrzeć na wskazywane miejsce okazywanej właśnie kartki i wyrazić całkowite zrozumienie, jakże to przykra sytuacja.

„Refektarzowy” stół tracił swój obfity ładunek na godziny, w których odbywały się w gabinecie seminaria magisterskie studentów. Wtedy blat zapełniały ich bieżące dokonania, z odkrytych półek posłusznie uszeregowane nęciły tylko schludnymi grzbietami prace obronione od początku istnienia zakładu. Ze ścian spoglądali legendarni luminarze. O czym mogli myśleć magistranci w takim czasie? Czy szybko i wreszcie ich prace dostaną się na przeznaczone jej miejsce na półce? A może czy oni sami staną się postaciami pokazywanymi adeptom na portretach?

Zdarzały się chwile, gdy „refektarzowy” stół, zazwyczaj tak obficie zastawiany pracami innych, że Pan Profesor zachowywał dla siebie samego ów narożniczek, był trącony całkowicie. Pierwszą taką scenę utraty, niezapomnianą, obserwowałem wiosną lub wczesnym latem roku 1997. Zostałem powołany na recenzenta prac magisterskich w naszym zakładzie oraz do komisji egzaminacyjnej. Chodziło o kilku studentów zaocznych, wszyscy byli spoza Zielonej Góry. Z powodu konieczności dłuższej podróży mieli ze sobą niektórzy spore bagaże, niektórzy dopiero w budynku uczelni wykorzystali szansę na posiłek lub doprowadzenie się do porządku przed egzaminem. Cała drużyna zdających magistrantów Pana Profesora otrzymała od niego dobrotliwie klucz do naszego wspólnego gabinetu, by tam przeczekać do pory zdawania. W niewiele czasu na „refektarzowym” stole nie pozostało ni milimetra wolnej powierzchni, a przy brzegu blatu młoda matka zabrała się do nakarmienia piersią swego niemowlęcia. Oczom obserwatora ukazywał się widok podobny do orientalnego bazaru, a wewnątrz panowała skrajnie ożywiona, choć całkiem nieponura atmosfera. Pan Profesor, z natury wrażliwy na etykietę, teraz obładowany naręczami koniecznych dokumentów zdecydowanym ruchem otworzył drzwi gabinetu, a jeszcze szybciej je zamknął, nie wszedłszy do środka. Z rezygnacją niemal dziecięcą wyznał mi, że zupełnie nie wie, gdzie się teraz ma podziać. A na korytarzu było tłumnie. Cóż pozostawało? Obaj rozdzieliliśmy między siebie sprawiedliwie brzemień papierów, jak mistrz i uczeń u perypatetyków ujęliśmy się pod rękę i rozpoczęliśmy wolniuteńkie spacerowanie od jednego końca korytarza do drugiego. Tak cierpliwie przez czterdzieści minut – pamiętam – dotrwaliliśmy do pory egzaminów. Które zresztą naprawdę wypadły świetnie i Pan Profesor wyszedł z nich niepomniernie szczęśliwy.

W dniach wykładów na „refektarzowym” stole pojawiała się całkiem często sterta książek. Zupełnie nowiuteńkich czyściutkich tomów, a już w całości przeczytanych. To były najświeższe nowości literackie

oraz naukowe z zakresu naszej dyscypliny. Siedzący za taką stertą Pan Profesor istotnie wtedy stawał się podobny do Konrada Celtesa na portrecie. Słuchacze wykładów z teorii literatury mieli regularnie na bieżąco rekomendowane te tomy. Potem trafiały one do domowych zbiorów właściciela albo były natychmiast wypożyczane piszącym prace dyplomowe. Natomiast stały księgozbiór gabinetu nie był od razu widoczny dla przybyszów. Mieścił się przede wszystkim w zamykanych, nieoszlonych szafach bibliotecznych. Stamtąd mogliśmy z niego my, członkowie zakładu zabierać, co w danej chwili miało wspomóc czynności dydaktyczne. W każdym razie inaczej niż w renesansowym *studiolo*, w tym uczelnianym oczu przybysza nie zatrzymywał jakikolwiek przemyślnie dobrany szereg tytułów na książkowych grzbietach. Zatrzymywały – liczne grzbiety prac dyplomowych tworzonych pod symbolicznym spojrzeniem luminarzy z portretów.

Uniwersytecki gabinet to niejedyny zielonogórskie *studiolo* Pana Profesora. Nie mniej pamiętne pod tym względem jest jego mieszkanie. Było ono maleńką, typowo blokową peerelowską kawalerką w wielokopłtowym budynku. Zupełnie oczywiste, że jak na właściciela takiego a nie innego uprawianego zawodu przystało jeszcze parę dekad temu, wypełniały je niezliczone książki, tomy na półkach i niemal wszędzie indziej. To obrazek przecież typowy dla pośredniej charakterystyki ówczesnego „fenotypu uczonego”. Co wcale nie znaczy, że mogło tam braknąć stosownego i wygodnego miejsca przy stole dla gościa. W tym domu było zawsze przygotowane dla odwiedzających. Gdy trafiłem tam, Pan Profesor ciągle rozbudowując swoje monologi i prowadzoną konwersację, co chwilę prowadził mnie do kolejnych zakamarków tej prywatnej przestrzeni, bym to lub tamto koniecznie jeszcze zobaczył. W tej kwaterze humanisty nie było tym razem galerii portretów zasłużonych luminarzy. Zamiast jakiegokolwiek podobizny kogoś z ziemskich mistrzów nad głównym wnętrzem dominował dużych rozmiarów nowocześnie wykonany *Święty Mandylion*.

Niemożliwa liczba książek skutkowała tym, oczywiście, że i biurko było nimi – chyba najlepsze określenie – zaduszone niczym lawiną. Rozpatrywanie się w całej przestrzeni obu pokoiów i przedpokojów prowokowało mnie po czasie do ciekawości. W tym bogactwie usytuowania się tomów nie było widać bowiem żadnego miejsca zdadnego do skreślenia choćby listy zakupów, a przecież Pan Profesor cały czas uprawiał twórczość pisarską. Zapytałem w końcu bez stosownych ogródek, gdzie pisze swoje teksty. Zaprowadził mnie wtedy do miniaturowej kuchenki, w której niewielki stolik był, oczywiście, także przytłoczony piramidą książek, szczególnie zaś – aktualnie studiowanych. Jednak na narożniczku owej stoliczka było nieco wolnego miejsca, tyle co potrzeba na deseczkę do krojenia chleba. Na tym wolnym miejscu leżały kartki formatu szkolnego zeszytu, a na nich gotowy do użycia długopis. Gospodarz zdradził, że tu właśnie wszystko pisze.

Kolejne *studiolo* było w obszernym wałbrzyskim mieszkaniu, które Pan Profesor zajmował od czasu rektorowania tamtejszej Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Angelusa Silesiusa. Był bardzo dumny z tej placówki, a sprawą szczególnie bliską jego sercu, i to długo, było dążenie, by tego właśnie światowej sławy myśliciela i pisarza uczelnia dostała za patrona. Cieszył się, że na miejscu w to zamierzenie było szczerze włączonych sporo innych zwolenników, a zamysł się powiódł.

Wałbrzyskie mieszkanie w starym budynku swoim usytuowaniem, nieco z boku centrum miasta, mogłoby przywodzić na pamięć tak dokładnie przez Pana Profesora przeanalizowany opis okolic pracowni doktora Geista:

Umiejscowienie pracowni, siedziby uczonego w domu „bardzo starym”, w oddaleniu od skupisk ludzkich nie jest wprawdzie regułą, ale chwytam dość częstym, programowo i ze względów praktycznych stosowanym ongi, jeśli nie przez retorykę, to w tzw. powieści gotyckiej. Ciążyły tu – *per analogiam* – sugestie ogólnych ocen etycznych i estetycznych. Dzisiaj w przenikliwych powieściach o intelektualistach widoczne są te szczególne reguły opisu, np. pod piórem Iris Murdoch, ukazującej swoich bohaterów na odludziu, samotnych. Umilowa-

nie samotności jest jednak tylko pozornym określeniem ich stanu uwikłania – *under the net*, kryją się tam bowiem złożone elementy struktury<sup>13</sup>.

Inaczej tu otaczał świat zewnętrzny niż w wypadku zielonogórskiej kawalerki. Tam wokół piętrzyły się pozbawione indywidualizmu bloki ze swym osiedlowym wielogłosowym hałasem. Na uczelnię można było między nimi raz dwa podejść spacerem, a w parę kroków było się już w hotelu asystenckim. Może dlatego tyle Pan Profesor przebywał w uczelnianym gabinecie, położonym w budynku bardziej odosobnionym, bo już na obrzeżu miasta, blisko zagajniczka, a pod wieczór uczelniane korytarze wyludniały się, pustoszało, panowała cisza. Można się było bez rozproszenia oddać wspomnianym korektom czerwonym tuszem.

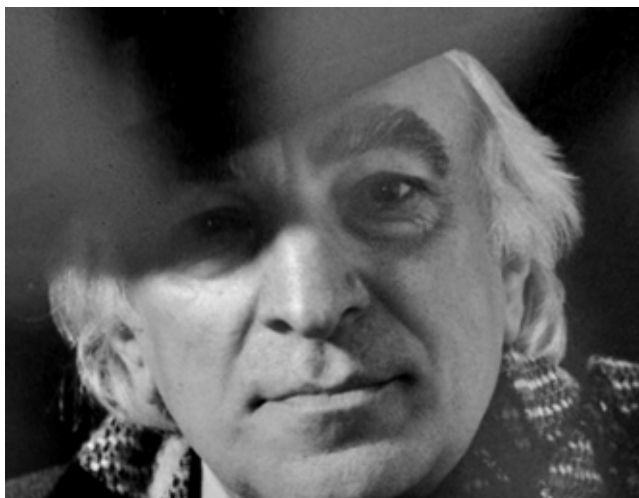
Wokół wałbrzyskiego domu zaś rozległe podwórza, płoty, zarośla, strumyk nieopodal. W ostatnich latach życia opuszczało się tę przestrzeń, by pilnie odebrać z poczty – oczywiście – zamówione książki. Ale najczęściej – by na długie godziny być sam na sam z podłączoną aparaturą medyczną w czasie szpitalnych zabiegów. Podczas nich człowiek chory jest na pewno niewyobraźalnie bardziej samotny niż na odludziu. Powroty ze szpitala do domu na niemal odludziu były paradoksalnie powrotami do życia.

Za to wewnątrz wałbrzyskiego domu tym razem było obszerne, wygodne, tak że książki nie musiały już być tak niemożliwie stłoczone. Sam gabinet także duży, a służący również za bibliotekę. Centralne miejsce zajmowało biurko. Tu mogło ono być wreszcie większe niż zielonogórskie, a i ustawione tak, że dostępne z każdego boku. Na nim znów – co jasne – sporo książek. Lecz nie one panowały nad powierzchnią blatu. Większość bowiem zagarniała znacznej wielkości popiersie Angelusa Silesiusa pilnie wpatrzonego w drzwi i we wchodzące osoby. Na biurku nie było już żadnego wygodnie rozległego miejsca do pisania.

Średniowieczny mnich zaś zapisał:

Otwórz twe serce ku temu, co ma być: wówczas pokój znajdziesz gdziekolwiek. Bądź gotów cięższe znosić: wówczas lżejsze z łatwością podźwigniesz. Ucz się we wszystkim siebie zwyciężać: wówczas posiadasz pokój wewnętrzny. Com winien zrobić, tego pragnę: i tak niebo posiadam<sup>14</sup>.

*Pisanie zakończyłem w dzień imienin śp. Pana Profesora Czesława Pawła Dutki 2020 roku.*



<sup>13</sup> C.P. Dutka, *Genotyp postaci uczonego...*, s. 163.

<sup>14</sup> Tomasz à Kempis, *O życiu cichym...*, s. 29.

# Wspomnienia studentki i współpracownicy

Jestem już chyba w takim wieku, że coraz bardziej mam ochotę dzielić się wspomnieniami. Ostatnio np. wysłałam na zaproszenie jednego z Profesorów tekst o moich erasmusowych przygodach. Żyję przeszłością i teraźniejszością, o przyszłości wolę nie myśleć, choć ideałem jest żyć tylko dniem dzisiejszym: „Nie troszczcie się więc zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie. Dosyć ma dzień swojej biedy” (Mt 6, 36) – mówił Jezus Chrystus, a wcześniej Horacy sformułował zgrzebną maksymę: „Carpe diem” (*Pieśni* 1, 11, 8: „Chwytaj dzień, bo przecież nikt się nie dowie, jaką nam przyszłość zgotują bogowie...”). Dziś natomiast postanawiam uwiecznić pamięć o śp. Profesorze Czesławie P. Dutce – z perspektywy studentki oraz współpracownicy. W tym czasie, kiedy Pan Profesor był kierownikiem Zakładu Teorii Literatury, byłam studentką, a następnie asystentką i adiunktem w Zakładzie Literatury Romantyzmu i Pozytywizmu. Zawsze jednak sympatyzowałam z jego zakładem, często przychodząc na różne spotkania i zebrania, prywatnie zaś szczególnie bliskie były mi Małgosia Mikołajczak, Anastazja Seul i Beata Mirkiewicz. Kiedy Małgosia została Kierownikiem Zakładu i po pewnych rozsadach budowała od nowa jego skład, stałam się pełnoprawnym członkiem. Gdy Pan Profesor Dutka na krótki czas przed tym wydarzeniem odchodził z naszej uczelni na inną, zaprosił parę osób ze swego zakładu i właśnie mnie do pobliskiej restauracji „Figaro”. Pamiętam, że bardzo sympatycznie nam się rozmawiało przy lodach z owocami i z bitą śmietaną. To było ostatnie moje spotkanie z Panem Czesławem P. Dutką.

A teraz sięgnijmy do najdawniejszych wspomnień. Gdy na początku lat 90. rozpoczynałam studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze, na filologię polską ubiegały się trzy-cztery osoby na jedno miejsce. Pamiętam, jak na egzaminie z historii (gdź oprócz matury były jeszcze egzaminy wstępne) popełniłam błąd wywołujący dobry humor u jednego z wykładowców historii. Zamiast „Turcy” powiedziałam „Turki”. „Turki to może sobie pani posadzić na balkonie” – brzmiała riposta. Ale i tak zdałam bardzo dobrze i z radości w uczelnianej księgarni, której już dawno nie ma, kupiłam – pełna dumy – kilkanaście książek, wśród nich Czesława P. Dutki: *Literatura – badacz i krytyk*.

Później na wykładach byłam świadkiem, jak Profesor odwoływał się do tego dzieła. Zachęcał też do wypożyczenia lub kupna innych, np. *Tancerz idei. Pisarz jako autor i świadek znaczeń*. Miałam z Nim wykłady z poetyki, a na trzecim roku pięcioletnich, porządnych studiów – z teorii literatury. Pamiętam, że stwarzał aurę, przemawiając *ex cathedra* do około 90 studentów (na piątym roku zostało nas około 70). Majestatyczne gesty, tubalny głos z odpowiednim akcentem i intonacją, lekko pochyłona sylwetka, lekki uśmiech – tak Go pamiętam. Później się dowiedziałam, że Pan Czesław Dutka urodził się we wsi Oryszkowce niedaleko Tarnopola, miasta, z którego pochodzi mój tata. Coś jednak nas łączyło – jak to niepoprawnie się mówi: „wspólne korzenie” ze wschodnich rubieży dawnej Rzeczypospolitej. Stąd chyba ten nieco lwowski akcent i kresowy zaśpiew u Pana Profesora.

Pan Czesław Dutka podczas wykładów czynił wiele dygresji, np. do najnowszej historii i własnej postawy wobec władz PRL-u albo np. do turniejów szachowych, które były bardzo istotną częścią jego życia. Rozprawił o różnych naukowcach i ich pracach, niektóre z nich wyróżniając w ten sposób, że nazywał je „kongenialnymi”. Słowo „kongenialne” bardzo silnie zapadło mi w pamięci. Książki przyniesione z domu



lub z pokoju 214 Profesor ustawiał sztorcem na stole, by studenci z pierwszych ławek widzieli, jak wygląda przedmiot dyskursu. Owa aranżacja przypominała niekiedy klocki domino.

Na teorii literatury bardzo częstymi tematami były koncepcje szkoły lwowsko-warszawskiej czy fenomenologia Romana Ingardena. Wszystko to było dla nas nowe i trudne. Pan Profesor sprawiał na nas pozytywne wrażenie, a jednocześnie wszyściliśmy czuli doń szacunek i baliśmy się Go. Baliśmy się wielu wykładowców, gdyż dwóje i powtarzanie roku w czasach ostrej rywalizacji studentów polonistyki nie były rzadkim przypadkiem. Dla przykładu:

byłoby nas na piątym roku o wiele mniej, gdyby nie pojawiło się kilka osób z poprzedniego roku, tzw. spadochroniarzy (studenci ci nie zdali pewnego egzaminu z literatury i dlatego do nas trafili).

Na pierwszym i drugim roku Pan Czesław Dutka, ze względu na swoją dużą głowę przyozdobioną gęstymi, białymi włosami, wydatnym nosem, okazałymi ustami zdobył przydomek „Pana od Reksia”. Z uwagi zaś na owal twarzy był nieraz nazywany po prostu „Reksiem”. Ksywy i plotki (o plotkach szczególnie kontrowersyjnych przemilczę w tym wspomnieniu) na temat wykładowców to częsta praktyka studentów. Ja podobno miałam jako asystentka przydomek Świtezianka – chyba dlatego że przez wiele lat prowadziłam romantyzm i dlatego że chodziłam w długich sukienkach. Innych powodów mogę się jedynie domyślać.

Koleżanka z roku, a obecnie z pracy, językoznawczyni, pani dr hab. prof. UZ Joanna Gorzelana przypominała mi, że także zastanawialiśmy się nad inicjałem drugiego imienia. Czesław – zgoda. Ale P.? Ze względu na ekscentryczność samego Profesora studenci spekulowali, że może jest to imię Pankracy. W rzeczywistości P. oznaczało: Paweł. Jedna z koleżanek podobno nawet przysięgała, że Profesor się nazywa Czesław Pankracy Dutka, niektórzy w to uwierzyli. Joasia ma też jeszcze inne wspomnienie. Związane jest ono „z kwiecistym językiem, jakiego chętnie używał Profesor, szczególnie podczas wykładów. Podczas jednego z nich – chyba na pierwszym roku podczas wstępu do badań literackich, gdy studenci siedzieli i zachowywali się, jak to studenci – Profesor opowiadał o tym, co jeden nauczyciel kowieński przedstawiał w *Balladach i romansach*. Jedna z koleżanek zareagowała na tytuł i szeptem zapytała: «dlaczego on mówi, że to kowieński, to przecież Mickiewicz?». Widocznie skupiona była na czymś innym (?) i nie rozumiała jego peryfrazy. Później rozumiała go dobrze, gdyż napisała i terminowo obroniła – a dodam, że pod jego kierunkiem nie było to łatwe – pracę magisterską dotyczącą poezji Jana Lechonia. Za to kolega, który kupował w kiosku najnowszą „Literaturę na Świecie”, aby, trzymając ją demonstracyjnie pod pachą, być ocenionym przez Profesora jako gorliwy student, pracy magisterskiej napisać u niego nie mógł latami...” (z maila przesłanego mi na wp.pl 26 września 2020 r. o godz. 15:12; za zgodą pani Joanny Gorzelanej).

Pan Profesor przeprowadzał różne egzaminy, m.in. z poetyki, z teorii literatury, z dziejów teatru. Ćwiczenia z poetyki moja grupa miała z panią mgr Agnieszką Stawiarską. Były to bardzo fachowo, rzetelnie przeprowadzone zajęcia: uczyliśmy się po kolei z różnych podręczników, np. z *Zarysu poetyki* Ewy Miodońskiej-Brookes, Adama Kulawika i Mariana Tatary czy z *Zarysu teorii literatury* Michała Głowińskiego, Aleksandry Okopień-Sławińskiej, Janusza Sławińskiego, nie mówiąc już o *Słowniku terminów literackich*, wykonywanym przez nas niemal na pamięć. Robiliśmy wiele ćwiczeń na zajęciach, nieraz przy blasku gwiazd, gdyż poetykę mieliśmy z powodu braku sali i dużej liczby grup (nie to, co teraz!) do bodajże 20.00 czy 21.00. Raz analizowaliśmy wiersz *Księżyc* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Spojrzałam w okno – nasz ziemski satelita przeświecał przez konary ogołoconych z liści drzew. Co kilka tygodni Pani Stawiarska przeprowa-

dzała kolokwia. Bardzo dużo jej zawdzięczam. Myślę, że nie tylko ja jedna. Dzięki tej Wykładowczyni oraz dzięki systematycznej pracy egzamin z poetyki zdałam na piątkę. Ale zdarzały się na roku dziwne przypadki. Widzieliśmy kolegów i koleżanki, którzy zanim jeszcze weszli do pokoju Profesora, już mieli jakąś ocenę, często niedostateczną. Na biurku były bowiem poukładane całe stosy indeksów. Może ze zmęczenia Pan Dutka próbował przyspieszyć akcję i powstawał różne noty, nie znając studentów i nie słysząc tego, co mieliby ewentualnie do powiedzenia. Mnie to ominęło, na szczęście. W przypadku egzaminów starałam się zresztą nie bać „śmiertelnie” Profesora. Mówiłam sobie, że jest sympatyczny i nic złego mi nie zrobi. Nie wiem, może podświadomie wyczuwałam wspólne pochodzenie: z ziemi tarnopolskiej. Polacy, którzy tam właśnie mieli swoich przodków, charakteryzują się pewną nostalgią, romantyczną wrażliwością, odmienną od innych melodią głosu. Choć jestem córką repatriantów, obcy ludzie niekiedy mi mówią, że mam taką śpiewność w mowie. Specyficzną dykcję i pewne marzycielstwo miał też w sobie Pan Profesor Dutka. Może dlatego czułam w nim „bratnią duszę”. Kiedyś Profesor zauważył w moim indeksie z jednego przedmiotu ocenę niedostateczną. Była to jedyna dwójka w indeksie „zarobiona” w ciągu pięciu lat studiów: dostałam ją nie za wiedzę – bo ta dotyczyła składni i rozbioru zdań podrzędnie złożonych, z czego zawsze miałam piątki – ale za to, że mówiłam przez nos. Miałam bowiem z powodu alergii katar i źle wymawiałam nosówki w wygłosie. O rozbiorze logicznym zdań złożonych nawet nie dano mi powiedzieć. Dwójka i już. Gdy Profesor Dutka tę ocenę spostrzegł, wykrzyknął: „Taki anioł, a stawiał pani dwójkę!?” Dla mnie „aniołem” był bardziej Profesor Dutka, ale tę historię, dlaczego wówczas ponad 30% studentów z roku dostało z pewnego przedmiotu ocenę niedostateczną, pominiemy milczeniem.

Tezy egzaminacyjne zawsze były podawane wcześniej – na teorię literatury prawidłowo: było ich ponad 150. Na jednym z egzaminów odpowiadałam po kolei, a Pan Dutka w którymś momencie mówi: „Przejdź do drugiego pytania”. Akurat zaczynałam odpowiadać na trzecie, więc uczciwie stwierdziłam, że już to zrobiłam. A można było udać, że tyle ma się do powiedzenia i jeszcze raz odpowiadać „na drugie”. Na inny egzamin sprawiłam sobie – jako niezbyt zasobna w fundusze studentka – nowy długopis z zielonym wkładem. Z nim właśnie przygotowywałam się do odpowiedzi. Zestresowana i skupiona na *meritum* żywo gestykulowałam, więc usłyszałam: „Niech mi pani tak nie macha tym długopisem, bo zaraz pozbędzie mnie pani oka”. Jeszcze bardziej zestresowana odłożyłam ledwo kupiony długopis – na zawsze. Jeszcze na jakiś inny egzamin, może z teatru, było – jak zwykle – dość sporo do nauki. I jak zwykle, uczyliśmy się z koleżanką przez kilka miesięcy. Zbladłam, gdy zobaczyłam, że wylosowany zestaw trzech pytań nijak się ma do wcześniej podanego zbioru tez. Nie wypadało jednak zwrócić Profesorowi uwagi – trzeba było po prostu zdawać egzamin, jak gdyby nigdy nic.

Wszystkie egzaminy odbywały się w pokoju 214. Dostojeństwo Profesora Dutki szło w parze z powagą humanistów spoglądających na nas z portretów wiszących na ścianach: Juliana Kleintera, Jana Trzynałdowskiego i Wincentego Danka. Tworzyło to odpowiednią, naukową i nieco groźną aurę.

Z Panem Profesorem łączę jeszcze jedno wspomnienie. Kiedy kończyłam studia, poszłam do Urzędu Wojewódzkiego do Działu Szkolnictwa i dowiedziałam się, że jest praca w Liceum w Gubinie, w podstawówce w Bytnicy i gdzieś jeszcze. W moim rodzinnym mieście nie było już posady dla polonisty. Dyrektor Liceum w Gubinie przyjął mnie, zaproponował nawet sfinansowanie studiów w college'u angielskim, gdyż miałam uczyć polskiego po dwóch stronach granicy, wiedzy o kulturze europejskiej oraz angielskiego. Tymczasem Pan Profesor Leszek Libera zaproponował mi asystenturę na uczelni oraz pisanie pod jego kierunkiem doktoratu. Nie wiedziałam, jak wybrnąć z sytuacji i pamiętam, że poszłam po poradę do Pana Profesora Czesława Dutki. Rozmawialiśmy; Profesor mówił, że nieraz jest tak, że czym więcej mamy obowiązków, tym bardziej mobilizujemy się i organizujemy. Coś w tym jest... Ale ostatecznie zostałam tylko na uczelni. Uczestniczyłam w niektórych spotkaniach zakładu Pana Profesora; ten zwracał się do mnie po imieniu, prawidłowo w wołaczu: „Doroto” – zawsze z ujmującą intonacją. W pracy – właśnie dzięki osobom pokroju Profesora Dutki – miałam sposobność

obserwować nienaganne maniery i piękno języka polskiego. Jest zresztą więcej osób, które mają – rzecz ta powinna być zrozumiała zwłaszcza na filologii polskiej – bardzo wysoką kulturę wystąpienia. Zabawna – w moich oczach – historia była w momencie przyjmowania w progi Zakładu Teorii Literatury Pana Profesora (wówczas Doktora) Grzegorza Kubskiego. Szliśmy na powitalne spotkanie do pokoju 322 a i oto niecodzienna scena: przez parę minut Pan Dutka ustępował w drzwiach pierwszeństwa Panu Kubskiemu, a Grzegorz – Profesorowi:

- Bardzo proszę.
- Ależ nie, proszę uprzejmie.
- Pan pierwszy, proszę.
- Jak bym śmiał...
- Ależ Pan przyjechał do nas, jest gościem...
- Jakże bym mógł, Panie Profesorze!
- Ależ proszę.
- Pan pozwoli...

Itd. itd. Pewnie tylko ja pamiętam tę sympatyczną historię i chwilową konsternację wśród pozostałych. Nie pamiętam tylko, kto w końcu wszedł pierwszy...

Ekscentryczny sposób bycia Profesora przybrał też niecodzienny kształt w czasie organizowanego przez Sympozjum Mickiewiczowskiego: „Maska i cień”. Sesja odbywała się w Sali Dębowej w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, gdyż oprócz słuchaczy z zewnątrz przyszli wykładowcy z grupami studentów. Obrady prowadził Profesor Dutka. Ubrany uroczyście, aczkolwiek osobliwie: prezentował się w garniturze i w krawacie, a jednocześnie w... drewniakach. Tymi drewniakami co chwilę stukał, chodząc po podium. Szczególnie komicznie to wyglądało, gdy w trakcie wygłaszania referatów ktoś z zewnątrz zadzwonił do Profesora. Komórka była niewyciszona. Mało tego: Pan Dutka wstał i spacerując, na oczach wszystkich prowadził telefoniczną konwersację. Głos rozmawiającego Profesora mieszał się ze stukotem jego drewniaków. Sala czekała w skupieniu. W końcu widzowie doczekali się dalszego ciągu obrad. Gdy Pan Profesor Leszek Libera mówił o kawie i fajce Miśtrza, czyli o zatruciach się Mickiewicza tymi używkami, prowadzącymi w jego przypadku do wrzodów na żołądku, ja oczyma duszy widziałam kłęby dymu i odstawione filiżanki z niedopitą kawą, stosy kartek na biurku, a w tym wszystkim majaczącą postać wybitnego poety. Pięknie było tak słuchać... Po niedługim czasie powstała książka *Maska i cień*. Napiisałam jej recenzję, zamieszczając ją potem w regionalnym biuletynie pt. „Lubuski Informator Kulturalny”.

Pan Profesor Czesław Paweł Dutka zostanie w mojej i moich znajomych pamięci jako postać nietuzinkowa, barwna, nieco ekscentryczna; kochająca wiedzę i ludzi, posiadająca swój niepowtarzalny styl bycia: wystąpienia, ubioru i interpersonalnych zachowań. Dzięki takim postaciom uczelnie zdobywają wysoką rangę, ale mają też swoją niepowtarzalną atmosferę i urok.

Zielona Góra, 1 października 2020

# Odszedł Mistrz!

## Wspomnienie o Panu Profesorze Czesławie Pawle Dutce

Należałem do ostatniego rocznika, który uczył Pan Profesor na zielonogórskiej polonistyce. Słynny gabinet z czterema portretami Mistrzów, choć na końcu stołu, jak się szybko okazało, też Mistrz – i *arbiter elegantiarum*.

Nieco zagubiony student czwartego roku, szukałem pomysłu na swoje magisterium. Nakreśliłem w czasie pierwszych zajęć seminarium obszar zainteresowań, po tygodniu otrzymałem pomoc, co... zmieniło moje życie i nadal nadaje mu kształt. Pan Profesor zaproponował temat; byłem chyba jedynym studentem filologii polskiej na swoim roku, który chciał napisać pracę magisterską o powieści wciąż żyjącego autora. *Madame* Antoniego Libery. Panu Profesorowi od początku podobał się ten pomysł i zachęcił mnie do kontaktu z autorem. Nigdy nie zapomnę listu z Warszawy – odpowiedzi na moją wiadomość, drżenia rąk, strachu przed otwarciem koperty. Pan Profesor uśmiechał się, gdy opowiadałem Mu o nabożnym potraktowaniu przesyłki ze stolicy. Wiedział, dobrze wiedział, co to znaczy dla młodego człowieka, sam, jak się później okazało, spotykał w swoim życiu wielkich literatury (literatury – porozumiewawczo uśmiechał się Profesor). Szybko się okazało, że mój Promotor ma dużo wspólnego z dziełem Libery! Przecież to Mistrz szachowy, a jednym z tematów, w sensie muzycznym, to znaczy pojawiającym się w całej powieści w postaci powtórzenia, są szachy. A postaci? Na przykład pan Konstanty, jego syn Jerzyk czy ojciec tytułowej *Madame*? To przedstawiciele dawnej inteligencji, czytani, przestrzegający niepisanego Kodeksu, ludzie zasad. Profesor do nich należał, należał do opisanego świata, był człowiekiem Wartości, dbał o szczegóły; tytan pracy, arbiter elegancji. Tak, trzeba o tym wspomnieć, koniecznie! Imponował nam nie tylko wiedzą, lecz także sposobem bycia, ubiorem, a nawet uczesaniem. Zawsze elegancki, zawsze pełen kultury, człowiek z klasą. Czy wiązało się to z jakąś pompą i niepotrzebnym wywyższaniem siebie? Nie, prawdziwa inteligencja nie potrzebuje takich „dodatków”. Pan Profesor lubił się śmiać, nigdy nie zapomnę, jak czytał nam w swoim gabinecie Wóódy’ego Allena. Tak, „Wóódy Allen”! „Czytajcie *Pochwałę głupoty* Erazma z Rotterdamu, polecam”, rzucił ironicznie do studentów, gdy chwilowo tracił cierpliwość.

Zajęcia z Panem Profesorem zaowocowały znajomością z Antonim Liberą, w roku 2007 spotkałem się z autorem i poprowadziłem z nim spotkanie z czytelnikami, do dziś pozostajemy w kontakcie, staram się przygotować rozprawę doktorską o jego twórczości. Mistrz, prawdziwy Mistrz ukierunkowuje, wskazuje drogę i nie opuszcza, lecz wiernie towarzyszy. Bo nigdy nie przestaliśmy z Panem Profesorem korespondować i telefonować. Trzy lata temu, w czasie wizyty w jego domu w Wałbrzychu, podarował mi kilkadziesiąt książek ze swojej biblioteki. Pragnę, ponad wszystko pragnę mieć kiedyś taką bibliotekę!

Pan Profesor Czesław Paweł Dutka miał być recenzentem mojej pracy doktorskiej, miałem Mu ją, żywemu, zadedykować, to miał być hołd, chciałem, by się nią cieszył, by wiedział, że wydaję plon, że byłem pojętym uczniem.

Kapitanie! Mój Kapitanie! Minął lęku czas;  
Twój okręt rozbił mnogość fal, by dobyć z głębin skarb!

Walt Whitman, *O Kapitanie! Mój Kapitanie*

Tym skarbem są rzesze uczniów, studentów i po prostu ludzi, którzy dzięki Tobie stali się lepsi, którzy dzięki Tobie sięgają gwiazd!

Życie i praca Pana Profesora Czesława Pawła Dutki niech woła, niech krzyczy, niech będzie przykładem dla nas, którzy jeszcze przez chwilę zostajemy na Ziemi:

Do not go gentle into that good night!  
Rage, rage against the dying of the light!

Dylan Thomas, *Do not gentle into that good night!*



# Małgorzata Kowalska-Masłowska

## (13 sierpnia 1958 – 31 sierpnia 2020)

Absolwentka zielonogórskiej WSP z dyplomem *Primus inter pares*. Utalentowana krytyczka literacka, dziennikarka, eseistka. Jeszcze będąc na studiach, współredagowała czasopismo „Faktor”. Po ukończeniu studiów rozpoczęła staż w redakcji „Nadodrza”, publikując recenzje i szkice literackie. Publikowała także w „Poezji” i „Integracjach”. Na skutek partyjnej biurokracji pozbawiono ją pracy w redakcji. Współpracowała redakcyjnie przy tworzeniu periodyków („Gazeta Nowa”, „Codzienny Express Zachodni”, „Prosto z Ratusza”, „Informator Kulturalny Województwa Lubuskiego”). Następnie została zatrudniona w Lubuskim Teatrze, gdzie pracowała w dziale literackim, wydając niezliczone publikacje teatralne. Przez szereg lat współpracowała redakcyjnie z Muzeum Ziemi Lubuskiej. Była niezwykle pracowita, twórcza i przyjazna środowisku bohemy artystycznej. Zmarła po długiej, wycieńczającej chorobie. Poniżej publikujemy teksty wspomnieniowe Jej współpracowników i przyjaciół.



Małgorzata Masłowska (po prawej) z Jadwigą Bocho-Kokot. Skromna, jakby na drugim planie

Andrzej Buck

# Zapis niepełny... tak ją zapamiętałem (Małgorzata Kowalska-Masłowska)

Była zawsze na drugim planie, skromna...

Zawsze krok z tyłu...

Redaktor, dziennikarka, eseistka, recenzentka... CZŁOWIEK..

Lubiła szczególnie Ewę Lipską, pisała na jej temat pracę magisterską...

Jej dorobek dziennikarski jest przeogromny. Przeglądam jej bibliografię, imponujące są wywiady z ludźmi kultury i sztuki, eseje, artykuły...

Pracowaliśmy wspólnie w kilku redakcjach: „Faktor”, „Gazeta Nowa”, „Prosto z Ratusza”, „Informator Kulturalny Województwa Lubuskiego”...

Była studentką filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, pierwszych roczników, należała do absolwentów, którzy tworzyli i stworzyli później intelektualny wizerunek Zielonej Góry...

Szczególnie pamiętam naszego „Faktora” – jednodniówkę zielonogórskich studentów i naszą współpracę w drugiej połowie lat siedemdziesiątych...

Potem pojawiła się w „Gazecie Nowej” – pierwszej, niezależnej gazecie codziennej w Zielonej Górze... Pisała tu o teatrze i literaturze...

Kiedy odchodziłem z redakcji, pozostała w „Codziennym Expressie Zachodnim”, który powstał na bazie zespołu „Gazety Nowej”. Lubiła dziennikarskie rzemiosło. Usatysfakcjonował mnie wtedy wywiad, który ze mną przeprowadziła\*.

---

\* 160 lat temu kochano tak samo, Z Andrzejem Buckiem, twórcą adaptacji *Pana Tadeusza*, kierownikiem literackim Teatru Lubuskiego, rozmawia Małgorzata Masłowska, „Codzienny Express Zachodni” 1994, nr 49, s. 4.

Na jej drodze pojawiło się też „Lubuskie Nadodrze”. Reaktywacja się nie udała, ale pismo powstałe z sentymentu do dwutygodnika „Nadodrze” przez jakiś czas funkcjonowało na rynku wydawniczym...

Wcześniej redagowaliśmy, po rezygnacji redaktora Lucjana Fokszana, „Informator Kulturalny Województwa Lubuskiego”, którego historia zaczęła się w „Gazecie Nowej”. Ukazywał się jako dodatek...

Wspólnie z Anią Tokarską, poetką, sekretarzem literackim LT, przycupnęła na kilka lat na trzecim piętrze budynku Lubuskiego Teatru. Mieścił się tam Dział Literacki Teatru. Redagowaliśmy programy, tzw. „Zeszyty Teatralne” zainicjowane niegdyś przez Zdzisława Giżejewskiego...

Redagowaliśmy wiele wydawnictw Teatru: oprócz „Zeszytów Teatralnych”, „Almanach Lubuskiego Teatru”, plakaty, afisze, ulotki, książki (*Lubuski Teatr. Dokumentacja. 1971-2003*)...

Przez ostatnie dwa lata pomagała mi w przygotowaniach materiału do kolejnej książki o Lubuskim Teatrze. Wkrótce się ukaże, ale Małgorzata tego nie doczekała...

Przez lata chorowała w milczeniu. Niewiele o tym mówiła.

Odeszła...



Ekipa Lubuskiego Teatru z niemieckim gościem Michaeliem Beckerem stojącym centralnie. Pierwsza z prawej Małgorzata Masłowska

# Gosia

## (Małgorzata Maśłowska we wspomnieniach przyjaciółek)

*Umarłych wieczność dotąd trwa,  
dokąd pamięcią się im płaci*

Wisława Szymborska

### Małgosieńka...

Bliska, wyjątkowa, empatyczna, uważna, subtelna, o pięknej i wrażliwej duszy. Księżna dobroci i łagodności. Sięgnęła po ciszę... Trudno przyjąć do wiadomości, że to czas przeszły, dokonany... Nikt nie przeżywa życia do końca, a już na pewno nie Ona... Tyle miała do zaoferowania, tak chętnie dzieliła się z nami swoim niezwykłym talentem... Strata społeczna... Ja straciłam niezawodną, serdeczną Przyjaciółkę... Małgosieńko kochana, teraz pięknie opisz pejzaże łąk niebiańskich, czuwal nad swoimi ukochanymi – Zbyszkiem i Agusią. Bądź naszym Aniołem...

Dorota Adamiec

### Masełko

Trudno jest pisać o Małgosi w czasie przeszłym. Ona nie nadaje się, aby Jej nie było, bo zawsze była w moim życiu. W domu, z Justynką, w Galerii, gdzie Małgosię 30 lat temu poznałam. To Ona pisała wszystkie wstępy do katalogów, te piękne zaproszenia na kolejne rocznice. To Gosia w trudnych czasach Galerii kupowała obrazy. To Ona mobilizowała nas do spotkań towarzyskich, organizując swoje urodziny, imieniny czy kolejne rocznice po przeszczepie. Zawsze pamiętała o nas i naszych wspólnych znajomych. Korespondowała z nimi w naszym imieniu, a potem komunikowała, że Ula czy Dorota dostały list od nas. Nie mogę ciągle zapamiętać, że mam zapomnieć o Małgosi przyjaciółce, Małgosi matce, Małgosi piszącej bloga, Małgosi szalonej i naszych z Nią wakacji, naszego z Nią życia.

Jadwiga Bocho-Kokot

### Małgosia

Była zachwycająco zachwycona życiem. Była zadziwiająco zadziwiona życiem. Nasze spotkania – mó-



wiłyśmy jednocześnie, a Małgosia słuchała, słuchała, słuchała, dopytywała i wybuchała tym swoim cudnym śmiechem. Bardzo chciała spełniać nasze marzenia, dawać nam prezenty. Uwielbiała kupować nam kwiaty i książki. Z wielką troską zaprzyjaźniała się z ludźmi. Musieliśmy upewniać Ją, że niczym nas nie uraziła. Małgosiu, zmieniałaś mnie swoim odejściem...

Hanna Olasińska

\*\*\*

Często rozmawiałam z Gosią o wszystkim, ale o literaturze chyba najczęściej. Dała mi kiedyś do przeczytania swój esej. Krótco po tym kanadyjska pisarka Munro dostała Nagrodę Nobla. Rozmawiałyśmy o tej nagrodzie i powiedziałam Jej wtedy: – Gosiu, pisz! Ty piszesz tak, jak ta noblistka!

Pamiętam pewną Wigilię, którą Gosia spędzała z nami. Po kolędach słuchaliśmy Glena Millera, który sprowokował nas do tańców. Gosia ruszyła pierwsza. A potem zapytała: – Czy tak można? Tańczyć w Wigilię? Czy to wypada?

Wypada, Małgosiu. Tobie wypada!

Hanna Łobocka

### Gosiu!

Nie jestem pogodzona z Twoim odejściem. Jest we mnie smutek i żal.

Dostałam od Ciebie wielki dar – empatię.

Przy Tobie czułam, że jestem słuchana, nie oceniałaś, nie radziłaś. Byłaś!

Wspierałaś moje plany związane z kreowaniem zapachów perfum.

Byłaś doradcą przy tworzeniu nowych alkoholi.

Jesteś autorką nazwy *Dlaczego Nie i Złotej Łąki* dla likierów produkowanych kiedyś przez zielonogórski Polmos.



Dostawałam od Ciebie książki, które ceniłaś szczególnie, na przykład *Biegunów* Olgi Tokarczuk z dedykacją, zanim została noblistką.

Mam w pamięci nasze rozmowy w Galerii u Jadźki przy okazji wystaw, aukcji, kabaretów, występów i zabaw.

Mam też w pamięci spotkania najbliższego grona galerianek, przyjaciółek na dobre i złe, i te w czasie pandemii. Wtedy nie przypuszczałam, że widzimy się ostatni raz.

Elżbieta Gołdyka

PS

Jestem pewna, że jak patrzysz „z góry” na to, co się dzieje teraz w naszym kraju, jesteś dumna z młodego (nowego) pokolenia!

**M.M.**

Wszyscy do Małgosi mówili czule: Małgoś, Gosiu, Małgosiu, Masełko. Nie słyszałam: Gośka, Gocha. Była ostatnio bardzo krucha, drobna, ale zawsze ciepła, serdeczna. Gosia erudytka, humanistka, czytana od najmłodszych lat. Najlepsza uczennica liceum w Gubinie. Tak Ją wszyscy pamiętają. Ja też. Ale pamiętam też Gosię-rudzielca, gwiazdę rozrywkową, szalejącą na dyskotekach Zielonej Góry. Takie to czasy..

A potem ta chwila w Galerii Jadźki, gdy dostała telefon ze szpitala, że czeka na Nią nerka. Zbyszka nie było w Zielonej Górze, więc zapakowałam Gosię do samochodu, a Ona powtarzała, żebym nie zapomniła golarki. Pojechaliśmy na Jana z Kolana (tak mówiła). U niej torba gotowa, a my zaczęłyśmy głośno wymieniać po kolei, czy wszystko ma. Miała. Bo już kiedyś był taki telefon... Pędem do szpitala, a potem już Zbyszek zaczął działać. Ale to był stres. Ręce się trzęsły, serce waliło... Wtedy się udało!

Tyle wspólnych spotkań z filmami Wajdy, kiedy Jadwiga postanowiła, że będziemy po kolei je oglądać. Jak się okazało, Gosia miała je wszystkie, tylko że my w połowie filmu zaczynałyśmy gadać i nic z tego nie wyszło... Uwielbiała Chwina, kupowałyśmy sobie nawzajem jego książki. O Pilchu, po jego śmierci, napisała świetny esej. To był prawie Jej ostatni wpis na blogu, który prowadziła. Jej zainteresowania to też świat mody, nie tylko współczesnej. Kurczę blade! Kiedy Ona miała na to czas?

Cóż... teraz Jej tego czasu nie brakuje. Boleję za Nią bardzo.

Izabela Eckert



\*\*\*

Jesteśmy już wszystkie? Masło dotrze na pewno? Tak, Iza mówiła, że rozmawiała z Nią, trochę się spóźni. Zawsze kupuje kwiaty. O, idzie! Powoli, schody w naszym ulubionym lokalu są strome, a Ona taka słabiotka. Ale dociera do nas z tym cudnym, najszczęśliwszym uśmiechem. Zawsze szczęśliwa, że możemy pobyć ze sobą, pośmiać się, ponarzekać i posłuchać.

Małgosiu, nikt nie umie słuchać tak jak Ty. Boże! Jak my strasznie dużo gadamy, a to Ty masz najwięcej do powiedzenia! Ktoś, z kim studiowałaś filologię polską, powiedział mi, że jeśli zabrałaś głos na zajęciach, to nikt potem już się nie odezwał ani słowem... A Ty, kochana, prawisz nam komplementy? To dzięki Tobie każde nasze spotkanie jest świętem. A pamiętasz, jakie niezapomniane popołudnie zorganizowałaś nam na polu golfowym? Nie szkodzi, że uruchomił się system zraszający (!).

Zdumiewające, że taka krucha i słaba przemierzasz kilometry z tym kijem? Dziękuję Ci, że mogłam zaistnieć z moim tekstem o sukienkach na Twoim blogu. Jesteś wyjątkową przyjaciółką! Niebawem nasze kolejne spotkanie; nie przynoś nam czekoladek, książek, kwiatów! Przyjdź, możesz się spóźnić, tylko nie za dużo, proszę, bo potwornie tęsknię...

Kasia Zalewska



Joanna Kapica-Curzytek

# Felix Lichnowsky i Dorota de Talleyrand- -Périgord – historia miłości

**On – przedstawiciel znakomitego rodu, niespokojny duch i miłośnik życia. Ona – wykształcona kobieta z ambicjami, mecenaska kultury, filantropka. Ich miłości nie przeszkodziła różnica wieku. W tle ich uczucia przenikają się i pięknie łączą ze sobą dzieje Polski, Niemiec i Czech, składając się na wspólną historię Europy.**

Felix Lichnowsky (1814-1848) wywodził się ze szlacheckiego śląskiego rodu książąt Lichnowskich (pisaliliśmy o nich w „Pro Libris”, w numerze 1-4/2017). Ich rodzinną siedzibą był zamek w Hradcu nad Morawicą pod Opawą, obecnie niedaleko czesko-polskiej granicy. Malowniczo położony, zbudowany na dawnym miejscu grodziska Gołęczyców, do dzisiaj urzeka urodą i jest popularnym celem turystycznym. Hradec nad Morawicą to także ważne miejsce dla historii Czech i Polski: ponad tysiąc lat temu orszak Mieszka I witał tam przybywającą na ślub księżniczkę Dąbrówkę. Upamiętnia to znajdująca się na terenie zamku tablica.

Hradec nad Morawicą widział wielu znamienitych gości. Dziadek Felixa, Karl Alois Lichnowsky (1761-1814) przyjaźnił się z Johannem Wolfgangiem Goethem, a także był znanym mecenasem kultury, m.in. ważnym patronem Ludwiga van Beethovena. To księciu Lichnowskiemu słynny kompozytor zadedykował swoją Sonatę c-moll op. 13 zwaną „Patetyczną”.

Młodość Felixa musiała być niezwykle burzliwa. Uczęszczał do gimnazjum w Opawie, studia prawnicze ukończył w Ołomuńcu. Myślał o służbie dyplomatycznej (zgodnie z rodzinną tradycją), ale jej podjęcie uniemożliwiły mu różne skandalizujące epizody. O tym, że trudno było mu usiedzieć w miejscu, może świadczyć to, że wyjechał do Hiszpanii na front toczącej się tam wojny domowej (1833-1840), tzw. pierwszej wojny karlistowskiej o sukcesję pod koniec panowania króla Ferdynanda VII.

Felix Lichnowsky poznał księżną Dorotę de Talleyrand-Périgord w 1843 roku, w majątku ich wspólnego przyjaciela, księcia Hermanna von Pückler Muskau w Mużakowie (to dzisiaj perła województwa lubuskiego na pograniczu polsko-niemieckim). Felix miał wtedy 29 lat, Dorota – nieco ponad 50, była więc dla niego, jak to wtedy określano, *un dame d'un certain âge* (damą w pewnym wieku). Księż-

na miała już wtedy za sobą małżeństwo i rozwód z Edmundem de Talleyrand; była przez wiele lat związana z jego stryjem Karolem de Talleyrand-Périgord, zmarłym w 1838 roku. Był on najpierw duchownym katolickim, a po wystąpieniu z Kościoła – dyplomatą, francuskim ministrem spraw zagranicznych i reformatorem. Księżna Dorota aktywnie wspierała go w karierze. Po jego śmierci przeniosła się do swojej siedziby w Zatoniu. Pozostała przy tym aktywną bywalczynią salonów i obracała się w znakomitym towarzystwie. Spotkanie z księżną Dorotą zapoczątkowało nowy, intymny rozdział w biografii Felixa Lichnowskiego, do tej pory bardziej awanturniczej i pełnej męskich przygód, aniżeli romantycznej i uczuciowej.

Nikomu z czytelników zapewne nie trzeba przedstawiać bliżej księżnej Doroty de Talleyrand-Périgord, której bliskie związki z Zatoniem (obecnie częścią Zielonej Góry) oraz Żaganiem do dzisiaj są w naszym regionie dobrze wspominane, a także wnikliwie badane i kultywowane. Księżna należała do elity ówczesnej Europy, i to od najmłodszych lat. Kształciła się prywatnie pod okiem Scypiona Piattolego, dawnego sekretarza króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Gdy w 1815 roku odbywał się kongres wiedeński, Dorota i jej trzy siostry były tam obecne jako narzędzie tajnej dyplomacji: każda z nich odegrała tam swoją rolę.

Te cztery kurlandzkie księżniczki z Żagania – „kurlandzkie gracje” stanowiły ówczesnie awangardę i wzór kobiecej emancypacji, pozwalały sobie na zachowanie bez zahamowań, wolno im było otwarcie wyrażać swoją wolę – na to pozwalały im znakomite wykształcenie, uroda i wysokie urodzenie. Najstarsza siostra Doroty, Katarzyna Wilhelmina, była kochanką francuskiego ministra księcia Metternicha. Podczas kongresu wiedeńskiego największą niezależność przejawiała najmłodsza Dorota, która pomimo nieszczęśliwego małżeństwa samodzielnie decydowała o sobie i żyła pełnią życia. To tam, w Wiedniu, zaczął się jej związek z Karolem de Talleyrand-Périgord, trwający aż do jego śmierci.

W życiu Doroty był przez krótki czas jeszcze inny Karol: to hrabia Clam-Martinic. Ich romans zapewne pozostałby tylko biograficzną ciekawostką, gdyby nie urodzona w 1816 roku z tego związku córka. Po ponad 160 latach czescy badacze wysnuli przypuszczenia, że mogła to być Barbora Panklová – później Božena Němcová, znana czeska pisarka, prekursorka tzw. nowej prozy. Świadczyło o tym jej znaczące podobieństwo do kobiet z rodziny książęcych żagańskich, a także to, że siostra Doroty, księżna Katarzyna (jako „dobra pani”) została uwieczniona przez Němcovą w do dziś czytanej w Czechach książce (i lekturze szkolnej) *Babička* (Babunia), przedstawiającej wyidealizowany obraz życia na wsi. Pierwsze wydanie książki ukazało się w roku 1855<sup>1</sup>.

Według innej wersji, Panklová vel Němcová miała być córką księżnej Katarzyny i Metternicha. Dziś już obie te hipotezy uznaje się za mało prawdopodobne, jednak ze względu na te spekulacje, a przede wszystkim za sprawą powieści *Babička*, dzieje i życie książęcych kurlandzkich z Żagania stały się także częścią historii Czech. Postacie księżniczek żagańskich są tam rozpoznawalne i często opisywane w literaturze naukowej i popularnej.

Wracając do Doroty i Felixa, ich znajomość najpierw była przyjaźnią, a z czasem przekształciła się w intymną relację. Niestety, zniszczono wiele listów, które oboje pisali do siebie, ponieważ rodzina uważała ten związek za skandal. Jednakże część korespondencji zachowała się. W listopadzie 1843 Dorota pisała do Felixa:

Musisz przecież wiedzieć, że kocham cię ponad wszystko, ofiaruję ci mój honor, spokój i zbawienie. Jednak nie, mój aniele, nie mogę tego nazwać ofiarowaniem; oddałam ci to wszystko z radością, albowiem wiara, że mnie kochasz, wszystko mi wynagradza, i właśnie dlatego, mój kochany Lichy [pieszczotliwe zdrobnienie od nazwiska – przyp. autorki], byłoby to okropne i haniebne, gdybyś mnie oszukał i igrał ze mną<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Wydanie polskie: B. Niemcowa, *Babunia*, przeł. P. Hulka-Laskowski, wstęp M.R. Mayenowa, komentarz J. Trzynałowski, Wrocław 1951.

<sup>2</sup> List w oryginale po niemiecku, tłumaczenie własne autorki artykułu z jęz. czeskiego na podstawie: Dušan Uhliř, *Slezský slechtic Felix Lichnovský: poslední láska kněžny Zaháňské*, Praha; Litomyšl: Paseka, 2009, s. 88.

Dwa listy Doroty przytoczone przez Dušana Uhliřa przynoszą obraz kobiety całkowicie poddanej swojemu uczuciu, pewnej swojej miłości i solennie o niej zapewniającej. Jak moglibyśmy się spodziewać po damie piszącej do mężczyzny o 21 lat młodszego, pobrzmiewają tu także nuty niepewności, choć trudno powiedzieć, że są to słowa osoby zebrzącej o miłość. Na to nie pozwoliłaby Dorocie wysoka samoocena, poparta urodą i pozycją w świecie.

Oboje jednak nie koncentrowali się tylko i wyłącznie na wyrażaniu swoich uczuć. Dużo razem podróżowali; w 1846 roku zostali nawet przyjęci na audiencji przez ówczesnego papieża Grzegorza XVI. Dorota spędzała zimy w Berlinie, a latem przebywała w Zatoniu. Tymczasem w 1845 roku Felix jako najstarszy syn został jedynym dziedzicem dóbr rodowych, a w jego ręce trafił m.in. zamek w Hradcu nad Morawicą. Majątek był jednak zadłużony, dlatego księżna Dorota wspierała Felixa finansowo.

Po raz ostatni Dorota i Felix spotkali się w Berlinie, w maju 1848 roku. Stolica była rozpolitykowana, dyskutowano nad najlepszymi dla Niemiec formami władzy, które powinny zostać zatwierdzone przez parlament frankfurcki. Nadchodziło widmo politycznego kryzysu. W licznych sporach i dyskusjach brali udział oboje z wielkim zaangażowaniem.

Felix Lichnowsky jako polityk reprezentował miasto Racibórz i ziemię raciborską jako poseł do parlamentu frankfurckiego w 1848 roku. Było to Zgromadzenie Narodowe zwołane w konsekwencji wybuchu Wiosny Ludów, w celu omówienia warunków zjednoczenia Niemiec. Felix był skrajnym prawicowym konserwatystą, bezgranicznie oddanym pruskiej monarchii. Reprezentował poglądy wyraziste i na tyle kontrowersyjne, że na Raciborszczyźnie zaczęto nawet organizować kampanię na rzecz jego odwołania. W prasie pojawiały się jego karykatury.

Sesja parlamentu frankfurckiego 16 września 1848 zakończyła się brakiem porozumienia, a nawet kłótnią. Felix Lichnowsky wygłosił tam ostre przemówienie. Dzień później miała miejsce we Frankfurcie nad Menem wielotysięczna demonstracja. Miasto było niespokojne, postawiono liczne barykady, ludzie na ulicach byli przeważnie pod bronią, pobudzeni i skłonni do zamieszek. 18 września Felix wybrał się konno „na przegład barykad” z generałem von Auserwaldem – również posłem parlamentu frankfurckiego. Tam ich obu rozpoznano i właściwie można powiedzieć, że padli ofiarami linczu ze strony rozwścieczonego tłumu. Felix zmarł z powodu odniesionych ran dzień później, 19 września.

Wstrząsająca wiadomość o śmierci Felixa zastała księżnę w jej rezydencji w Żaganiu. Dzieliła się swoim głębokim smutkiem ze swoim przyjacielem, hrabią von Pückler Muskau. 26 września 1848 hrabia tymi słowami odpowiedział na list księżnej Doroty:

[...] nasze dusze spotykają się w głębi współczucia. Tak, w ten sposób objawia się prawdziwe głębokie uczucie [...] kochałem naszego szlachetnego, wspaniałego Felixa dla samej radości z jego pięknej i miłej powierzchowności, przenikniętej tak mocno iskrą bożą; także jego małe wady – choćby jego naiwność – teraz będzie mi się to jawić w pozytywnym świetle... [...] Lichnowsky zmarł jako męczennik [...], jako człowiek w najwspanialszym i najpiękniejszym okresie swojego życia, a jednocześnie znajdujący się w obliczu złożonego kryzysu, w którym znalazła się cała ludzkość<sup>3</sup>.

Na ziemi raciborskiej wiadomość o śmierci Lichnowskiego przyjęto z mieszanymi uczuciami, choć wszyscy przyznawali, że był to grom z jasnego nieba. Pomimo że wcześniej prowadzono kampanię przeciwko odwołaniu Lichnowskiego z funkcji posła do parlamentu frankfurckiego, po jego śmierci nastąpiła zmiana i słychać było głosy sympatii. Nie bez znaczenia była tu postać matki Felixa, Eleonory Lichnowskiej,

<sup>3</sup> List w oryginale po niemiecku, tłumaczenie własne autorki artykułu z jęz. czeskiego na podstawie książki Dušan Uhliř, dz. cyt., s. 132.

przeżywającej publicznie wielki ból po stracie najstarszego syna. Licząca 53 lata księżna stała się symbolem jako stojąca na straży rodowej tradycji i strzegąca rodzinnego gniazda. Wokół niej skupiła się, łącząc w bólu, cała rodzina.

Pogrzeb Felixa zorganizowała księżna Dorota. Pochowano Lichnowskiego najpierw we Frankfurcie nad Menem. Po jakimś czasie ciało zostało ekshumowane i pochowane ponownie w Hradcu nad Morawicą.

Przed śmiercią Felix Lichnowsky zdążył jeszcze wyrazić swoją ostatnią wolę. Zostawił w spadku zamek w Hradcu nad Morawicą księżnej Dorocie. Była właścicielką tej posiadłości niemal dokładnie dwa lata. We wrześniu 1850 roku sprzedała ją bratu Felixa, Robertowi Lichnowskiemu (duchownemu, kanonikowi ołomunieckiemu). Później Hradec nad Morawicą odziedziczył młodszy brat Roberta, Karl. Ostatnimi właścicielami tej posiadłości byli najstarszy syn Karla, Karl Max Lichnowsky, wybitny obywatel ziemi opawskiej i raciborskiej, oraz jego żona, pisarka i artystka Mechtilde Lichnowsky. Po drugiej wojnie światowej w 1945 roku zamek w Hradcu nad Morawicą przeszedł w ręce państwa czechosłowackiego.

Księżna Dorota de Talleyrand-Périgord zmarła w 1862 roku, 19 września – dokładnie w 14. rocznicę śmierci Felixa.

\*

W tle uczucia Doroty i Felixa przenikają się i pięknie łączą ze sobą dzieje Polski, Niemiec i Czech, składając się na wspólną historię Europy. W przywołaniu ich losów znaczenie ma także mój osobisty punkt widzenia. Urodziłam się w Raciborzu, a położony niecałe 40 km od mojego rodzinnego miasta Hradec nad Morawicą jest częścią mojej małej ojczyzny, ważnym miejscem dla mnie i mojej rodziny. Jeździmy tam o każdej porze roku, zawsze od nowa zachwycając się piękną okolicą. Moi przodkowie byli poddanymi książąt Lichnowskich.

Obecnie mieszkam w Zielonej Górze, na Ziemi Lubuskiej, gdzie nadal żywa jest pamięć o księżnej Dorocie de Talleyrand-Périgord. Postacie Doroty i Felixa oraz ich wzajemne uczucie w symboliczny sposób zbliżają do siebie dwa drogie mi regiony, z którymi łączą mnie bliskie emocjonalne więzi.



# Cicer cum caule prof. Mariana Bugajskiego

Z profesorem Marianem Bugajskim rozmawia Aleksandra Kucza

Popularyzator polszczyzny i kultury języka, językoznawca. Autor publikacji naukowych, które kształtowały współczesną lingwistykę normatywną. Członek Rady Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, a przez 25 lat przewodniczący Komitetu Okręgowego Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Prof. zw. dr hab. Marian Bugajski związany jest z Zieloną Górą od 1992 roku. W 2020 roku dał się natomiast poznać z innej, nie naukowej, a poetyckiej strony. *Kaczka z jabłkami* nie tylko wywołuje uśmiech na twarzy czytelnika, ale przede wszystkim zmusza do refleksji.

**Aleksandra Kucza:** Językoznawstwo to dziedzina, w której specjalizuje się Pan od lat, Panie Profesorze. Napisał Pan wiele prac związanych z tą tematyką. Jak więc narodził się pomysł wydania formy zupełnie innej – tomiku poezji?

**Marian Bugajski:** Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Trochę pisałem, a trwało to około roku. Później przyjaciele namówili mnie, abym to wszystko wydał. *Kaczka z jabłkami*, co po łacinie oznacza „cicer cum caule”, to efekt nie pracy, lecz zabawy.

Zapoznając się z zawartością tomiku, można odnieść wrażenie, że jest on pewnego rodzaju pamiętnikiem. Czy to prawdziwy wniosek?



Autopsja nie ma z tym wszystkim raczej nic wspólnego. Ostatnio dużo podróżowałem, szczególnie pociągami, które raczej się nie śpieszą, więc trochę z nudów pisałem – w Zbąszyniu, Poznaniu, w Kutnie, gdzieś pod Łodzią pisałem. Wena przyszła do mnie nagle.

Można więc pokusić się o stwierdzenie, że podróże służą wienie?

Tak, to dzięki Kolejom Państwowym, w wyniku nudy, napisałem część swoich wierszy.

### **A więc nuda może okazać się inspirująca?**

Wena nie lubi nudy.

**Z nudą niewiele wspólnego mają również różnego rodzaju stwory. W rozdziale *Zmory, duchy, upiory* przywołuje Pan istoty paranormalne. Skąd pomysł, aby pewną część poezji poświęcić akurat takiej tematyce?**

Z literatury. Wymieniam tam m.in. strzygę, wilkołaka, wampira. Te istoty żyją obok nas, a ja w swojej poezji traktuję je raczej żartobliwie, ponieważ takie strachy mogą być zabawne. Wtedy, kiedy nie było jeszcze telewizji i internetu, ludzie opowiadali swoim dzieciom bajki, najczęściej wieczorami, a dotyczyły one bardzo często zjaw i potworów. Nie wiem, jak jest teraz. Czy te postacie wciąż są żywe? Jeśli zająłbyśmy do źródeł takich jak Wikipedia, przeczytalibyśmy o nich w czasie przeszłym, np. strzyga nie jest, ale strzyga była. Tego rodzaju opowieści i ich bohaterowie tkwią w naszej kulturze.

### **Warto jest do niej sięgać?**

Tak. Mój wnuk, gdy był młodszy, oglądał różne japońskie kreskówki, które rzecz jasna są dalekie od Mickiewicza, którego czytano mi w dzieciństwie. Lektury takie jak *Dziady* traktowane były jako rodzaj rozrywki. Warto poznać to, co jest bliskie naszej kulturze.

**Młode pokolenie wie, kim jest strzyga lub wampir, ale nie wszyscy umielibyśmy precyzyjnie określić, jaki związek z naszą kulturą mają te konkretne postacie.**

Strzyga znana jest jako postać krwawa, z rozkładającym się ciałem. Zwracając uwagę na tego rodzaju istoty, trzeba zaznaczyć, że takie opowieści mają swoje źródło w przeszłości. Jak wiemy, nasza historia pełna jest powstań oraz bitew. Ranni leżeli w błocie, w rowach, a także w okopach. Ci właśnie ranni czasami wstawali, szli do najbliższych wiosek, ponieważ potrzebowali pomocy, a gdy już się tam pojawiali, budzili grozę i strach. Czytamy o tych zdarzeniach w różnego rodzaju pamiętnikach, pochodzących z czasów wojen.

***Kwestionariusz Prousta* to wiersz pełen gotowych wskazówek i dobrych rad, który jest wynikiem wspomnianej już weny. Czy jako odbiorczyni mogłabym doszukiwać się w nim Pańskich, autorskich rad?**

To historia całkiem prozaiczna. Moi uczniowie oraz przyjaciele z Uniwersytetu Zielonogórskiego zorganizowali mi w ubiegłym roku jubileusz 70-lecia. Tam właśnie odczytałem ten kwestionariusz. Koleżanki zaproponowały mi, żebym odpowiedział na 10 pytań. Doszedłem jednak do wniosku, że wolę nie odpowiadać bez przygotowania, napisałem więc wiersz.

**W tomiku możemy znaleźć zarówno wiersze, które bawią, jak i takie, które zmuszają do refleksji. Mam tu na myśli *Czas*, który przypomina, jak szybko mijają nam życiowe chwile. A najgorsze jest to, że pozostajemy wobec tego procesu bezradni...**

Czas to coś takiego, co ucieka, więc go gonimy, ale on się nam wymyka; jak dogonimy, często próbujemy zabić; straconego czasu żałujemy. Ten ruch jest stałym elementem naszego życia.

## 6. Kozzi Film Festiwal „Kozzi – Kobiela – Jędrusik” na przekór wszystkiemu się odbył!

Od 2012 roku na Ziemi Lubuskiej realizowane jest przedsięwzięcie, które swoim rozmachem i poziomem artystycznym przyciąga stale nowych odbiorców. Od samego powstania Festiwalu Filmu i Teatru wzbudzał silne kontrowersje, poczynając od zachwytów samym pomysłem organizacji tej imprezy po głosy podważające tę inicjatywę, argumentujące, że w Lubuskim jest nadurodzaj imprez filmowych, zatem po co organizować kolejną. Bez względu na pochwalne czy krytykańskie opinie zrealizowanych zostało dziewięć edycji tej filmowo-teatralnej uczty i wszystko wskazuje na to, że będą następne.

Pomysł narodził się w Kargowej, miasteczku lubuskim, liczącym niespełna cztery tysiące ludności, za to szczącym się swoim najsłynniejszym powojennym mieszkańcem, znanym ze srebrnego ekranu – aktorem Maciejem Kozłowskim. Nazwę festiwalu Kozzi Gangsta Film wymyślił Zbigniew Hołdys, muzyk i lider kultowego zespołu Perfect, a prywatnie przyjaciel Kozłowskiego. Pomysłodawcami Festiwalu byli: Sebastian Ciemnoczołowski (ówczesny burmistrz Kargowej), Agnieszka Kowalska (żona przedwcześnie zmarłego Maćka Kozłowskiego) i Andrzej Buck (dyrektor i koordynator Festiwalu).

Idea przedsięwzięcia oparta została na dwóch ważnych przesłankach: gatunkach uprawianych przez Maćka Kozłowskiego (film sensacyjny, gangsterski, kryminał, kino akcji) oraz eksponowaniu uzdolnionych aktorów drugoplanowych, będących najczęściej w cieniu gwiazd filmu. Po trzech latach organizowania Festiwalu w Kargowej kolejne edycje odbyły się w Zielonej Górze, a także w miejsco-



wościach partnerskich – w Żarach, Żaganiu, Wiechlicach.

W kolejnych edycjach imprezy utrzymywana jest nazwa: *Kozzi...* rozszerzona w następnych odsłonach o dwie ważne sylwetki nieżyjących, kultowych artystów, obecnych na Festiwalu poprzez retrospektywne pokazy ich dorobku. I tak patronami imprezy byli: Zdzisław Maklakiewicz oraz Henryk Machalica (2015), Wiesław Dymny i Jan Himilbsbach (2016), Andrzej Nardelli, Zbigniew Cybulski, Roman Wilhelm (2017), Gustaw Holoubek i Janusz Głowacki (2018), Elżbieta Czyżewska i Tadeusz Fijewski (2019). Tegoroczna edycja była zainspirowana sylwetkami znakomitych, nieżyjących już aktorów: Macieja Kozłowskiego (który – jak wspomniano wcześniej – jest sta-



łym patronem Festiwalu), Bogumiła Kobieli oraz Kalliny Jędrusik.

Każdy z kolejnych Festiwali to okazja do ujżenia na żywo ważnych artystów – aktorów, reżyserów, dramaturgów, krytyków filmowych i teatralnych, bardów i pisarzy. Daje szansę wzięcia bezpośredniego udziału w projekcjach filmowych, spektaklach teatralnych, koncertach, spotkaniach z twórcami i aktorami, rozmowach o książkach, warsztatach filmowo-teatralnych i literackich.

W bieżącym roku, z powodu epidemii i szeregu utrudnień z nią związanych, zagrożony był termin realizacji przedsięwzięcia. Szczęśliwie, przy ogromnym wysiłku organizatorów, 6. Kozzi Film Festiwal odbył się z dwumiesięcznym przesunięciem – w terminie 9-13 września 2020 roku. Przebiegał przy zachowaniu nadzwyczajnej staranności reżimu sanitarnego i znakomicie się udał!

Zielonogórskie prezentacje odbywały się w namiocie *Café Film* na placu przy Filharmonii Zielonogórskiej, *Kinie Norwid* w Sali im. J. Koniusza Biblioteki Norwida, *Kinie Rektorat* w Auli Uniwersytetu Zielonogórskiego, *Kinie Młodość* w Multimedialnym Centrum dla Dzieci i Młodzieży w Bibliotece Norwida oraz w mediatece *Góra Mediów*. Natomiast w Żarach, dzięki partnerstwu z Żarskim Domem Kultury, pokazy odbywały się w Sali Widowiskowej LUNA ŻDK i Sali Kameralnej, Muszli Koncertowej i Salonie Wystaw Artystycznych. Uroczysta Gala Festiwalowa z wręczeniem nagród i statuetek *Klaps* miała miejsce 11 września w klimatycznych wnętrzach Pałacu w Wiechlicach koło Szprotawy.

W tym roku na festiwalu gościli ważni artyści i znawcy kina (m.in.: Marian Opania, Mikołaj Grabowski, Zbigniew Zamachowski, Bartosz Kruhlak, Lech Dyblik, Małgorzata Pritulak, Zdzisław Wardejn, Tomasz Włosok, Sebastian Stankiewicz, Barbara Kurzaj, Łukasz Simlat, Wojciech Skibiński, Krzysztof Taraszka, Andrzej Seweryn, Bernd Buder, Łukasz Maciejewski, Andrzej Draguła, Marta Pohrebny, Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek, Iwona Kusiak, Karolina Miłkowska-Prorok).

Na program Festiwalu złożyły się następujące cykle filmowe:

- *Kino Polskie. Filmy z lat 2019-2020*, w ramach cyklu przedstawiono filmy obyczajowe i biograficzne, nominowane i nagrodzone w konkursach polskich, dostrzeżone przez krytyków w ostatnich dwóch latach;
- *Kozzi Gangsta Film*, cykl nawiązujący do początków Festiwalu, w ramach którego zaprezentowano filmy kryminalne;
- *Moje ulubione role drugoplanowe w polskim filmie fabularnym*. Łukasz Maciejewski to cykl pięciu filmów, będących wyborem znanego krytyka, autora, wykładowcy, dyrektora Festiwalu Kino na Granicy;
- *Kino znad granicy* prezentujące niemiecką panoramę filmową w ramach partnerstwa z Fundacją Współpracy Polsko-Niemieckiej;
- *Dokument na Kozzi* prezentujący pięć obrazów dokumentalnych;
- *Retrospektywa Kino wg Andrzeja Draguły. Wiara Europy*, cykl będący przeglądem autorskim teologa, nauczyciela akademickiego, publicysty, pisarza;
- *Retrospektywy: Maciej Kozłowski, Bogumił Kobiela, Kalina Jędrusik*.

Równie ważne okazały się przedsięwzięcia teatralne ze znakomitymi artystami i spektaklami: monodram Bogusława Schaeffera w wykonaniu Mikołaja Grabowskiego pt. *Audiencja II*, niepowtarzalny monodram *Szekspir forever!* z udziałem Andrzeja Seweryna, widowisko artystyczne z udziałem Małgorzaty Pritulak i Zdzisława Wardejna pt. *Ja minę...* według Haliny Poświatowskiej (scenariusz A. Buck), recital z udziałem gościa specjalnego Festiwalu – aktora Mariana Opani, *Wieczór autorski... Iwan Konwicki z domu Iwaszkiewicz* w realizacji Zdzisława Wardejna i Andrzeja Bucka (w ramach Krakowskiego Salonu Poezji w Zielonej Górze). Także lubuscy artyści interesująco zaprezentowali się festiwalowej publiczności, realizując cykl pt. *Zielonogórskie Konotacje*: Marta Pohrebny w spektaklu *Słodka* według powieści Marii Matos i w reżyserii Małgorzaty Paszkier-Wojcieszonek, także przedsięwzięcie sekcji filmowo-teatralnej MIOT Żarskiego Domu Kultury pn. *Dziennik pokładowy: czekając na lekarzy z dziobami*. Dodatkowo zorganizowane



zostały warsztaty *Szlakiem piosenki rosyjskiej* z Lechem Dyblikiem, znanym aktorem i pieśniarzem.

Istotnym dopełnieniem festiwalowych wydarzeń stały się kontakty z książką. Odbłyły się rozmowy i spotkania z autorami ważnych w artystycznym środowisku publikacji. Prezentowane były książki: *An-*



*drzej Seweryn. Ja prowadzę!* Arkadiusza Bartosiaka i Łukasza Klinkę; *Zezowate szczęście. Opowieść o Bogumile Kobieli* Macieja M. Szczawińskiego, *Kalina* Jędrusik Dariusza Michalskiego, *Przyczajony geniusz. Opowieść o Januszu Gajosie* Jacka Wakara.

Tegoroczne Jury Festiwalu pracowało w zespole: Bernd Buder, Andrzej Draguła, Lech Dyblik, Łukasz Maciejewski i Andrzej Buck. Dodatkowo sformowano Jury Cyklu Kozzi Gangsta Film w osobach: mec. Filip Woźniński, mec. Urszula Bartkowiak, mec. Magdalena Pająk, mec. Anna Pawlikowska, mec. Piotr Majchrzak, mec. Antoni Przybyła.

Dokonano następującego wyboru laureatów:  
KLAPS 2020

Za całokształt osiągnięć artystycznych w dziedzinie filmu – Marianowi Opani za wybitne osiągnięcia łączące ideę Festiwalu KOZZI: kino, teatr i muzykę.  
KLAPS 2020

Za najlepszą kreację aktorską w polskim filmie fabularnym – Zbigniewowi Zamachowskiemu za postać Grosickiego w filmie *Zieja* w reż. Roberta Glińskiego, przypominającą najwybitniejsze role aktora.

KLAPS 2020

Za najlepszą drugoplanową kreację aktorską w polskim filmie fabularnym – Barbarze Kurzaj za udowodnienie, że drugi plan może być pierwszym planem. Roli aktorki w filmie *Boże Ciało* nie sposób zapomnieć.



## Klapy 2020

oraz Dyplom za niezapomniane kreacje filmowe i teatralne oraz wybitną osobowość artystyczną Andrzejowi Sewerynowi.

Grand Prix czyli Nagroda Filmowa KLAPS 2020 dla reżysera najlepszego polskiego filmu fabularnego – Małgorzacie Imielskiej za film *Wszystko dla mojej matki*, za dokumentalną i czułą reżyserię pomagającą widzowi uwierzyć w człowieka i w kino.

## Ponadto

Klapy 2020 za film kryminalny, gangsterski, sensacyjny, czyli kino akcji – dla filmu *Supernova* w reżyserii Bartosza Kruhlika.

„Jury Cyklu Kozzi Gangsta Film 2020 po dokonaniu wnikliwej analizy całości zebranego w sprawie materiału dowodowego, zbadaniu wszelkich poszlak, wygłoszeniu wielogodzinnych mów obrończych, wspólnie i w porozumieniu orzeka, że najlepszym filmem akcji tego roku jest film w reżyserii Bartosza Kruhlika *Supernova* i nie znajdując okoliczności łagodzących, wymierza mu za popełnienie tego dzieła KLAPS 2020” (fragment laudacji).

Dokładny opis poszczególnych zdarzeń festiwalowych znajduje się na stronie <http://www.festiwal.norwid.net.pl>, która jest ciągle aktualizowana. Szósta edycja zakończyła się sukcesem, a organizatorzy (Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Stowarzyszenie Kozzi Film Festiwal, Zielonogórski Uniwersytet Trzeciego Wieku, Żarski Dom Kultury) już pracują nad przyszłoroczną odsłoną Festiwalu, który znakomicie wpisuje się w pejzaż lubuskich inicjatyw filmowych. Warto dodać, że stałym partnerem Festiwalu jest impreza odbywająca się po drugiej stronie Odry – FilmFestival Cottbus (Niemcy). Dzięki współpracy z organizatorami FFC oraz z Fundacją Współpracy Polsko-Niemieckiej program Festiwalu wzbogacają ważne produkcje współczesnego kina niemieckiego i środkowoeuropejskiego. Festiwal Filmu, Teatru i Książki odbył się pod patronatem honorowym Elżbiety Anny Polak, Marszałka Województwa Lubuskiego.

[www.festiwal.norwid.net.pl](http://www.festiwal.norwid.net.pl)  
[www.facebook.com/festiwalzgora](https://www.facebook.com/festiwalzgora)





# Kargowski konkurs literacki w 21. odsłonie

Rozstrzygnięcie tegorocznej edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicza kultur” przebiegało przy zachowaniu reżimu sanitarnego w stanie zagrożenia epidemicznego. Zamiast – jak w ubiegłych latach – na uroczystej i tłumnej gali w przestronnej siedzibie mediateki Światowid, w ostatni piątek września 2020 roku (25.) spotkało się zaledwie kilkanaście osób (organizatorzy, przedstawiciele władz samorządowych, jurorzy), ale wszyscy zainteresowani (włącznie z laureatami Konkursu) mogli śledzić przebieg ceremonii za pomocą relacji online.

To już 21. edycja imprezy, którą nieprzerwanie organizuje Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukshy w Kargowej. Partnerami przy współorganizacji Konkursu są Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Stowarzyszenie Gmin RP i Region Kozła oraz Gminne Centrum Kultury w Kargowej. Dodatkowym wsparciem przy organizacji Konkursu jest wszechstronna pomoc syna patrona Konkursu – dr. hab. inż. Dominika Paukshy.

Spotkanie otworzyła i prowadziła Małgorzata Kwiecień, wieloletnia kierowniczka Biblioteki, z zaangażowaniem koordynująca poszczególne etapy Konkursu. Powitała uczestniczące grono osób i oddała głos przewodniczącemu Jury konkursowego, pisarzowi i dziennikarzowi Alfredowi Siateckiemu. Przewodniczący omówił prace, wskazał na ich wielość (w tym roku 61) i niesłabnący poziom literacki oraz odczytał werdykt Jury, które pierwszą nagrodę przyznało Grzegorzowi Walczakowi (godło\_Gnom)

za pracę *Moja odległa prowincja*, drugą nagrodę – Czesławowi Markiewiczowi (godło\_Palimpsest) za pracę *Twierdzą, że dom...* oraz trzecią nagrodę – Patrycji Pelicy (godło\_Wampirek) za pracę *Okna Leosi. Historia pewnej przyjaźni*. Jury wyłoniło także prace, które otrzymały wyróżnienia: Małgorzaty Thiele (godło\_Alma2) za *Daleko od Warszawy* oraz Danuty Urbańskiej (godło\_Zanim) za *Geometrię uczuć*.

Następnie głos zabrał Eugeniusz Kurzawa, honorowy prezes ZLP Oddziału Zielona Góra, będący





pomysłodawcą Paukztowskiego Konkursu, dziennikarz, regionalista. Zaprezentował kolejny numer czasopisma „Integracje”, których jest redaktorem naczelnym.

Dalej wystąpił Jacek Płonka, autor książki *Historia piłki nożnej w Kargowej*, którą promował w rozmowie z E. Kurzawą. Wypowiadał się także Dominik Paukšta, dziękując organizatorom za pamięć o sławnym ojcu oraz burmistrz Kargowej, Jerzy Fabiś wspierający kulturalne inicjatywy na terenie miasta i gminy Kargowa.

Konkurs od lat cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem uczestników, przysparzając miastu prestiżu i rozstawiając je w innych regionach kraju. Kończąc tegoroczną imprezę, wszyscy jej uczestnicy życzyli sobie spotkania w przyszłym roku w bardziej sprzyjających warunkach zdrowotnych.



# Przygoda z protokołem dyplomatycznym

1994 rok. Po namowie jednego z dyrektorów wydziałów urzędu wojewódzkiego, gdzie wojewodzie Marianowi Eckertowi prowadziłam ośrodek doskonalenia kadr, zadzwoniłam do ambasadora Edwarda Pietkiewicza, który był autorem pierwszego i jedyne wówczas w Polsce wydania *Protokół dyplomatyczny* – myślę, że na potrzeby MSZ. Był przecież byłym dyrektorem takiego wydziału w ministerstwie i późniejszym autorem – za moją namową – wielu publikacji na temat etykiety na wszystkich polach życia zawodowego i rodzinnego.

– Halo? Pietkiewicz. Słucham – usłyszałam w słuchawce po wystukaniu warszawskiego numeru, zdobyte go po wielu staraniach. Głos tego starszego, bo ponad 80-letniego dyplomaty dodał mi otuchy. Brzmiał bardzo uprzejmie i sympatycznie. Na szczęście zadzwoniłam osobiście, nie korzystając ze swojego sekretariatu.

– Dzień dobry, panie ambasadorze. Alina Kruk – dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr Administracji Rządowej w Zielonej Górze. Ośmieliłam się zadzwonić, ponieważ kadra kierownicza administracji publicznej potrzebuje bliżej poznać zasady protokołu dyplomatycznego i zasad etykiety biurowej. Ja kieruję ośrodkiem, który dokształca kadrę kierowniczą. Prowadziłam poprzez specjalistów z MSZ szkolenia dotyczące spraw międzynarodowych, współpracy transgranicznej, a braki znajomości protokołu dyplomatycznego i w ogóle etykiety ujawniły się przy tych szkoleniach w szczególny sposób. Czy moglibyśmy liczyć na spotkania z panem jako uznanym autorytetem z tej dziedziny? – wydyszałam do słuchawki monolog z nadzieją, że trema jest niesłyszalna.

– Bardzo mi miło z panią rozmawiać i dowiedzieć się, że ten palący problem ignorancji znajomości prawidłowych zachowań na poziomie kierownictwa administracji publicznej został dostrzeżony i chcą się Państwo nim zająć. Przykro mi, ale obecnie nie dysponuję wolnym czasem. Proszę zadzwonić w późniejszym terminie.

I to dobre – pomyślałam. Mogę zadzwonić. Jest nadzieja. Byli inni ambasadorowie, których mogłam o to poprosić, ale oni nie pisali na ten temat książek. Nie byli autorami jedyne w tym okresie wydania *Protokół dyplomatyczny*, *Etykieta menedżera*, *Nowoczesny menedżer*, *Przyjęcia w biznesie i nie tylko* i wielu artykułów w „Twoim Stylu”. Podziękowałam za tę nadzieję dalszego kontaktu najcieplejszym głosem, jaki udało mi się wydobyć ze stremowanego gardła, poczekałam, aż pan ambasador pierwszy odłoży słuchawkę i odetchnęłam z ulgą. Drżycie wojewodowie, dyrektorzy generalni i inni. Zobaczycie, czy prawidłowo się ubieracie, witacie, przedstawiacie, przyjmujecie interesantów, podpisujecie porozumienia, przyjmujecie delegacje, uczestniczycie w przyjęciach. Bo to, co widać w telewizji, woła o pomstę do nieba. W tym czasie miałam dużo ważnych zadań w ramach współpracy z Akademią Ekonomiczną w Poznaniu, Uniwersyteciem Adama Mickiewicza, ale nie mogłam się doczekać upływu miesiąca, nie chciałam być natrętna i dzwonić wcześniej. Rozmowa była podobna. Następnym termin – za miesiąc. Potem to samo. Muszę coś wymyślić. Tak dalej nie mogę się odprawiać, bo znudzę się ambasadorowi i stracę szansę współpracy. Postanowiłam zebrać grupę wojewodów, żeby mieć argument nie do odrzucenia. Udało się, bo województw w latach 90. było co niemiara. Zadzwoniłam przed terminem. Po stałych formach grzecznościowych powiedziałam:

– Panie ambasadorze. Nie mamy wyjścia. Czekam na pana w Zielonej Górze kwiat polskiej administracji. Wymieniłam, kto czeka na szkolenie i zamilkłam w oczekiwaniu na odmowę. W słuchawce zapadła cisza i po chwili usłyszałam:

– Pani dyrektor, a do tej waszej Zielonej Góry jeździ kolej?

– Panie ambasadorze! Jeździ, ale po pana przyjedzie samochód wojewody – i tak się zaczęła moja przygoda z protokołem dyplomatycznym, a później dożgonna przyjaźń z panem ambasadorem Edwardem Pietkiewiczem.



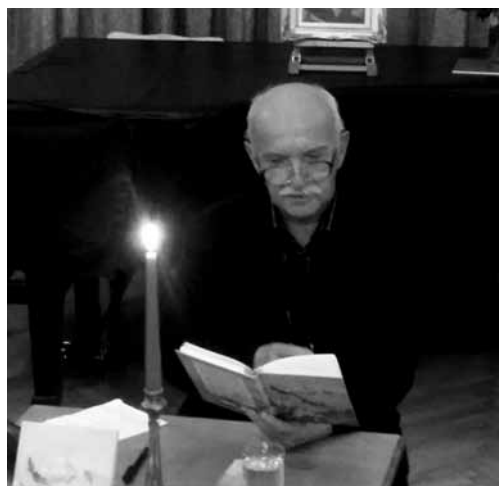
# Czesław Sobkowiak w Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu

Podczas ostatnich dwóch lat udało się Czesławowi Sobkowiakowi wydać dwa zbiory poezji. W ubiegłym roku w wydawnictwie Pro Libris wyszedł znakomity zbiór *Powszednie niebo*, a w obecnym – w Oficynie Wydawniczej Akwedukt działającej przy wrocławskim Klubie Muzyki i Literatury – kolejny tomik *Napisane w zeszycie*. Książka to szczególna, pięknie edytorsko wydana, może nawet najlepiej z kilkunastu dotychczasowych tomików Sobkowiaka. Ważne dla tego tomu jest i to, że chyba jak nigdy do tej pory poeta w sposób pełny i wyrazisty wraca w nim do krainy swojego dzieciństwa – Jaromierza, w którym się urodził. Wszystko lub prawie wszystko, czego przed laty doświadczył i zasmakował, postarał się w nowych wierszach opisać. Wspomnieć ten świat, a raczej tę wiejską epokę, jej obyczaje i ludzi, których już nie ma, bo świat od tamtego czasu bardzo się zmienił.

Właśnie o tym mówił poeta podczas wieczoru promującego najnowszy tomik wierszy 19 października 2020 roku. Do Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu poetę wprowadził redaktor Akweduktu Ryszard Sławczyński. Spotkanie odbyło się zarówno w półwiecze debiutu literackiego (*W białej koszuli*, 1970), jak i w półwiecze autorskiego spotkania właśnie w tym legendarnym Klubie. Autor wspominał ten fakt, jak i przywołał z pamięci osoby wtedy obecne: Mariannę Bocian, Urszulę Koziół, Janusza Stycznia, Urszulę Benkę, Jana Stolarczyka i innych. Sala przed laty była przepełniona – jak wspominał podczas wieczoru poeta – bo to był czas głodu literatury i spotkań z pisarzami. Poeta w czasie promocji zaprezentował

sporo wierszy, nie tylko o Jaromierzu, ale także utworów, można rzec, pandemicznych, które włączył do książki. Ciekawostką były dwa obrazy olejne, ustawione na fortepianach, które poeta przywiózł i zaprezentował zarówno publiczności będącej w Klubie, jak i odbiorcom internetowym (spotkanie transmitowano online). Przedstawiły swojskie widoki z motywami wiejskimi (wizerunek krowy i muzykanta) korespondujące z tematyką utworów. Ich autorką jest malarka Halina Jerulank z Kisielina, która także jest poetką i do tej pory wydała dwa okazałe zbiory swoich wierszy w Pro Libris.

W imieniu redakcji i naszych Czytelników gratulujemy Czesławowi Sobkowiakowi nowego zbioru wierszy oraz udanego spotkania autorskiego we Wrocławiu.



Urszula Benka

# Oświecenie polityczne

*Wbrew bogom* czyli *Od magii i religii do metody naukowej...* i z powrotem to kapitalna lektura, a chwila wydania tej książki, zbieżna z rozwojem pandemii COVID-19, nadała jej odniesień bez porównania bardziej eschatologicznych niż praktykowana na co dzień teologia. Autor, Krzysztof Dołowy, specjalista z zakresu biofizyki i elektrofizjologii, długoletni kierownik Katedry Fizyki w SGGW, podjął niniejszym ryzykowną grę w obronę wiedzy i rozumu. Świetnie napisana, mocna rzecz! Czuje on, że ma do czynienia z przeciwnikiem dwoistym, z narastaniem ciemnoty wtórnej, tyle że nie na dole społeczeństwa, ale na poziomie elit, wśród ludzi nominalnie wykształconych, uprawiających grę antynaukowością z użyciem polityki oraz szczerwanego chamstwa, aż po wywracanie do góry nogami reguł społecznego współżycia. Gra ciemnotą tym samym wymknęła się domenie bezpośrednio poruszonej we *Wbrew bogom...*, to jest naukom, gdzie panowały argumenty metodologicznie dotąd bezsporne. Powiem jeszcze dobitniej: ciemnota nie jest wrogiem nauki, o ile ta posiada argumenty. Wrogiem nauki jest niezgoda na etos myślenia.

Niżej wyjaśnię to dokładnie. Na razie niech wystarczy, że szyderstwo z dorobku empirii nauk przyrodniczych skutkuje niekontrolowanym zamordyzmem i zamienia oświecenie oraz samą, tradycyjnie dotąd szanowaną, wiedzę w grzech o charakterze moralnym, a zarazem w rodzaj... obywatelskiego nieposłuszeństwa. Profesor Krzysztof Dołowy ma świadomość, że dotyczy problemu odwagi. Jeśli zataczamy koło w malignę magii, jak sam mówi, to eskalujemy strach, a tylko religie są w stanie podtrzymywać strach. W naturalnych warunkach strach znika wraz z sytuacją zagrożenia; religie imputują kondycje nad-naturalne, nad-prawdy. Mogłby ktoś skojarzyć: über-prawdy, akcentując lodowaty dla nas posmak tego przedrostka. Książka profesora Dołowego trzyma się oczywistości, poczynawszy od faktycznej treści wyjściowych terminów używanych na gruncie religii – dla przykładu, wyraz „bliźni” w oryginale i tłumaczeniach na angielski (*neighbour*) oznaczał sąsiada, lecz nie „innego człowieka” ani też „inną istotę” (co nieraz sugerują chrześcijańscy ekologięści). Obiegowy dzisiaj termin „post-prawda” oznacza raczej tylko nonszalanę wobec faktów; „über-prawda” – strzał w kark za nie-

subordynację. Dołowy podsumowuje swoje rozważania, albo raczej przestrożę, dotycząc tragicznej indolencji moralnej wielkich wyznań, które w całej swojej historii są, mniej lub bardziej jawnie, jak rój os. Dławią wszelkie swoje sublimacje moralne jako odszczepieństwo. Nie jest więc wcale wykluczone, że ekscentryczny w swoim czasie irenizm, czyli pacyfizm Erazma z Rotterdamu lub pachnący skandalem teologicznym franciszkański stosunek do środowiska naturalnego ponownie staną się osłupiającym i najsurowiej rugowanym ekscesem.

Od razu powiem, że autor przyczynę upatruje w naturze religii, ich irracjonalności. Tu jednak można podjąć dyskurs. Jeśli bowiem irracjonalność ludzkiego umysłu jest groźna – a oczywiście, jest, to racjonalność też jest groźna. Z perspektywy neurologii obie są jak awers i rewers, a nie tylko jakaś ewolucyjna pozostałość, którą należałoby usuwać. Być może umysł ludzki jest groźny. Być może sam człowiek jest gatunkiem bardzo groźnym i na gruncie nauk przyrodniczych zaczynamy to wreszcie pojmować, już bez złudzeń, co zresztą podjął dekady temu Konrad Lorenz w *Tak zwanym złu*. Z takiej perspektywy *Wbrew bogom* jest lekturą fascynującą. Bardzo ważną.

Wiosna 2020 wciąż trzyma w rękawie swojego asa z odpowiedzią, czy fenomen ludzkiego rozumu ma sens z perspektywy życia na planecie, gdzie codziennie ginęły setki gatunków, lecz na opustoszałej ulicy w Delhi przemknęła wiwera malabarska, sporyssak podobny do kota, od wielu lat uznany za wymarły. Profesor Dołowy notował wszakże swoje znane refleksje co do konfliktu rozumu i wiary z innego punktu widzenia: wydaje się być mimo wszystko humanistą, jak my wszyscy zaskoczonym skalą pandemii COVID-19. To nie zarzut. Ma on słuszność: korygować można jedynie to, co jest dostępne. Dostępne jest nam człowieczeństwo i tylko w tym zakresie wolno nam podejmować decyzje, co oznacza – że na gruncie kultury myślenia, obcowania z własnym rozumem i... rozsądkiem. Przedstawił tedy wyboiste, częstokroć tragiczne dla badaczy drogi, jakimi astronomowie (od nich zaczyna), chemicy, lekarze i obrońcy praw człowieka (w drugiej połowie XX wieku uznanych w cywilizowanym świecie zachodnim za wręcz elementarne i naturalne) byli zmuszeni brnąć w lęk

przed Kościołem. Lęk także subiektywnym, jak w wypadku Gaussa, który spalił swój matematyczny traktat o geometrii nieeuklidesowej – miał ją za podszept szatana. Jednak sankcjom, karom autor poświęca stosunkowo niewiele miejsca; z pewnością nie sposób mu zarzucić epatowania czytelników kolejną porcją martyrologii ludzi nauki. Poprzestał na podnoszonych do rangi dogmatu fragmentach Biblii, jakie nauka bezspornie obaliła, i w zderzeniu z którymi instytucje religijne Europy uznały swoją intelektualną porażkę, ponieważ brakowało im, jak Dołowy świetnie konstatuje, metody. Wszystkie główne odkrycia, wszystkie główne konstatacje naukowe są skonfliktowane z religią, a przynajmniej z ustalonym pojmowaniem Biblii. Ono to, że swoim *wishfull thinking* wyciągało wnioski pochopne, obciążone wadą. Samo takie stwierdzenie wygłaszane w XXI wieku brzmi cokolwiek banalnie. Rzecz w tym, że na naszych oczach ten ustabilizowany konsens co do autorytetu nauki został podważony. Że rodzi się jakaś prymitywna zabawa w okrucieństwo. Potrzeba pastwienia się nad rozsądkiem, a rzetelne dociekania, logiczność wnioskowania, prawo do uszanowania potrzeby poznawczej człowieka są kwestionowane – aczkolwiek nie tyle przez Kościoły, co przez politycznych rzeczników über-prawdy.

Kościoły rozmaitych obrządków patrzą raczej wycoekującą na efekt tego starcia. Poza kilkoma niszowymi wyjątkami, czuły się bowiem odciążone – a jeśli ktoś by wołał – wyzwolone ze znoju rywalizacji intelektualnej. Znalazły sobie własne pola badawcze, głównie historyczne, etyczne, filozoficzne i komparatystyczne, gdzie zresztą przyswoiły sobie większość umiejętności oraz rygorów etosu oświeceniowego, unikając mierzenia się z Bohrami, Einsteinami, Hawkingami, Mendlem i laureatami Nagrody im. Laskera, odpowiedniczki Nobla w medycynie: Jana Pawła II leczono wszak w klinice Gemelli – ale nie relikwiami. Owa wyczekująca bierność ma inne przyczyny niż rywalizacja w orzekaniu „prawdy”. Tutaj – to moje przypuszczenie – wobec coraz szybszych poprawek stanu wiedzy i zmian hipotez – woła się wyręczać, unikając odpowiedzialności. W Polsce są jednak oznaki dopingu dla antynaukowej psychotechniki.

Ale na czym polega owo oświecenie? Był to pierwszy racjonalistyczny model patrzenia na świat.

Uprawnić do oświaty, do poszukiwania prawdy i – w pierw, bo to konieczny warunek powyższego etosu – do formułowania pytań. Chciałoby się autorowi *Wbrew bogom* przyklasnąć w świadomości, jak ważne są obecnie cnoty oświeceniowe, a zatem bezkompromisowa uczciwość badawcza, ścisłość, bezstronność, odporność na ideologie i polityczne presje oraz wolność głoszenia poglądów, także odstających od aktualnie uznawanych w nauce, ponieważ bez takowej nauka stanęłaby w miejscu. Nadmienię: kurczowa, częstokroć historyczna niepodważalność twierdzeń religijnych, nawet takich, które zostały naukowo obalone (jak płaskość Ziemi albo ruch w stosunku do Słońca, jak stworzenie świata w sześć dni albo gorsza natura kobiety), trzymały w zakleszczeniu świadomość sakralną, wyrażając ją w myśl religijną i powodując jej uwiad i zrakowacenie. To samo tyczy się nauk unieruchomionych bez szans na rozwój. Lecz to z kolei oznacza dopuszczenie omyłek nauki, i w efekcie zaśmiecanie jej błędami. Pytanie, do jakiej grupy należy postulat, aby poprzyglądać się historii błędów nauki, ale nie tylko już w znaczeniu konkretnych teorii, jakie słusznie odrzucono, lecz samej w sobie wadliwości nauki. Nauka bowiem przedstawia zbiór twierdzeń co do faktów oraz metod, ale też strukturę wewnętrznych i zewnętrznych powiązań z resztą dziedzin albo też potrzeb psychiki ludzkiej. Oświeceniowy racjonalizm wręczył model patrzenia na świat – utożsamiany naiwnie z modelem świata. Niezależnie od wiary bądź niewiary w bogów, w istnienie psychiki jako duszy, tym bardziej „nieśmiertelnej”, warto, jak sądzę, precyzyjnie odróżniać model od obiektu poznania. Model oświeceniowy poznawania określiłam, nieco skrótowo, mianem etosu. Bez etosu traci on sens, staje się kolejną coraz bardziej absurdalną i złoczną ideologią, i nie jest w stanie utrzymać autorytetu, ponieważ ten ostatni, jak nader słusznie Dołowy eksponuje w podsumowaniu, łączy się, wręcz neuronalnie, z zaspokajaniem potrzeby bezpieczeństwa. Jeśli erupcja odkryć nauk ścisłych i technicznych niszczy środowisko biologiczne naszego gatunku, to podważa coś zapewne ważniejszego od postępu w konkretnej kwestii badawczej. Etos oświeceniowy zakłada kompleksowość wiedzy, jednakową estymę

dla tego, co uartało się mienić przyrodą, a co fizyką. Są oczywiście tylko aspektami pewnego fenomenu. Jak sam człowiek. Z punktu widzenia wiary w sens postępu, postępu „ku dobru ludzkości”, nie sposób uniknąć kolizji psychologii i technicyzacji.

Tu właśnie przed etosem oświeceniowym otwiera się cała amfilada niewiadomych. Po pierwsze, pewien odtam filozofii oświecenia, dla ułatwienia osądu sygnowany nazwiskiem Jean-Jacquesa Rousseau, dystansował się od cywilizacji i technicyzacji. Pomimo to uznawał naukę i sprzęgniętą z nią Prawdę za wartość, czym wkroczył na grząską ziemię wartości. Ten krok powtarza Krzysztof Dołowy. Wie on doskonale, że humanistyka w XX wieku doznała nieco podobnych wstrząsów jak nauki ścisłe. Poczynając od namiętnej frazy Fiodora Dostojewskiego: „Gdybym miał do wyboru pomiędzy Chrystusem a prawdą, wybrałbym Chrystusa” (co celowo przywołuję, bowiem tym, czym jest ścisłość w fizyce, w humanistyce jest szczerza namiętność). Brak odpowiedzi spowodował odtworzenie studiów nad opozycją rozum – wiara.

Po drugie – właśnie owo ustrukturuowanie nauki jako systemu czynności. Jeśli raz poruszymy koło zamachowe aksjologii, wypadnie spytać, na jakiej to podstawie konkretna aktywność naukowca ma być wartością. Nie trzeba tłumaczyć, że humanistyczna furia powstała w reakcji na używanie nauki dla potrzeb zbrodniczej polityki. Narzędziami neurologii zaczęła poszukiwać przyczyn „zła”, spętana już w zakresie empirii, jaką postuluje Francis Crick, noblista z 1962, angielski biochemik, genetyk i biolog molekularny, który wraz z Jamesem D. Watsonem, Maurice'em Wilkinsem i Rosalindą Franklin odkrył strukturę molekularną DNA. Otóż w *Zdumiewającej hipotezie* Crick chciałby poznawać pracę mózgu, zwłaszcza spostrzeganie i wnioskowanie, na drodze eksperymentalnej. Co zrodziło natychmiastowe wątpliwości w kwestii dopuszczalnych granic tychże eksperymentów na ludziach. Sam Crick, urodzony w 1916, zdawał sobie sprawę, do czego może wieść nauka immoralna. Że zarówno zbrodnicze ideologie nazizmu, jak i komunizmu opierano na podstawach „naukowych”, szlifowano pracownie w instytucjach badawczych, i – co chyba najistotniejsze – wpa-

sowano całą tę „poznawczo-zastosowawczą” pracę w najnormalniejsze, jak pisze Zygmunt Bauman w *Nowoczesności i Zagładzie*, struktury instytucji cywilizowanego świata. Inaczej mówiąc, gdyby Hitler nie przegrał wojny, mógłby podobnie jak ZSRR chlubić się sukcesami w zdobywaniu kosmosu, w mikrofizyce, może nawet w inżynierii genetycznej. Bauman zwraca uwagę, że nawet powojenna socjologia okazała się zupełnie, jako nauka, indolentna w kwestii zrozumienia fenomenu Zagłady, bowiem ta okazała się wprawdzie niekoniecznym, ale integralnym następstwem nowoczesności. Co się zaś tyczy samej flagowej ścisłości dzieł Cricka i... Dołowego, to Crick ze swojej strony podsumował ją następująco: „Za każdym razem, gdy piszę referat na temat pochodzenia życia, postanawiam sobie, iż nigdy nie napiszę następnego, gdyż jest tam zbyt wiele spekulacji ścigającej zbyt mało faktów”.

Aby lepiej zrozumieć ten jakiś immunologiczny odrzut racjonalności, którego zapowiedzi pojawiły się już razem z szokiem wskutek Hiroshimy, podjęto studia nad początkiem ośrodków naukowych w Europie. Jak wiadomo, były to uniwersytety. Tworzył je Kościół, podobnie jak sieć szkół, rozwijał badania nad gospodarką oraz dydaktyką i metodologią nauczania, zgodnie z potrzebą zarządzania i organizacji posiadanego dobytku – Marks powiedziałby: „osobowych i rzeczowych sił wytwórczych”, co podchwycyło w krajach Karola Wielkiego oraz Alfreda Wielkiego, gdzie władza polityczna drastycznymi środkami zamieniała społeczności w centralistyczne państwa, wyposażone w aparat represji. Ośrodki naukowe dopomogły utożsamić zgodność świata naukowego z jego obiektywizmem. Związały poznanie z polityką zarządzaną w imię państw. Z bliska, niczym przez lupę, oglądane dzieje uczelni to nie tylko spory z Biblią faktycznymi albo też insynuowanymi twierdzeniami (bo, co się tyczy astronomii, autorzy pism *Tory* mieli kontakty z elitami nauk Babilonu i Egiptu), to także przesunięcia na poziomie wspieranych dyscyplin. Przykładem pierwszym z brzegu: Akademia Krakowska, która – niestety – stawszy się uniwersytetem, tj. utworzywszy wydział teologiczny, uprawniający do tej nazwy i rangi, zarzuciła prymat wydziału prawa oraz medycyny. Dota-

cja królowej Jadwigi poszła właśnie na kształcenie duchownych z zadaniem katolicyzacji ziem litewskich. Co do najnowszych dzisiaj przesunięć ważności, postulowano likwidowanie filologii klasycznych jako „niepotrzebnych”, a ponieważ opór środowiska uczonych był znikomy, „wjechało” i to bardzo szybko w „zbędność” badań prenatalnych oraz seksuologicznych. Po prostu nastąpiła wstępna zgoda na dyscypliny potrzebne bądź drugiej ważności. Od tej chwili „system” został rozchwiany. Instytuty historii mogą dostawać subsydia na badania martyrologii narodu polskiego, ale już nie Romów polskich albo Niemców po 1945; o Żydach nie wspomnę, bo pojawiła się wręcz ustawa chcąca karać do trzech lat więzieniem za wścibianie nosa w brudy antysemityzmu. Mało tego, bo brudy brudami. Ryzykiem jest honorowanie dokonań polskich Żydów w formie takiej, jak patronat szkoły czy ulicy jakimś Janem Brzechwą czy Ludwikiem Szenwaldem. Lepszy ma być Józef Beck. Lub Łupaszka.

Warto zdać sobie sprawę, że nie sposób rozdzielić konkretnych decyzji w zakresie sponsoringu badań od światopoglądu, o ile istnieją prywatne szkoły lub instytuty, o ile ministerstwa nauki obsadzone są z partyjnego klucza. Osobna jeszcze kwestia: etos naukowy, niekoniecznie tożsamy z etosem mądrości. Etos ten wymaga istnienia wspólnej zgody na dociekanie tego, jaką rzeczywistość jest – co by wkluczało myślenie o tym, jaką „ma” albo „powinna” być. Etos nie istnieje bez mitu. Mało jeszcze wiadomo o mitcie, o jego fundamentalnym znaczeniu dla kultur, dla indywidualnej psychiki oraz stosunku do... biosfery. W Polsce, gdzie następuje może szczególnie odrażająca postać niekultury i postprawdy, jeszcze do niedawna podtrzymywano złudzenie mitu oświeceniowego, patriotycznego jako tchnącej nadzieją na przyszłość puenty „starej”, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, jednającej z polską szlachtą polski lud, na domiar i Żydów, i inne mniejszości, mit kojarzony z emancypacją zbiorową naszej wspólnoty we wspólnocie euroatlantyckiej. Tym trudniej, smutniej, rozstać się z nim. Dawał jednostce prawo samostanowienia i bezpieczeństwa osobiste. Tracimy poczucie bezpieczeństwa. Nie myślę jednak, aby dzisiaj akurat, tym bardziej podczas pandemii, kiedy piszę

te słowa, warto było mieszać współczesne chrześcijaństwo Europy z pokracznym tworkiem, jaki panoszy się w Polsce, a jest tylko przykrywką dla neurotycznej „solidarności cmentarnej”, jak to ujął profesor Zbigniew Mikołajko, agnostyk. To jeszcze jeden powód tego, że wywód Krzysztofa Dołowego byłby pełniejszy, gdyby nie ograniczał się do Biblii jako punktu odniesienia. Biblia w Polsce jest prawie nieznana, na wszelaki sposób sekowana, obchodzona i zakłamywana, także przez polskich biblistów.

Książka Krzysztofa Dołowego zmusza do myślenia i pod tym względem jest bezcenna. Może faktycznie utoruje jakieś nowe i świeże patrzanie na nasze pewniki, a w tym – iż paradygmat oświeceniowy ma dwie twarze jak rzymski bóg Janus: „boga nie ma, czcimy rozum” (i wznoszono świątynie Rozumu) oraz „bądź moim bratem, albo cię zabiję”. Raz dopuściwszy niejednoznaczność „wyjściowego pewnika” oświecenia, mianowicie istnienie prawdy, rozbijając go niczym *atomos*-niepodzielne, schodzilibyśmy na fascynujące piętra poznania innych struktur, innych napięć. Jak w mikrofizyce. Dramat tych najlepszych wyzwolicielskich intencji oświecenia tkwi w tym, że świat nauki jako struktura związana z autorytetem i statusem, z pozycją materialną i koniecznością pozyskania pieniędzy, nie został zachwiany, utracono natomiast etos. Elitarność wykształcenia zamieniła się w masowość, ale nie w szczere poczucie, iż pozostali są nam równi. Furia humanistyczna od połowy XX wieku podnosiła żalosną absurdalność produkowania dyplomantów, doktorów, docentów, zawężania specjalizacji.

Krzysztof Dołowy jest umysłem względnie renesansowym i dlatego nie wątpię, że nadmiernie wąskim specjalizacjom naukowym przygląda się z lękiem, podobnie zbiurokratyzowaniu praktykowania nauk. I nie mniej – pozostawianiu odłogiem kwestii osobistej moralnej dojrzałości badacza albo wykładowcy, no ale i zwykłego absolwenta. Tak jak organizacyjnej już w placówkach naukowych przewadze zajęć dydaktyczno-administracyjnych nad własnym dociekaniem. Nie chodzi wcale o ostatnie wyłącznie pięć lat, lecz ostatnie 35 lat. I o odpowiedź na pytanie, dlaczego, z jakich powodów świat nauki polskiej (tak jak niemieckiej i rosyjskiej tuż przed ich antyreligijnymi „rewolucjami”) okazał się aż tak uległy i bez-

radny? Dla mnie papierkiem lakmusowym był wykład Zygmunta Baumana na uniwersytecie we Wrocławiu: pojawili się młodzi ludzie w kominiarkach, zapewne bez pojęcia o jego dokonaniach w socjologii, i zaczęli zastraszać całe to eleganckie, wykształcone towarzystwo chamskimi zagrywkami. Wezwano służby porządkowe. I w tym kłops: nikt nie zdobył się na ripostę, jaka by speszyła bojówkę. Na marginesie rzucę, że owszem, coś podobnego wydarzyło się na wrocławskiej ASP, i wtedy profesor Janusz Jaroszewski podszedł do kąjaka dla palaczy i rozkoszował się papierosem. Po chwili jeden głupek stanął obok i profesor go poczęstował, nawet ognia mu podał. I było po zadymie.

Wiedza w Polsce służyła dla neofeudalizmu. Pozwalała pogardzać innym. Zdobywano ją i przynależne tytuły naukowe nie z ciekawości co do faktów, ale ze strachu i z chciwości. Nikt sobie nie stawiał pytania, po co nam cywilizacja. Zwłaszcza „taka”. Kiedy więc profesor Krzysztof Dołowy podejmuje dyskurs z religią, to redukując ją do Biblii, zdaje się też pomijać fakt, iż tak kanon Biblii, jak całokształt jej dopuszczalnych odczytań był wypadkową rozmaitych skutków zamiany wiary w instytucję tyleż ekonomiczną, co polityczną (w rezultacie militarną; na jej wzór również i nauka tego paradygmatu nabrała podległości ekonomicznych, politycznych oraz militarnych; wiele wskazuje, że właśnie jej militarne strony są najsilniej innowacyjne, inspirujące poznawczo). Zgodnie z tym paradygmatem unieważnił zatraconą nieantagonistyczność dociekań naukowych i duchowego samopoznawania – okres ów mienimy „przednaukowym”. Ta, w rzeczy samej przedantyczna, jednia zakładała ekskluzywizm oświaty. Zakładała traktowanie wiedzy jako tantry. Zakładała, że wnikanie w domeny wiedzy w jakiegokolwiek dziedzinie jest aktem sakralnym, o jaki zapytywał Crick – wymaga przeto pewnego już formatu duchowego, pewnej godności charakteru. Być może sam termin „duchowość” wyda się niestosowny w kontekście deklaracji ateistycznej profesora Dołowego. Proszę go potraktować metaforycznie albo też na gruncie neurologii innych żywych istot. Ustawienie człowieka w centrum stworzenia z całą pewnością skutkuje idolatrią jego cywilizacji oraz pradygmatu,

jaki tę cywilizację rozwinął – wbrew naturalnemu środowisku. W dziejach ludzkości było zapewne kilka już uderzeń o bandę realiów środowiska. Cywilizacje zanikały po wyjałowieniu ziemi ornej, po wytrzebieeniu lasów, z powodu chorób oraz konfliktów we własnym łonie. Jeśli człowieka, z czym się zgodzę, uznać za jednego ze ssaków, to – gdyby nie zakazywała tego etyka – można by go obserwować laboratoryjnie, jak dewiuje po dłuższym egzystowaniu w stłoczeniu, w konieczności stosowania się do wyśrubowanych norm oraz zegarka. Sakralność wolno rozpatrywać jako cykliczne uwalnianie się od norm, od rozumowania w kategoriach socjo-centrycznych. Jako przywracanie kosmo-centryzmu. Głupota zaś epoki „postprawdy”, która mierzi i znieważa naszą inteligencję, też wydaje się jakąś stałą właściwością funkcji wzrostu wiedzy i samowiedzy. Założyliśmy czemuś (osobny problem, czemu), że od oświeceniowej rewolucji, od zwycięstwa Rozumu nad Ciemnotą oraz Etyki nad Podłością świat już pomaszeruje równą, prostą ulicą do Raju. Do Raju, pozwolę sobie mitycznie, wiodą ścieżki wąskie, śliskie, karkołomne. Brukowane ulice – do piekła. To jednak napawa nadzieją. Sinusoida po pewnym czasie ocierania się o nikczemność, o obłąd, odegnie się ku górze. Oby to był nowy paradygmat, zrozumienia także dla ist-

nień człowiekowi (nagiej matpie) niepotrzebnych, a nawet dokuczliwych.

To prawda, najpiękniejszych odpowiedzi może tu udzielić tylko wiedza ścisła. Pamiętająca, że – jak Dółowy sam podnosi już we wstępie – metodę naukową wprowadzie oświeceniowy ferwor myli z prawdą, ale jest ona narzędziem prowadzącym do poznania. Znaczną część książki zajmują błędy czy ślepe uliczki, w które nauka brnęła, bo robiła złe założenia albo miała niemądrych wykonawców. Ja myślę, że w nauce nie ma prawdy, jest co najwyżej prawda dotycząca pewnego badanego układu, ale ona nie jest uniwersalna, choć może sprawiać takie wrażenie, jeśli podobne prawidłowości dotyczą też innych układów lub jeśli badany układ jest bardzo szeroki. Co za szansa dla humanistyki! Najwyższy był czas na taką perspektywę, na odwagę nadziei, że – tutaj użyję słów Cricka – „Kiedyś lepiej poznamy mechanizmy odpowiedzialne za takie funkcje umysłu jak intuicja, twórczość i doznania estetyczne, co być może pozwoli na ich głębsze przeżywanie”, jakie zastąpiła ich konsumpcja. Bez odwagi patrzenia z zewnątrz na codzienny, bezrefleksyjny paradygmat kulturowy trudno o niedokładanie garstek chrustu do stosów, jakie mogą znowu trawić ludzi z WHO, z Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy albo i... kosmonautów.



# Ciało ubrane w film

Współczesne spojrzenie na kinematografię i obecną wrażliwość na tę formę sztuki rychło doprowadzić może do wniosku, że dopiero dzisiaj kino mierzy się z rewolucją seksualną w sposób dojrzały i bezkompromisowy, dyskutuje na tematy cielesności człowieka bez purytańskiej wstydlivosti i wreszcie zdolne jest ukazywać śmiałe sceny łóżkowe. Tezom tym przyświeca przede wszystkim trylogia opowiadająca o losach Christiana Greya i szereg obrazów, które do tego fenomenu nawiązują – np. *After* (2019, J. Gage), reklamowany szumnym hasłem „godny następcą 50 twarzy Greya”, czy *365 dni* (2020, B. Białowąs). Tego typu koncepcja kina w sposób oczywisty jest przykładem braku znanstwa i erudycji filmowej oraz wyważaniem już dawno otwartych drzwi, ale przede wszystkim jest lekceważeniem kina jako dzisiejszej muzy, która od ponad 120 lat zachwyca, wzrusza, zadziwia, pobudza i wreszcie inspiruje całe pokolenia – mówiąc, że film dopiero dzisiaj zdolny jest poruszać takie tematy jak seks, gwałt czy sadyzm, traktujemy go jako sztukę jeszcze niedojrzałą, infantylną, czy nawet odbieramy mu status sztuki.

Wystarczyłoby powołać się na klasyczne już i zupełnie zróżnicowane obrazy, które wiele dziesiątek lat temu podejmowały tematy seksualności w sposób jak najbardziej śmiały i bezpruderyjny, jak choćby *Ostatnie tango w Paryżu* (1972, B. Bertolucci) – mówiący o romansie dojrzałego Amerykanina i młodej Francuzki z pamiętnymi i kontrowersyjnymi scenami z udziałem pary głównych bohaterów – czy *Historia O* (1975, J. Jaeckin), opowieść o porwaniu przez narzeczonego młodej piękności, która w ustronnym pałacu poddawana jest sadomasochistycznemu treningowi. Rozumiemy jednak doskonale, że aby snuć swobodne i odważne, a nawet pikantne i wyzywające, opowieści o ludzkiej seksualności, wcale nie trzeba przenosić się do mrocznego pokoju za-

baw, pełnego erotycznych akcesoriów ekscentrycznego miliardera, czy uciekać się do wyświechtanego motywu porwania młodej dziewczyny przez władczych i rozpustnych mężczyzn – ten, kto twierdzi, że o cielesności można mówić (i pokazywać ją) tylko *wprost*, ignoruje niejako wielowiekową tradycję europejskiej kultury.

Seksualność to przede wszystkim gra wyobraźni i poruszenie tych strun psychiki człowieka, dzięki którym rozbudzamy swój zwierzęcy instynkt, a nawet te mroczne strony swojej osobowości, o których nigdy nie mieliśmy pojęcia. Pokazywanie scen łóżkowych w sposób bezpośredni i niezapożyczony nierzadko jest o wiele mniej sensualne niż powolne budowanie napięcia, w którym widz niecierpliwie oczekuje takich scen – oczekuje, można by powiedzieć, nie tylko, żeby nadeszły, ale żeby nadchodziły, żeby z wolna budowały w jego wyobraźni ich najlepszy obraz. Niejednokrotnie krytycy filmowi przekonywali nas o tym, że najbardziej nieprzyzwoitymi i frywolnymi scenami erotycznymi są takie sceny, które erotykę delikatnie tylko muskają, a jednocześnie nasycają nią nie tylko cały ekran, ale i pełną roznamiętnionych i ożywionych widzów salę kinową. Reżyserem, który być może najlepiej zrozumiał, co to znaczy namiętna atmosfera w filmie, był Włoch Bernardo Bertolucci. W swoich dziełach buduje ten dotykany niemal klimat poprzez wszelkie dostępne reżyserowi środki wyrazu: dobór i prowadzenie aktorów, scenografię i kostiumy, scenariusz i dialogi, zdjęcia, muzykę oraz umiejscowienie akcji w konkretnych miejscach, czasach, a nawet mając na uwadze pogodę. Przykładem niech tu będzie film *Ukryte pragnienia* (1996, B. Bertolucci): mamy więc prowincjonalne włoskie miasteczko, rozkwit lata, bujną przyrodę malowniczych sadów, ożywcy wiatr, bohemę artystyczną niestroniącą od uży-

wek, a w tym wszystkim piękną i młodą Lucy, graną przez Liv Tyler, która przybywa tu w poszukiwaniu chłopaka, w którym zakochała się kilka lat wcześniej. Widz zostaje wrzucony w tę zmysłową rzeczywistość włoskiego temperamentu i bezwzględniego piękna niemal bezwiednie.

Filmem, który wykorzystuje seksualną wyobraźnię widza, jest także thriller *Morze miłości* (1989, H. Becker). Mamy tu parę romansujących ze sobą bohaterów, Helen i Franka; w jednej ze scen do sklepu spożywczego, po którym przechadza się Frank, wchodzi jego kochanka. Ubrana jest jedynie w czarny niezbyt długi płaszcz, a widz zdaje sobie sprawę, pamiętając o wcześniejszej rozmowie telefonicznej bohaterów, że być może pod płaszczem jest ona kompletnie naga – i tak, przy seksownych dźwiękach saksofonu, kręcą się oni między półkami, mierzą się wzrokiem, dotykają sklepowych artykułów, a widz z przejęciem i bijącym sercem wytrzeszcza wzrok i rozważa, czy rzeczywiście ten czarny płaszcz to jedyne nakrycie Helen. Jest to bez wątpienia jedna z najbardziej erotycznych scen w historii kina.

Niejednokrotnie samo pojawienie się aktorki lub aktora w filmie wiąże się z wybuchem potężnej dawki cielesności. Tak było z francuską gwiazdą kina Brigitte Bardot i jej pamiętną sceną namiętnego i gniewnego tańca w filmie *I bóg stworzył kobietę* (1956, R. Vadim), któremu, z równym oczarowaniem i pobudzeniem, co zażenowaniem i wstrętem, przygląda się jej niedawny kochanek. Tak było także z amerykańskim ideałem męskości, Marlonem Brando, którego nieokrzesanie i władcza maniera w głosie, a także biała podkoszulka, papieros w ustach, nie dbała fryzura i ściekający pot w filmie *Tramwaj zwanym pożądaniem* (1951, E. Kazan) na całe pokolenia stały się niedoścignionym obiektem fantazji kobiet i zadróści mężczyzn.

Filmem, który być może jest najbardziej uodczilijskim i namiętnym obrazem w historii kina, a przy tym jest także filmem autorskim, ambitnym i polifonicznym, jest francuski dramat psychologiczny *Piękność dnia* (1967, L. Buñuel). Nie zagłębiając się w bogatą sferę symboliczną i filozoficzną filmu, skupmy się przede wszystkim na głównej osi fabuły: mamy piękną i ponętą Severin (w tej roli fenome-

nalna Catherine Deneuve), żonę bogatego lekarza, która przy jednoczesnej szczerej miłości do męża, snuje wyrafinowane fantazje erotyczne o nieznanym, aż wreszcie decyduje się na zostanie prostytutką. Oryginalność tego filmu przejawia się przede wszystkim w budowaniu takiej rzeczywistości, jaką kreuje sobie ta targana przeciwieństwami kobieta – aż dziwne, że reżyserem tego filmu był mężczyzna – w której bycie tradycyjną i przykładną panią domu łączy się z pokusą bycia kimś innym, z chęcią powrotu do prymitywnych instynktów bycia tylko i wyłącznie zwierzęciem, w której wyrafinowanie i cynizm przenika się z autentyczną potrzebą swobody, w której chęć bycia ponizaną i poddaną woli brutalnych mężczyzn prostytutką jest niejako tożsame z byciem niesłychanie silną, chętną, wręcz heroiczną kobietą. Erotyzm tego kina jest tu tak samo silny, burzliwy, śmiały i realny, jak i zwodniczy, ułudny i płochliwy.

Seksualność zwykle ukazywana jest jako podniecająca i ekscytująca, bywa jednak przedstawiana jako kolejna emanacja brzydoty, zepsucia i upadku. Tak jest np. w filmie *Pianistka* (2001, M. Heneke) opowiadającym o autodestrukcyjnej naturze dojrzałej nauczycielki muzyki, granej przez Isabelle Huppert, która nigdy nie zaznała prawdziwej i niematerialnej miłości. Ten brak szczerych emocji próbuje zastąpić, czy wręcz zagłuszyć, zezwierzęceniem i zepsuciem moralnym. Po seansie tego filmu, w którym reżyser doprowadza seksualność nie tylko do asocjacji skrajnie hańbiących i dekompozycyjnych człowieczeństwo, ale przede wszystkim do wstrętu i obrzydzenia, chyba każdy widz, przynajmniej na chwilę, odsunie od siebie zgłębianie kina o podłożu erotycznym.

Oczywiście przykłady filmów w równym stopniu odważnych w ukazywaniu scen łóżkowych, czy obscenicznych, co śmiałych w umiejętności dyskusowania na tematy seksualne można mnożyć – jednak nie chodzi przecież o to, by piętrzyć biegość filmową, ale by zdać sobie sprawę, że sztuka, jaką jest kino, od zawsze próbowała wejść w naturę człowieczeństwa tak blisko, że niemalże przykrywała jego cielesność własnymi środkami wyrazu, by na ekranie pokazać to, o czym w skrytości własnej duszy każdy człowiek, ze wstydu i bojaźni, tylko szepcze.

# Zwrot plebejski czy jednak kres kultury chłopskiej?

## 1.

Kiedy po raz pierwszy czytałem tekst Myśliwskiego o kresie kultury chłopskiej, czułem irytację. Wyglądało to tak, jakby pochodzący z moich rodzinnych stron pisarz pragnął, żeby to na nim zakończyła się nie tylko literatura, ale cała chłopska kultura. Plotki o śmierci kultury chłopskiej uznałem za przesadzone – zwłaszcza że rozpuszczał je sam zainteresowany – pisarz przez wielu określany jako „chłopski”. Trzeba wiedzieć, że Myśliwski bardzo się obrusza na takie łatwe klasyfikacje. Według niego, jak ktoś jest pisarzem, to jest pisarzem, żadne dookreślenia nie są tutaj potrzebne. Z pewnością ją ma rację.

## 2.

Odnoszę wrażenie, że za dużo o wsi mówią ludzie niemający z nią zbyt wiele wspólnego. Próbują wszystko sprowadzić do statystyk, a od dawna wiadomo, że statystyki kłamią. Prawda o wsi tkwi gdzieś indziej. Polska wieś ewoluuje, ale trwa.

## 3.

Nie tak dawno na festiwalu filmowym w Cottbus oglądałem parę filmów tureckich. Jeden z nich opowiadał o tym, że codziennie do Stambułu przybywają tysiące emigrantów z biednych górskich wiosek położonych na Wyzynie Anatolijskiej. Dzięki temu Stambuł jest taki, jaki jest. Kosmopolityczny, a zarazem prowincjonalny. Przyszło mi na myśl, że bardzo podobnie rzecz ma się z Warszawą. Stolicę Polski także szturmują ludzie ze wsi. Wyemigrowały całe wioski spod Zamościa i Olsztyna. Przybywają tutaj w poszukiwaniu lepszego życia. Próbują się

jakoś zahaczyć, odnieść sukces. Niewielu się udaje zrobić coś spektakularnego – wejść w obieg kultury, polityki albo biznesu. Napływowi przywieźli ze sobą swoje nawyki, niekiedy gwary. Słyszy się te gwary w tramwajach, w metrze. Z bloków przez otwarte okna często dobiega disco polo.

## 4.

Można zaobserwować również trend odwrotny. Ludzie z dużych miast uciekają na wieś. Znikają zwykli chłopci, ich miejsce zajmują przesiedleńcy. Często są to tylko mieszkańcy sezonowi, letnicy. Osiedlają się na wsi, ale pragną zachować swój wielkomiejski status. Pamiętam, jak kiedyś rozliczając się za spotkanie autorskie w Oleśnicy, podałem świętokrzyski adres zameldowania, bo tam ciągle mam rodzinny dom. Księgowa biblioteki spojrzała na mnie jak na chłopka-roztropka spod Świętego Krzyża. Wieśniaka. Teraz na wiejskie zameldowanie patrzy się jako na wyznacznik statusu – stać cię na mieszkanie na wsi, nie musisz mieszkać w bloku w mieście, to jesteś gościem.

## 5.

Polska wieś się zmienia. Coraz więcej mieszka tutaj przypadkowych ludzi. Widać to nawet w polityce. Do bardzo chłopskiej partii, jaką przez wiele lat był PSL, zaczęli trafiać politycy, którzy często nie mają ze wsią nic wspólnego, są zwykłymi karierowiczami, którzy trafiają tutaj, bo wiedzą, że to ugrupowanie zwykle przekracza próg wyborczy i można się łatwo dostać do sejmu. Niektórzy kandydują potem nawet na prezydenta.

## 6.

Zawsze byliśmy krajem chłopskim, powinniśmy brać przykład z Finlandii, gdzie eposem narodowym stała się ludowa *Kalevala*. W Polsce takim eposem jest szlachecki *Pan Tadeusz*. Polska szlachta w znacznym stopniu była nieczytana i niepisana. Arystokracja lubowała się w kulturze śródziemnomorskiej, warchoły były warchołami. Bez wątpienia, kultura polska jest w znacznym stopniu plebejska – dowodem na to choćby kariera Zenka Martyniuka.

## 7.

Polska wieś się zmienia i być może niebawem będzie postrzegana tylko jako skansen. Uważam jednak, że to dzięki ludziom ze wsi Polsce udało się zachować tożsamość narodową. Resztki dawnych kultów są zakodowane właśnie tu, na wsi. Nie trzeba szukać nowych wzorców – trzeba korzystać z tych już wypracowanych.

## 8.

Te przemiany polskiej wsi co jakiś czas próbuje ktoś opisać. Przez jakiś czas czyniłem to głównie ja – w trzech pierwszych księgach mojego cyklu *Księstwo*, zwanych trylogią młodzieńczą. I mimo że książki były tłumaczone nawet na tak egzotyczny język jak wietnamski, wciąż są tłumaczone (serbskiego przekładu dokonuje Olga Lalić-Krowicka), powstała ważna ekranizacja Andrzeja Barańskiego (film *Księstwo*, 2011), pokazywana na wielu festiwalach na całym świecie (choćaby w konkursie głównym 46 MFF w Karłowych Warach), to niektórzy zdają się o tym zapominać. Albo nawet nigdy o tym nie słyszeli. Niedawno w „Małym Formacie” niejaka M. Tarnowska, doktorantka warszawska z bożej łaski wysmażyła tekst o prozie wiejskiej. O *Księstwie* nawet się nie zająknęła. Prześlizgnęła się po temacie, wstawiła parę „paradygmatów” i to by było na tyle. Wymieniała plon ostatniej dekady – *Pióropusz* Mariana Pilota, *Miedzę i Podkrzywdzie* Andrzeja Muszyńskiego, *Ludzką rzecz* Pawła Potoroczyna, *Guguly* i *Stancje* Wioletty Grzegorzewskiej, *Skorunia* i *Robinsona w Bolechowie* Macieja Płazy, *Dygot* Jakuba Małeckiego, *Uprawę roślin południowych metodą Miczurina* Weroniki Murek, *Sońkę* Ignacego Karpowicza i *Po trochu* We-

roniki Gogoli. I to by było na tyle. Rzuciła parę frazesów powtarzanych na różnych konferencjach, nawet ich nie przetrawiła intelektualnie. Ot, wyliczanka.

## 9.

Nie ma zbyt wielu twórców chłopskich. Może inaczej: nie wszyscy piszą o wsi albo się do pochodzenia ze wsi przyznają. I nie ma takiej konieczności: nie wszyscy Indianie muszą pisać o kulturze i historii swojego plemienia. Niekiedy lepiej potrafią to czytać inni, nie-Indianie. Skojarzenie z Indianami jest jak najbardziej na miejscu – kultura chłopska ma się ku wyginięciu. Indianie jednak potrafili zachować swoją tożsamość. Czy uda się to chłopom?

## 10.

Ciekawym przypadkiem jest Paweł Potoroczyn, autor powieści *Ludzka rzecz*, której akcja rozgrywa się w... mojej rodzinnej wsi. W książce wieś nazywa się Piórkowo. A ja wychowywałem się we wsi Piórków. Zbieg okoliczności? Bynajmniej. Kiedy Potoroczyn przebywał na placówce dyplomatycznej w Nowym Jorku, pracowała u niego kobieta ode mnie ze wsi. Dużo mu o Piórkowie opowiadała, on sobie to wszystko przetworzył. Na przykład – żeby było bardziej chłopsko – z księdza Molgi, który przez pewien czas uczył mnie religii, uczynił w swej książce Morgę. I tak dalej. Ja o swojej rodzinnej wsi napisałem trylogię młodzieńczą, do wsi powracam parokrotnie w książce piątej – *Książę bez ziemi*.

## 11.

Wracając do plejady autorów wymienionych przez warszawską doktorantkę: uważam, że im wszystkim daleko do Myśliwskiego. Ten pisarz potrafi uogólnić los człowieka. To dla mnie w pisaniu jest najważniejsze. Ja także uogólniam los człowieka, tyle że opowiadam o sobie.

## 12.

Najważniejszą powieścią Myśliwskiego pozostaje *Kamień na kamieniu*, którą możemy porównać chociażby z *Chłopami* Reymonta. Szymon Pietruszka, który uciekł ze wsi do miasta, powraca do niej, by odbudować świat, który uległ rozbiciu na kawałki.

Ta sztuka mu się nie powiodła, a książka stała się pocatunkiem śmierci dla nurtu wiejskiego, który na długi czas praktycznie zniknął z polskiej literatury.

### 13.

Mój bohater za wszelką cenę chciał ze wsi wyruszyć w wielki świat, co jakiś czas do swej wsi wraca pokonany. Tak się stało w powieści *Niech żyje wolność*, tak jest w księdze piątej cyklu *Księstwo (Księżę bez ziemi)* – bohater wraca, żeby sprzedać rodzinny dom i ziemię, i za te pieniądze spłacić nagromadzone długi. Czy wróci kiedyś jak Odys do Itaki? Ale jak, skoro jego Itaki już nie ma? Nowobogacki wybudował na miejscu jego rodzinnego domu fermę kurczaków.

### 14.

Myśliwski otrzymał dwa razy Nike, Nike dostał Pilot – niby coś drgnęło. Czy to jednak były prawdziwe hołdy, czy też zwykła pokazówka? Moim zdaniem na książki i filmy o wsi nikt w Polsce nie czeka, bo wciąż wstydzimy się swoich polskich korzeni. Początkowa klęska filmu *Księstwo* najlepszym tego dowodem. Powstało dzieło ciekawsze niż *Konopielka*, jest szerokim freskiem społecznym, a zostało w Polsce zmarginalizowane. Film był pokazywany w Karłowych Warach, a nie pokazano go w konkursie głównym w Gdyni. Doktorantka Tarnowska pisząc swój pobieżny błahy tekścik, który z jakiegoś powodu określiła szkicem, o filmie *Księstwo* zapomniała. Wspomniała za to o filmie Ewy Borzęckiej *Arizona* i nazywała go „chłopską porażką”. Jak dla mnie, prawdziwą porażką jest jej tekst, wyjątkowo zdawkowy.

### 15.

Wieś jest filozofią życiową, sposobem istnienia w świecie. Bohaterowie wiejskich powieści chcą swoją wiejskość przekroczyć. Rozdarcie między pochodzeniem a ambicjami bohaterów to jeden z najważniejszych problemów, który można odnaleźć w twórczości „chłopskich” autorów. Tak jest u Kawalca, Redlińskiego, Pieńkowskiego.

### 16.

Gwara to tak naprawdę archaiczna odmiana danego języka – po prostu gwara starzeje się wolniej od języka literackiego. Myśliwski twierdził w swoim manifestie, że chłopów nie krępowały nigdy normy językowe i słownikowe kanony, często natomiast wykazywali wręcz poetycką kreatywność w słowotwórstwie. Dlatego u Myśliwskiego chłopski styl opowieści zderza się z językiem wysokim, nasyconym częstymi cytatami i odniesieniami. Na pograniczu tych dwóch sposobów językowej organizacji świata przedstawionego wyklarował się styl Myśliwskiego – swobodny, a zarazem misterny. Pisarz nawiązuje i do kultury oralnej, i do największych tradycji literackich.

### 17.

Wieś została w polskiej literaturze zmarginalizowana. Książki o niej są traktowane jako ciekawostki. Nurt, który swego czasu był rozlany szeroko, wysycha. Przemiany, które dokonują się we współczesnej wsi polskiej, sprawiają, że ten nurt wyschnie całkowicie. Zamiast powieści *Kamień na kamieniu* będą powstawały pisane przez letników gnioty w stylu *Domu nad rozlewiskiem*. Wtedy wieś po prostu stanie się prowincją.

# Prezentacje

Grażyna Michalak-Bazylewicz



Urodziła się w Piastowie pod Warszawą w 1957 roku. Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie (1979-1983) na Wydziale Grafiki w Katowicach, w pracowni malarstwa prof. Jerzego Dudy Gracza i Jacka Rykały, w pracowni rzeźby Bronisława Chromego oraz w pracowni projektowania książki i technik wkleśłodruku prof. Stanisława Kłuski. Dyplom uzyskała w 1984 roku z malarstwa i grafiki warsztatowej, ze specjalizacją w zakresie projektowania graficznej książki.

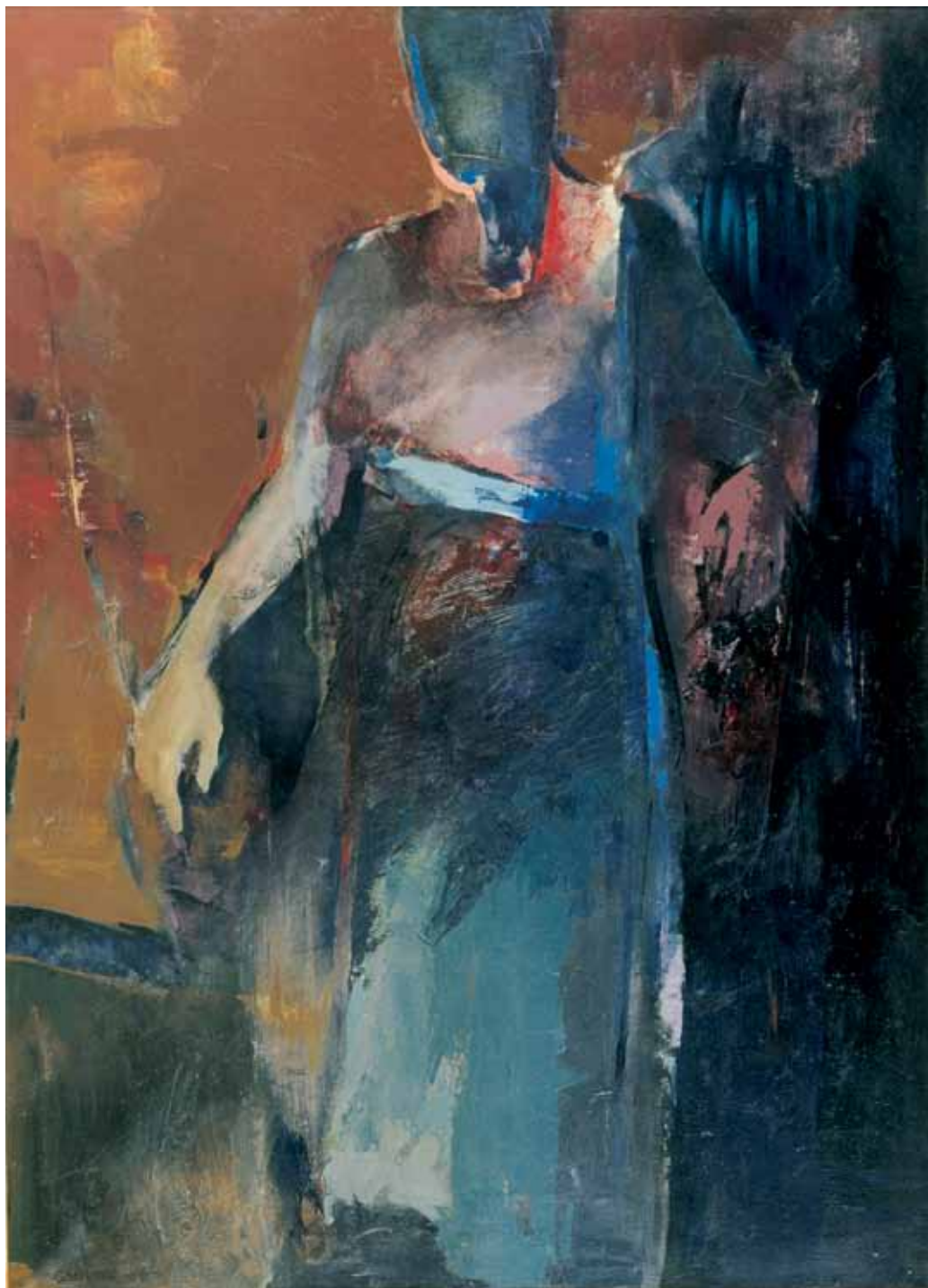
Zajmuje się rysunkiem, malarstwem, grafiką, rzeźbą, projektowaniem ogrodów, których liczne realizacje znajdują się zwłaszcza w województwie lubuskim. Wraz ze Zdzisławem Bazylewiczem jest współtwórcą malarstwa ściennego w pomieszczeniach restauracyjnych Browaru w Świebodzinie. Wraz z mężem, autorem monumentu po obu stronach mostu granicznego w Gubinku, zrealizowała płaskorzeźbę – tryptyk (część pierwszą) poświęconą patronowi Szkoły Podstawowej nr 21 im. Karola Wojtyły w Zielonej Górze.

Nagrodzona Medalem za Dzieło Plastyczne na wystawie „13. Salon Jesienny” (1985, BWA Zielona Góra).

Uczestniczyła w wielu plenerach artystycznych, będąc niejednokrotnie ich organizatorem. Brała udział w wystawach zbiorowych i indywidualnych w kraju i za granicą: w Niemczech (Drebkau, Braunschweig), we Francji (Saverne), na Ukrainie (Kijów, Sumy), w Polsce, m.in. w Katowicach, Zielonej Górze, Gorzowie, Bolestraszczykach, Busku-Zdroju, Tarnobrzegu i Poznaniu.

## Wystawy indywidualne (\*) i zbiorowe:

- 1983\* – Galeria „Kowadło” Katowice – grafika warsztatowa, malarstwo  
1984 – BWA Katowice – „Dyplomy '84” – malarstwo, grafika  
1985\* – Galeria „po” BWA Zielona Góra – malarstwo, grafika warsztatowa  
1985\* – Galeria PSP Zielona Góra – malarstwo, grafika warsztatowa  
1985 – BWA Zielona Góra – 13. Salon Jesienny – malarstwo (nagroda za dzieło)  
1987 – Witebsk – Malarstwo, grafika, rysunek plastyków zielonogórskich  
1989 – Seminarium Duchowne Gościkowo-Paradyż „Artyści Maryi” – malarstwo  
1990 – BWA (mała sala) – „Artyści dla Rzeczypospolitej” – malarstwo  
1990 – Galeria Ratuszowa Cottbus – poplenerowa wystawa malarstwa, Drebkau  
1991 – BWA Zielona Góra – „Generacja '80” – malarstwo  
1995 – BWA Zielona Góra – „Salon Jesienny” – malarstwo  
1996 – Galeria „Art” – Zielona Góra – poplenerowa wystawa rysunku, Przytok '96  
1997 – BWA Zielona Góra – poplenerowa wystawa malarstwa, Łagów '96  
1997 – Galeria ratuszowa Braunschweig – „Spektrum” – malarstwo  
1998 – Galeria Pro-Arte, Salon Sztuki ZPAP Zielona Góra – „Obecni-Nieobecni”  
1998 – BWA Zielona Góra – poplenerowa wystawa malarstwa (Łagów '97)  
2001 – Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze – Plastyka Lubuska – prace z lat 1945-2001 – malarstwo, rysunek  
2001 – BWA Zielona Góra – Salon Jesienny – rysunek  
2004\* – Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze – malarstwo, rysunek, grafika  
2006 – Galeria TDK Tarnobrzeg – poplenerowa wystawa rysunku (Arboretum w Bolestraszcach)  
2007 – Galeria TDK Tarnobrzeg – 10. Plener „Wikliną i na papierze” – rysunek  
2008 – Galeria TDK Tarnobrzeg – 11. Plener „Wikliną i na papierze” – rysunek  
2008 – BWA Kielce, Galeria Zielona w Busku Zdroju, Galeria Sztuki Współczesnej w Sandomierzu, Miejski Ośrodek Wikliniarstwa w Rudniku nad Sanem – „Natura Optima”, Wystawa rysunku i rzeźby wiklinowej, Bolestraszyce – Zamek „Galeria u Piotra”, Galeria Pro Arte Zielonogórskiego Okręgu ZPAP  
2008 – Polski Salon Sztuki – „Poznaj zmiany 2008”, Poznań  
2008 – *Natura Optima* Wystawa rysunku i rzeźby wiklinowej (Grażyna M-Bazylewicz, Stanisław Dziubak, Zdzisław Bazylewicz) – BWA Kielce, Galeria Zielona w Busku-Zdroju, Galeria Sztuki Współczesnej w Sandomierzu, Miejski Ośrodek Wikliniarstwa w Rudniku nad Sanem, Bolestraszyce – Zamek Galeria u Piotra, Galeria Pro Arte Zielonogórskiego Okręgu ZPAP  
2008 – Polski Salon Sztuki Poznań – Poznaj zmiany 2008  
2009 – Plener Malarski „Dwa Księżycy” – Kazimierz Dolny nad Wisłą  
2009 – Muzeum w Zamościu – 2. Zamojskie Biennale Sztuki inspirowane poezją Bolesława Leśmiana  
2009 – 12. Międzynarodowy Plener Artystyczny – Tarnobrzeg – Bolestraszyce 2009, Galeria u Piotra  
2010 – 13. Międzynarodowy Plener Artystyczny Batorz – Tarnobrzeg 2010 – Tarnobrzezki Dom Kultury  
2010 – Galeria Brama w Zamościu, Galeria Miejskiego Domu Kultury / Szczepreszyn – „Chopinowi – nie wysłane listy”  
2010 – Galeria BWA Gorzów – Salon Jesienny  
2011\* – Galeria Sztuki Współczesnej BWA Olkusz, BWA Zielona Góra, Galeria u Piotra Arboretum i Zakład Fizjografii w Bolestraszcach – Cykl wystaw rysunku w ramach projektu „Lubię mówić z Tobą”



*Lady Łazarz*, olej, płótno, 100x140, 1980



*Osty – wieczorne lśnienie*, olej, płótno, 80x55, 2015



ilustracja do wiersza Jana Brzechwy *Żaba*, tusz, papier, 30x30



*Osty*, tusz, papier, 30x60, 1989



*Martwa natura z Dziwiszówki*, olej, płótno, 80x40, 2011



*Tymoteusz*, olej, płótno, 30x40, 2016



*Julian*, olej, płótno, 30x40, 2014



*Bez tytułu*, olej, płótno, 140x100, 1984



*Autoportret błękitny*, olej, płótno, 60x120, 1980



*Autoportret*, olej, płótno, 26,5x28,5, 1980



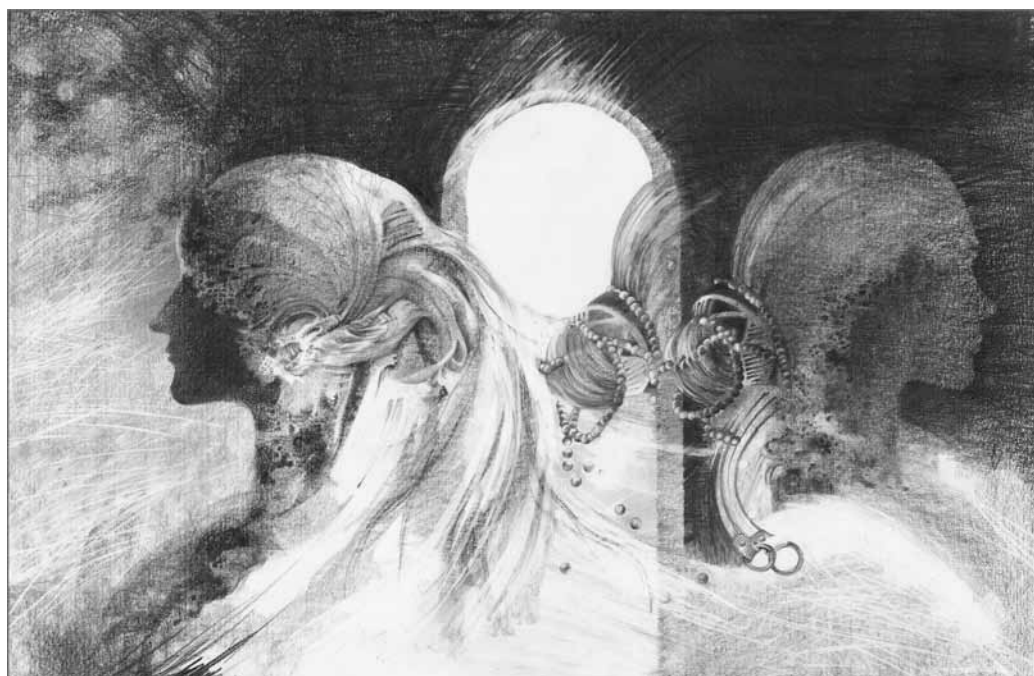
*Matka*, olej, płótno, 100x40, 1984



*Autoportret w czerwieni*, olej, płótno, 100x120, 1983

- 2011 – Muzeum Ziemi Lubuskiej – 100 lat Związku Polskich Artystów Plastyków, twórczość artystów Okręgu Zielonogórskiego
- 2011 – Muzeum – pracownia im I. P. Kawaleridze w Kijowie, Ukraina, Galeria Miejska „Smuga” w Sumach, Ukraina – Grażyna Michalak-Bazylewicz – Zdzisław Bazylewicz, wystawa rysunku w ramach projektu „Lubię mówić z Tobą”
- 2011 – 14. Międzynarodowy Plener Artystyczny Tarnobrzeg – Bolestraszyce 2011, Wystawa poplenerowa – Tarnobrzski Dom Kultury, Galeria u Piotra Arboretum w Bolestraszcach
- 2012 – 14. Międzynarodowy Plener Artystyczny Batorz – Tarnobrzeg – Bolestraszyce 2012 – Wystawy poplenerowe: Tarnobrzski Dom Kultury, Galeria u Piotra Arboretum w Bolestraszcach, Gminny Ośrodek Kultury w Batorzu
- 2015 – Tarnobrzski Dom Kultury – Wystawa RAZEM malarstwo i rysunek  
Grażyna Michalak-Bazylewicz i Zdzisław Bazylewicz
- 2016 – Saverne, Expos du Cloître – Prezentacja twórczości 16 artystów Zielonogórskiego Okręgu ZPAP
- 2016 – Galeria BWA Gorzów Wielkopolski – Salon Jesienny 2016
- 2017 – 1. Międzynarodowy Plener Artystyczny „Biezuńskie inspiracje”. Wystawa poplenerowa Muzeum Małego Miasta Bieżunia
- 2018 – 2. Międzynarodowy Plener Artystyczny „Biezuńskie inspiracje – historia na wyciągnięcie ręki”. Wystawa poplenerowa – Muzeum Małego Miasta Bieżunia
- 2019 – 26. Plener Malarski Baranów, Grębanin, wrzesień 2019 – Wystawa poplenerowa w „Baranowskiej Chacie”
- 2019 – BWA Zielona Góra – Salon Jesienny 2019





Stanisława Zacharko

# Perfekcja i wrażliwość

W delikatnych i zwiewnych rysunkach Grażyny Michalak-Bazylewicz zachwycają perfekcyjnie narysowane konary drzew, żdźbła traw, liście, ptasie pióra. Ale to nie z ich precyzyjnie skopiowanych kształtów artystka buduje treść swoich prac; przede wszystkim wykorzystuje ich najistotniejsze, pozamaterialne właściwości, wiążące się z nimi skojarzenia, emocje, jakie budzą. Jej prace to plastyczne, poetyckie w charakterze metafory, złożone z nieokreślonych sensów, znaczeń, odczuć. Częściowo oczywistych; takich jak ulotność i lekkość, kojarząca się z piórkiem nietrwałość, chwilowość i kruchość – związana z liściem, ponadczasowość, zawarta symbolicznie w wizerunku antycznej kolumny, czy akordy ekspresji i dramatu, odczytywane w skręconych gałęziach drzew. Ale także z tych podświadomych, głęboko osobistych emocji, zależnych od indywidualnego bagażu doświadczeń, rodzaju wrażliwości i chwilowego nastroju. Miękkie, delikatnymi walorami szarości rysowane, cienie pozbawionych wyraźnych konturów form przenikają się wzajemnie, tworząc dodatkowo klimat niejednoznaczności i niedookreślenia. W tych pracach, oprócz tego, co zostało narysowane, ważne jest także to, co nie zostało dopowiedziane – lub przez artystkę celowo współzatarłe czy wymazane. To przestrzeń pozostawiona odbiorcy: otwarta na jego uczucia i interpretacje, gotowa na jej dopełnienie jego własnymi odczuciami. Artystka często uzupełnia swoje kompozycje o ręcznie (ołówkiem) wpisane strofy wierszy. Dopełniają one literacką treść prac – ale i ich warstwę plastyczną: charakterem pisma, graficznym rytmem ułożonych liter i słów.

(ze wstępu do katalogu wystawy „Natura Optima”, Wydawca: BWA w Kielcach, 2008)

Renata Trzaskowska

## O wystawie „Natura Optima” 2008

„A droga długa jest...”, a na niej zachwyt wrażliwości nad ulotnością chwili, czasem ból istnienia, a i pocątek traw dotkniętych bosą stopą. Wpleciona w pejzaż, spotkanie człowieka, wsłuchana w słowo, zapatrzona w słowo, opleciona i oplatająca emocjami. Taka jest Grażyna i takie są jej rysunki. Uniesiona przez muzykę, wyciąga z duszy piórka poezji i puszcza na wietrze, by fruwały nad światem coraz bardziej pozbawionym serca. Dotyka szczegółem, zachwyca uśmiechem listka, porusza ważnością istnienia każdej najdrobniejszej cząstki tego świata. Jakby chciała powiedzieć: „no bądź / tak zakwita drzewo i obłok / [...] tak się trawa ociera o ziemię / i tak gwiazda opada w mrok / no bądź” (H. Poświatowska).

Jakże zadziwiająca jest jej bliskość z naturą. Roślinami maluje rzeczywistość, tworząc przepiękne ogrody, w których wszystko żyje życiem wzajemnym. Gdzie dumny świerk pochyla się nad kruchością życia macierzanki, a złotokap ogrzewa słońcem cieniste jałowce. Tak jak w jej rysunkach... Poezją zachwycona, poezją przepelniona, nasycy nią to, co robi. Kreska, kropka, litera wychodząc spod jej ręki, tworzą sztukę, nad którą w zachwycie i zadziwieniu przystają.

# Nie dajmy się zmylić pozorom

*Kiedy z serca płyną słowa  
uderzają z wielką mocą...  
i dlatego lubię mówić z Tobą*

Tak zwraca się do nas Grażyna Michalak-Bazylewicz, cytując tekst piosenki zespołu „Akurat”. Ostatnie trzy słowa tekstu stały się nawet tytułem obecnej wystawy. *Słowa* Pani Grażyny to rysunki. Duże, pełne światła kompozycje, zbudowane ze srebrzysto-szarej materii ołówkowej plamy. Pejzaże? Tajemnicze zakątki lasu czy ogrody? Portrety roślin?

Nie dajmy się zmylić pozorom. Te „słowa” przekraczają prosty opis tego świata, próbują zamknąć w sobie nastrój chwili, zapisać rodzące się intuicje. Niepostrzeżenie stają się wówczas czymś w rodzaju wewnętrznego autoportretu Autorki; także nam proponują podobne odczytanie urody świata. Jeśli staniemy przed nim, jak przed lustrem, jeśli rezonansem zabrzmi w nas „spokój, wielki spokój / przestrzeń między łzami w oku” (to kolejny cytat z repertuaru zespołu „Akurat”), zrozumiemy istotę fascynacji Pani Grażyny.

A może niejeden z nas wie już o tym od dawna? Twórca nie jest osobnym gatunkiem człowieka, próbuje tylko z dużym nieraz trudem zatrzymać te powszechne, lecz niemal nieuchwytnie intuicje. „Dlatego lubię mówić z Tobą”, dzielić się tą wielką wartością – dopowiada autorka.

Wśród eksponowanych prac Grażyny Michalak-Bazylewicz dostrzec można kilka tematycznych grup. Niektóre ujawniają specyficzne źródła inspiracji – dzieła innych twórców. Raz są to spotkania na gruncie literatury: z poezją Bolesława Leśmiana (cztery pionowe kompozycje z roku 2009) czy śpiewną liryką Wandy Warskiej (liczne rysunki od *Chwili* z roku 2006 czy dwu wersji *A ten szum wyżej to wiatr* z roku 2009), tekstami rozważań psychologicznych Kena Wilbera czy *Grą szklanych paciorków* Hermana Hesse (obydwa z roku 2007). Innym razem w świecie muzyki, jak choćby cykl *Chopinowi – nie wystane listy*, powstający w latach 2008-2010 i być może obiecujący kontynuację (wzorem innych wrażliwych na dzieła wielkiego romantyka twórców), kończąc na jednym ze studenckich jeszcze mistrzów Pani Grażyny, Jerzym Dudzie Graczu.

Niekiedy rysunki powstają jako rezultat „wsluchania się” w głos równoległych kulturowych wartości: urody nasyconego architekturą krajobrazu Italii (*Pamiętasz tę podróż...* – rysunek z roku 2008, przywołujący pamięć spotkania z zabytkami Rzymu, Ankony, Trento, Rimini, Bergamo) czy elementów zabudowy cmentarzy (trzy refleksyjne rysunki z tegoż roku, z Tarnobrzega: *Tyle było dni, tyle było chwil, A światłość wieczną niech mają u Ciebie oraz I Święci i Oni smucą się w cieniu tej samej jabłoni*). Także niejeden rysunek związany z nagraniami tzw. poezji skakanej bielsko-bialskiej grupy „Akurat” (zaryzykuję przypuszczenie, puszczanymi „na okrągło” w pracowni artystki) dokumentuje te zapożyczenia, czy raczej emocjonalny rezonans.

Poprzez te kultowe pośrednictwa przebija nieustannie także podstawowe wezwanie – głos natury. To także osobny, równie bogaty dział realizacji Grażyny Michalak-Bazylewicz. Pojedyncze drzewa i całe pasma zieleni, pojedyncze rośliny i gęszcz ich pędów, łodyg, liści. Także niebo, nieruchome w swej przejrzystości lub zbudowane smugami chmur i piętami obłoków.

Dyscyplina czarno-białych rysunków wzmacnia natężenie światła i mnoży niekończące się rozróżnienia kolorów. Bogactwo ludzkiego głosu doczekało się wymarzonego porównania w określeniu au-

torskiego kunsztu: „Chętnie słuchałbym jego brzmienia nawet wówczas, gdyby służył do czytania kart książki telefonicznej”. Podobnie można by określić jakość samej materii tych rysunków; jej szlachetność nie wymaga dodatkowego, znaczeniowego uzasadnienia. Podkreśla ją również umowność kompozycyjnych podmiotów, przekraczających ramy tzw. studium natury. Dość przywołać konstrukcję prac z kolejnych lat: *Nuty o ptakach* (2006), *Między ciszą a ciszą* (2007), *Pamiętasz tę podróż* (2008), *Dziełby leśnej I* (2009), *Romanca Larghetto...* (2010), zbudowanych na tej samej zasadzie, niby tryptyku, rozciągniętego pionowo centralną wiązką światła.

Gdy piszę te słowa, Autorka pracuje dopiero nad nowym zagadnieniem: próbą ukazania monumentalności botanicznego obiektu (*Podszepty gunnery I-IV*) w zablokowanym układzie czterech poziomych prostokątów, każdy o klasycznym formacie 70 × 100. Wyzwanie – jak na rysunkowy warsztat – niemałe. Lecz przecież, jak sama wyjaśnia: „gunnera to ogromna roślina o nieprawdopodobnie dużych liściach, pod którą można się ukryć. Zatrzymuje światło, a fantastyczny środek zbudowany jest przez te prześwietlone liście”.

Podobne zadania stawiali sobie budowniczo wie późnogotyckich katedr.

(Fragment tekstu z katalogu wystawy rysunku „Lubię mówić z Tobą”, Wydawca – BWA Zielona Góra)



# RECENZJE I OMÓWIENIA

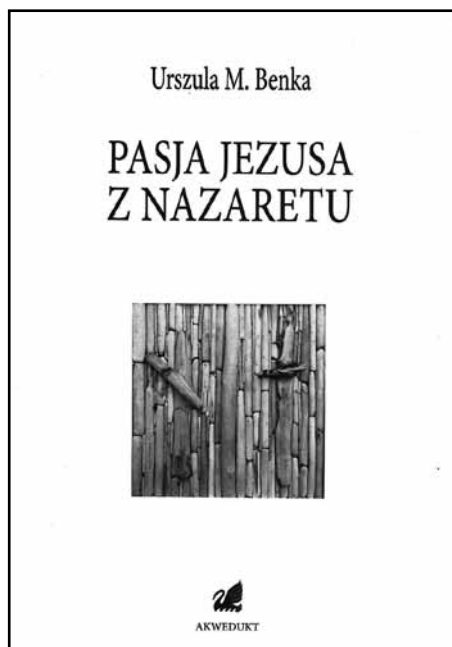
## Pasja według... Urszuli Małgorzaty Benki

Urszula M. Benka, *Pasja według Jezusa z Nazaretu*, Wyd. Akwedukt, Wrocław 2020, 66 s.

Opisanie na nowo historii postaci biblijnych czy tylko epizodycznych wydarzeń związanych z ich życiem to z jednej strony niemal diżurny motyw literacki, a z drugiej – niezmiennie trudny temat i tworzywo, wymagające od autora niezwyklej erudycji, wiedzy, pogłębionej refleksji, talentu i... wyobraźni. Niełatwo pogodzić owe przesłanki i atrybuty, aby powstało z tej kompilacji dzieło. To udawało się nielicznym, znanym z historii literatury twórcom, jak Karel Čapek, Tomasz Mann, Michaił Bułhakow, Lew Tołstoj, a z naszego poletka – takim pisarzem jak Roman Brandstaetter czy Zenon Kosidowski.

Opisać wydarzenia nowotestamentowe czy losy bohaterów ewangelicznych w indywidualny sposób, przetransformować widzenie świata i odczucia kreacji biblijnych, przepuścić je przez filtr własnych wyobrażeń, emocji, przemyśleń, postaw i wartości, to wykwinna sztuka i artystyczna umiejętność. Do takiego osobistego świata biblijnych retrospekcji zaprosiła tym razem Urszula Małgorzata Benka w najnowszym zbiorze poetyckim zatytułowanym *Pasja Jezusa z Nazaretu*. W książce autorka zamieściła 13 utworów podzielonych na stacje zgodnie z kanonem drogi krzyżowej wzorowanym na średniowiecznej trasie pielgrzymkowej Via Dolorosa, upamiętniającej ostatnią drogę cierpienia Zbawiciela. Właśnie motyw pasyjny jest zasadniczą osią i klamrą struktu-

ralną lirycznej opowieści Benki. Jednak to nie sama męka Chrystusa przeżywana przez niego psychicznie i cielesnie jest osnową liryczną tomu, ale ukazanie owego cierpienia przez pryzmat osób mu towarzyszących, świadków jego tragedii, przypadkowej gawiedzi naocznie relacjonującej wypadki.



Chrystus nie jest zatem, wbrew tytułowi książki Urszuli M. Benki, głównym bohaterem, a są nim przede wszystkim tłum i postacie związane z procesem jego osoby, ich nastawienie, sądy i opinie. Stąd mamy tu i Heroda, i Judasza, i Jakuba, i Łazarza, i Józefa z Arymatei, i łotra, powieszzonego obok. Ale całość dopełnia opis wydarzeń męki relacjonowanej przez tłuszcę: babę, grubasa, przechodnia, młokosa, handlarke, praczkę, faryzeusza, a ich narracja uprawdopodobnia, jeśli nie rzecz urealniania, przebieg wydarzeń związanych z ukrzyżowaniem Nazarejczyka. Żywe dialogi naocznych świadków męczarni Chrystusa sprawiają, że czytelnik czuje się niejako w epicentrum wydarzeń, że może przeżywać tragedię, wczuwać się w nastroje tłumu, obserwować różnorodne reakcje, empatycznie odbierać nastawienie poszczególnych osób towarzyszących Jezusowi w jego ostatniej drodze. Owa polifoniczność niewątpliwie nadaje cech autentyzmu przeżywanych sytuacji i rozmaitych społecznych zachowań:

Baba:

Jezus był mądrym rabim. Prawda z ust jego płynęła  
jak balsam  
A Barabasz był łgarz bez cienia sromu.  
Gdy Jezus Pismo objaśniał, to dorównywał uczynom.  
A Barabasz był nieuk – wraz do wożenia gnoju.

Kupiec:

Niesmaczne to aluzje i brak taktu, jak zwykle  
u cudzoziemców.

Grubas:

I obiektywnie, stronniczy to sąd.

Handlarka:

A co wy chcecie? Żeby Go chcieli sprawiedliwie  
sądzić.  
To by nie wiekli do Piłatusa.

Faryzeusz:

Rzymska justycja...

Przechodzień:

Ślepa, za to nieźle uzbrojona.

Kupiec:

Gdzie masz pan ustrój sprawiedliwy na ziemi?

Grubas:

O polityce możemy spokojniej, panowie, spokojniej,  
na uboczu,  
Nie dość, żeśmy spóźnieni na proces, to jeszcze  
dygresje  
Tak niestosowne w publicznym miejscu.

Wielogłosowość zastosowana przez autorkę to koncept, który nadał opisowi cech szczególnych, jest niejako świadectwem prawdy, a zarazem bezstronną obserwacją zachodzących reakcji i zdarzeń. Podobną technikę opisu widzimy też w największej objętościowo stacji V „Według Heroda”, gdzie mamy pozorny dialog żydowskiego króla z sądzonym przez niego Jezusem. Pozorny, gdyż w istocie stanowi on nieustający monolog władcy. Milcząca obecność Nazarejczyka sprawia, że znów Chrystus jest postacią drugiego planu.

Milczysz.

Wiesz, jam zwyczajny gadać do głuchych. [...]  
Mówią: jesteś żydowski król. Jam także Żyd  
I król. [...]  
Czego właściwie chcesz? Mi wszystko jedno.  
Cudu, tylko o to z całej duszy błagałem. [...]  
Daj mi cud.  
I odejść.

Galilejczyk w tomie lirycznym Urszuli M. Benki nie przemawia w ogóle, jakby jego słowa, nazbyt święte, były zarezerwowane tylko dla Pisma, bożych ksiąg natchnionych, więc nie może ich kłaść surowa relacja z przebiegu męki Jezusa, bowiem publicystyczno-literackie i reportersko-kronikarskie zapisy wydarzeń nie są godne przytaczania objawień Mesjasza. Z drugiej jednak strony, ich brak dowodzi też pokornej i pełnej zgody Jezusa na ostateczne wypełnienie się jego misyjnego losu. W stacji II „Według Judasza” apostoł i zdrajca swojego mistrza, skarżąc się na ich wspólny los, wypowiada znamienne słowa:

Ta księga pełna jadu. Jej karty szeleszczą  
Jak słomy wiecheć, co buchnie pożarem  
Za jedną iskrą. [...]  
Taka jest moja pasja, moja ewangelia!

A księga liczb, rachunków, buchalteria  
Mignie jasnością formuł świętej Ekonomii  
W latyfundiach schylonej niewolniczo.  
Wszyscy grudom ziemi jesteśmy podobni,  
A duchy w nas drżą  
Niby bicze.

W imieniu Boga-Człowieka lub o nim samym mówią za to chętnie pozostali bohaterowie apokryficznego przekazu Benki, jak Judasz i Jakub – uczniowie Jezusa, cudzołożnica Magdalena, łotr na krzyżu, Józef z Arymatei, który zdjął ciało z krzyża i pochował w swoim grobie, czy Weronika, uznawana za świętą kilku Kościołów chrześcijańskich, która dzielnie towarzyszyła Nazarejczykowi w jego ostatniej drodze. W stacji VII Weronika mówi:

Iść tamtędy musiałam, bo musiałam,  
Przecież nie ja tę drogę wybrałam. [...]  
A Boga dotknęłam, bo niczego  
Nie spotkałam w swojej drodze innego.

Z kolei wspomniany Józef z Arymatei w stacji X gorzko powiada:

Ten grób miał być mój –  
Nic więcej nie miałem.

Wypełniłem go  
Samym Bożym ciałem.

Na szczególną uwagę zasługuje też zakończenie *Pasji Jezusa z Nazaretu* – „Stacja ostatnia”, która stanowi kunsztowne i doskonałe autorskie podsumowanie biblijnej reinterpretacji. Oto w ostatecznej wizji dziejów Chrystusa dochodzimy niejako do korzeni, archetypu, boskiego prapoczątku i narodzin wszechświata. Mamy tu bowiem istne wymieszanie żywiołów, duchowych energii, transcendentnych bytów, szalonej psychomachii, gdzie począ-

tek eschatologicznej wędrówki człowieka miesza się z jej apokaliptycznym epilogiem, profetyczną wizją, która zdaje się nie mieć końca. Metafizyczny amalgamat to mieszanka „wszystkiego z czymś innym”, spłot pięknych i katastroficznych mocy, sacrum z profanum, początku i nieskończoności, aliaz pustki z prawdą, światła za snem, logosu z duchem, rozkoszy z cierpieniem, mistycznej alfy i omegi. „Stacja ostatnia” w harmonijny i skondensowany sposób przywodzi skojarzenie z powstaniem świata, biblijnym wyłanianiem się kosmosu, mozolnym lepieniem z gliny człowieczego indywiduum z jego wszelkimi namietnościami, przypomina o niezwykłej kosmogonii, religijnych mitach, filozoficznych atrybutach, psychologicznej peregrynacji bytów od ich narodzin do śmierci oraz stanowi rudymentalną historię cywilizacyjnej odysei. Kryje się za tym warsztatowa maestria skrótowego obrazowania i autorska perfekcja esencjonalnego opisu. Owo konieczne zakończenie tomiku sprawia, że jak esku-lap połykający własny ogon wracamy do źródeł, do początku pasyjnego zbioru Benki, gdzie w rozpoczynającym książkę wersie Jakub mówi:

Usnąć  
W słabość ciała się wtulić jak w nicość sprzed  
narodzenia.

Wieloobrazowość i polifoniczność opisanej przez Urszulę M. Benkę pasyjnej drogi Jezusa sprawia, że jej liryczne tworzywo nabiera kolejnych głębszych wymiarów biblijnej symboliki, humanistycznych aspektów, staje się wielopłaszczyznowym oglądem ostatniej wędrówki zwykłego skazańca i zarazem natchnionego reformatora religijnego, niezwyklego uzdrowiciela, pośłańca bożego, a jednocześnie żydowskiego Mesjasza i chrześcijańskiego Zbawiciela; z jednej strony człowieka, z drugiej – świętego pomazańca. Wymaga to odrębnego, wolnego od schematów spojrzenia, nowej analizy i odczytania, pogłębionej, swoistej refleksji.

Poetka z wirtuozerią (niczym znany XX-wieczny surrealista Hans Bellmer, który ciął na drobne fragmenty swoje lalki) rozczłonkowuje na kartach swojego tomu sceny zakodowane w psychice bohate-

rów męki Jezusa, a równocześnie misternie wiąże je, spleta, scala i holistycznie łączy w różnobarwną konstrukcyjnie całość, nadając swojej apokryficznej kompozycji nowy jakościowo, literacko i duchowo wymiar czytelniczego odbioru. Pierwsza dama współczesnej poezji polskiej, jaką niewątpliwie jest Urszula Małgorzata Benka, po raz kolejny wznio-

śła się na wyżyny poetyckiego parnasu, przygotowała finezyjnie dzieło najwyższego sortu, wysublimowaną literacko-eteryczną strawę, a zarazem postawiła przed miłośnikami poezji wyrafinowane, nie lada estetyczne i umysłowe alegoryczno-paraboliczne wyzwanie.

Robert Rudiak

## Przeszłość należy do nas wszystkich

Annette Hess, *W niemieckim domu*, przeł. Barbara Niedźwiecka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, 416 s.

**Powieść *W niemieckim domu* jest dowodem, że w Niemczech nadal toczy się dyskurs o odpowiedzialności za nazistowską przeszłość i okropności drugiej wojny światowej. Dyskusja jest szczerą i bez przemilczeń.**

Annette Hess była dotąd scenarzystką filmową, ma na swoim koncie bogaty dorobek, wielokrotnie nagradzany. Jej filmy znane są z tego, że często głównymi ich postaciami są kobiety. Nie inaczej jest w jej debiutanckiej powieści *W niemieckim domu*, toczącej się we Frankfurcie nad Menem w 1963 roku. Na pierwszy plan wysuwa się tutaj dwudziestokultnia Ewa. Jest niemal w przeddzień swoich zaręczyn, ale przeżywa z tego powodu wielki stres. Nie wiadomo bowiem, czy jej rodzina – rodzice są właścicielami restauracji „Niemiecki Dom” – będzie wystarczająco dobra dla ojca jej narzeczonego, właściciela wielkiej firmy przynoszącej spore zyski. Martwi się też, czy jej ojciec i matka bez zastrzeżeń zaakceptują Jürgena.

Ewa jest tłumaczką języka polskiego. (Wiemy o jej pracy na razie tylko tyle, ale dopiero po przeczytaniu powieści będzie czymś wstrząsającym uświadomienie sobie, jak to się stało, że wybrała akurat taki, a nie inny zawód). Któregoś dnia zostaje wezwana w zastępstwie do sądu, by przetłumaczyć zeznania Józefa Gabora, związane z jego przeżyciami w obozie koncentracyjnym. W uwagach końco-

wych autorka zaznacza, że w powieści występują fikcyjni świadkowie, ale „egzemplifikują losy osób ocalałych”, jak to ujmuje. Annette Hess posłużyła się także fragmentami oryginalnych cytatów z ze-



znań z procesu sądowego, dotyczącego zbrodni popełnionych w Auschwitzu.

„Chylę czoło przed ludźmi, którzy w tym procesie po raz kolejny konfrontowani byli z własnymi traumatycznymi doświadczeniami i stanęli bezpośrednio naprzeciwko sprawców. W ten sposób dali światu wyczerpujące i trwałe świadectwo tego, czym był Auschwitz”, pisze autorka. Nawiązuje ona w powieści do toczącego się rzeczywiście we Frankfurcie nad Menem procesu sądowego, tzw. drugiego procesu oświęcimskiego (od grudnia 1963 do sierpnia 1965). W *niemieckim domu* nie jest oczywiście jego zapisem dokumentalnym, ale powieścią, w której motywy te zostały wykorzystane.

Okazuje się, że na proces nie dotarł do Frankfurtu nad Menem tłumacz z Polski, dlatego Ewa musi pracować w sądzie już do końca, co nie podoba się i jej narzeczonemu, i jej rodzicom. Jürgen nie chce, żeby jako kobieta, jego przyszła żona w ogóle pracowała (przecież wystarczy, że on będzie dobrze zarabiał). Ale czy to jest jedynym powodem? Dla jej ojca i matki to, co rozgrywa się w sądzie, staje się coraz bardziej niewygodne, choć milczą na ten temat i nie spieszą się z wyjaśnieniami.

Polski tytuł powieści nie oddaje do końca dwuznaczności tytułu niemieckiego. *Deutsches Haus* to nazwa restauracji rodziców Ewy – porządnej, renomowanej, z tradycyjnym niemieckim jedzeniem. Symbolizuje gromadzenie się przy stole i wspólne świętowanie: zapomnijmy o tym, co było, ważne jest to, co tu i teraz. Ale też i dosłownie rozumiany „niemiecki dom”, w którego szafach – jak się okazuje – zalegają „szkielety” i którego fasada wygląda inaczej niż wnętrze. Dom, który być może trzeba przewietrzyć i odmalować. I trzeba w nim wreszcie zacząć ze sobą normalnie rozmawiać.

Autorka pokazała tutaj szeroki przekrój różnorodnych postaw związanych z wojenną przeszłością Niemiec i Niemców. Akcentuje przede wszystkim ich rażącą ignorancję dotyczącą tamtych wydarzeń. „Uważacie, że w trzydziestym trzecim małe brunatne ludziki przyleciały statkiem powietrznym i wylądowały w Niemczech, co? I wam, biednym Niemcom, narzuciły faszyzm, a potem, w czterdziestym piątym, się stąd wyniosły”, krzyczy do Ewy zaangażowany

we frankfurcki proces Kanadyjczyk. Hess portretuje obojętność wobec narastającego hitlerowskiego terroru i zrzucanie z siebie winy. „Przecież nikomu nie zrobiliśmy krzywdy”, mówi jedna z postaci. Odsłaniają się też mechanizmy konformizmu: „Baliśmy się, mieliśmy małe dzieci”. Widać też dramatyzm życia po wojnie, gdy się okazuje, że do wspólnego stołu (metaforycznie rzecz ujmując) będą musieli zasiąść ci, którzy dawniej znajdowali się po przeciwnych stronach: zbrodniarze i ich ofiary. Ci, którzy popierali nazistów, i ci, którzy byli przeciwko nim. Słychać też nawoływanie do milczenia i schowania głowy w piasek – po co wracać do tego, co było?

Każda bez wyjątku scena przejmuje psychologiczną głębią i bogatą symboliką. Doskonale widać w powieści wielkie doświadczenie scenopisarskie autorki. Główna bohaterka coraz szerzej otwiera oczy na to, co działo się w nazistowskich Niemczech i jest tych wydarzeń coraz bardziej świadoma. Trudno było mi z początku zinterpretować wątek Annette (z pozoru zbędny i słabo powiązany z głównymi wydarzeniami), ale po dłuższym zastanowieniu się odczytuję jej wyrazistą postać jako symbol przeżyć związanych ze stresem pourazowym. Hess pokazuje też zmieniający się w Niemczech stosunek do obcych. W czasie, gdy toczy się powieść, pojawiają się w Niemczech włoscy *gastarbeiterzy*.

Hess stawia też istotne pytanie: czy i do jakiego stopnia należy obciążać cały naród za czyny rodaków? Trzeba tu z całą mocą podkreślić, że nigdzie w tej powieści nie znajdziemy żadnego nawet cienia relatywizowania niemieckiej winy i odpowiedzialności. Chociażby tylko w formie przywołania cierpień Niemców „wypędzonych”, która to fałszywie „symetryzująca” narracja była dobrze słyszalna jakiś czas temu. Annette Hess w centralnym punkcie swojej książki stawia Auschwitz i nazywa rzeczy po imieniu – nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Odważnie bierze udział w dyskusji na temat natury niemieckiego nazizmu i zbrodni, w dyskusji toczącej się już w kolejnym pokoleniu Niemców – dzieci i wnuków tych, którzy byli bezpośrednimi świadkami nazizmu i wojny. Warto w tym miejscu przytoczyć słowa Siegfrieda Lenza, pisarza niemieckiego urodzonego w 1926 roku w Ełku: „Przeszłość należy

do nas wszystkich, nie można jej dzielić ani wygłaszać. A kto próbuje rozdzielić rzeczy i dowody, którzyśmy odziedziczyli, kto chce sprawić sobie czysty rodowód, ten wie, że musi użyć przemocy”.

Warto zwrócić uwagę, że książka ta, wydana w oryginale w 2018 roku, trafiła w Niemczech na podatny grunt. Wydania tego tytułu w twardej i miękkiej oprawie prawie pół roku utrzymywały się (każde

osobno) na liście bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”. Oznacza to, że dyskusja na tematy poruszane w powieści przez Annette Hess jeszcze się nie wyczerpała i jest bardzo potrzebna, także na poziomie literatury popularnej, do której zalicza się *W niemieckim domu*.

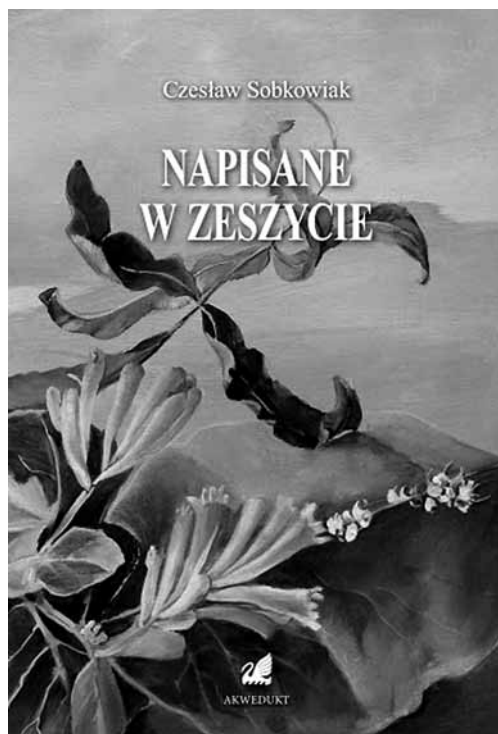
Joanna Kapica-Curzytek

## Poetycki powrót do Itaki

Czesław Sobkowiak, *Napisane w zeszycie*, Wydawnictwo AKWEDUKT, Wrocław 2020, 120 s.

To już czwarty zbiór poetycki Czesława Sobkowiaka, który z przyjemnością przychodzi mi recenzować. Ostatnio, w 2019 roku poeta opublikował bardzo zajmujący zbiór liryków pt. *Powszednie niebo*. Zarazem wydawać by się mogło, że swoją krainę dzieciństwa autor *Powieści w odcinkach* opisał już do imentu. Wszelkimi dostępnymi poetyckiej wyobraźni słowami, formułami, obrazami ukonkretnił jej nadzwyczajną zwyczajność, namalował ten wyjątkowo bliski sercu koloryt, utrwalił przemijające wartości. I oto otrzymujemy kolejną książkę *Napisane w zeszycie* (jakby w szkolnym zeszycie w linie), w której zielonogórski poeta, w kolejnej odsłonie, przedstawia swoją tęsknotę za krajem lat dziecińczych. Za swoją Itaką. Tym razem niezwyklej urody elegijne w tonie liryki zilustrowane zostały fotografiami, które wizualizują poniekąd, ale po części jednak to, co zostało zapisane w strofach, w poetyckich słowach, które nigdy nie trącą nadmiernym patosem ani nie są sentymentalne. Kruszące mury, zaniebane podwórka, drewniane, ostatnie stodoły czyni poeta przedmiotem swojej czułej adoracji. Nostalgia za przeszłością, mentalne powroty do kraju dzieciństwa, do czystości doświadczenia, stały się w tej poezji ważnym, rozpoznawalnym leitmotivem. I dużym uproszczeniem byłoby twierdzić, że Sobkowiak powiela wykorzystane już tematy i nadmiernie eksploatuje ulubione wątki, bo w każdym kolejnym to-

mie odnaleźć można nową odsłonę, domagającą się zapisania obrazowości, która ma wiele cech malarzkiego przedstawienia, np. *Zima*, *Polowanie*. Czuje się w tym bogatym w refleksję i dość dużej objętości



zbiorze autentyczny ton języka poetyckiego, kładąc na to nacisk na zwyczajność semantyczną. Nie pada w tej książce ani jedna fałszywa nuta. A do lektury zachęca piękna ilustracja na okładce (wg projektu Sławomira Pęccka, z wykorzystaniem obrazu *Martwa natura* Kamili Marchelek).

Pełne oroku i ciepła lirycznego są opisy tego, co minione. Zaznaczona została tęsknota za prostym, zwyczajnym życiem, za stabilnym trwaniem, za prawdą trwania. Poeta w niejednym wersie rozpamiętuje swoje odejście od tego świata jako wynik koniecznego, życiowego wyboru i pójścia za tym, co „chybotliwe” i niedające „żadnej podłogi ani chleba”, z którym to wyborem tak bardzo trudno jest się pogodzić, gdy powszechną egzystencję determinuje tak obcy poecie merkantylizm. I tymczasowość. Trwanie w rzeczywistości oddalonej od tego bezpiecznego, ukochanego świata jest z wielu powodów kłopotliwe. Poeta często zdaje się jakby odwoływać do tego samego, czego w *Inwokacji* pragnął Adam Mickiewicz. Opiewany przez Sobkowiaka świat jest utraconym rajem, ojczyzną, do której (mimo topograficznej bliskości) realnego powrotu już nie ma. Dużo w tych wierszach smutku, lecz też dojrzałej, pogodzonej z faktami mądrości, która afirmuje życie w szerokim wymiarze. Mimo wszystko.

Ciąży nad tą poezją też cień rozpacz z powodu odchodzenia w niebyt ważnych ludzi, spraw, które trzeba bezpowrotnie żegnać. Przejmujący jest wiersz *Elegia*, poświęcony bratu Kazimierzowi. Oswajanie tej nasilającej się pustki i ciszy może się dokonać tylko poprzez język. Słowa utrwalają pamięć o odchodzącym w przeszłość świecie, ale koją też żalobę po nim, mają więc moc terapeutyczną. Zarazem w tym zbiorze poeta zali się, że poniekąd jest tu już kimś obcym, jakby przybył z innego świata:

Teraz nikt mnie tu nie pozna  
Już nie wiem kto z czyjego domu  
Jednak w zdaniach chcę to zrozumieć  
Zobaczyć staw zaciągnięty rzesą  
Jak wtedy czyli w każdym słowie  
Mieć ciszę i szelest i przestrzeń  
Żeby w niej odgadywać poezję  
(*Podwórka*)

Dojmująca świadomość przemijania łączy się tu z krytycznym stosunkiem poety do niedających się akceptować zmian cywilizacyjnych, postępującego obojętnienia człowieka na człowieka, tabloidy-zacji wartości. Poezie nie przestaje dokuczać jazgot tombakowych błyskotek, które zawładnęły ludzkimi pragnieniami. Nie po drodze mu z tymi, którzy „chcą wiedzieć od A do Zet jakieś wielkie zdanie”. Na tym tle jeszcze dramatyczniej wyodrębia się rozpacz osamotnienia.

Stąd eskapistyczne gesty ucieczki w to, co sprawdzone, niezawodne, trwające mimo fizycznego kresu. Poeta błogosławi swoje pełne trudów dzieciństwo, jest wdzięczny ziemi, która nieraz kaleczyła jego stopy. Wspomina ojca („skrobał złowione w kanale ryby”), wiernego psa („wylegiwał na piachu”), wierzbę, od której uczył się muzyki, docenia mądrość mrówek, które nie dopytują o sens, podziwia troskliwość karmiącej pisklętą jaskółki („Potem nie spotkałem / Takiej wytrwałości / Tylko twarze w zakłopotaniu / Mnożące się słowa”).

Czesław Sobkowiak maluje w tej książce obrazy, które poezja odmalowywała przez wieki już setki razy. Ale pogłębiona refleksja jego wierszy czyni z tego zbioru rzecz zupełnie świeżą tematycznie i językowo. Następuje tu bowiem odkrywanie wielu znanych prawd przez bardzo podmiotowe ich traktowanie. Wieś, ów mityczny Jaromierz, jest tu sferą dawnego już dzieciństwa, zapamiętanej wtedy rzeczywistości, ale także przestrzeni duchowej. Dlatego o tej krainie poeta nie zapomni i wraca do niej, odwiedza ją, chodzi po swoich ścieżkach, łąkach, przysiadają tu i ówdzie i robi dokumentacyjne zdjęcia. Poeta potrafi operować paradoksem, odnajdywać sensy w chaosie, blask w pozornym mroku. Na przykład mówiąc o jabłkach (mocno obciążonych symboliką rajska), stwierdza: „Które nie były poezją / Ale karmiły nas / Najlepszą poezją”. W innym miejscu konstatuje: „Że nie w nadmiarze / Ale co stracone / To jest czasem / Wyczekiwany dar”. Wspominając piaszczyste drogi swojego życia, mówi o „jaśnieniu ubogich dni” i formułuje porażającą konstatację: „Nie wiem jak to się stało / Że wszystko otrzymałem”. Odnoszę wrażenie, że te wiersze napisane zostały z perspektywy całego życia, które jeszcze trwa

i jeszcze zapewne twórczo się przejawia, lecz naznaczone jest już poczuciem „zamykającego się koła”. Stąd i refleksja o sensie codzienności, pracy i znaczeniu drobnych nawet spraw.

Poeta podkreśla wielokrotnie, że tak niewiele pragnie, zaledwie tego, co niezbędne: „prawdy w każdej cząstce powietrza / Do zapisania nikłych zdarzeń poezji”.

Okazuje się, że takie ucieczki w słowo, w poezję są jak reanimacja gubiącego się we współczesnym świecie ładu. Poezja może być schronem przed rozpaczą przemijania, świadomością karlenia świata, wieszczyć apokalipsę wartości. Zadziwiająca i god-

na szacunku jest jednak pogoda podmiotu lirycznego, który choć doświadczony niejednym zawodem, zaprzyjaźniony z trudami i rozczarowaniami, ocala swój zachwyt, swoją zgodę na los i wieczne poszukiwanie światła. Wskazuje na to wyważony, stoicki ton tej poezji.

Ale mamy tu nie tylko powrót do korzeni biograficznych. Czesław Sobkowiak zareagował w tej książce na pandemię COVID-19: *Boimy się, Na wieży, Śpiewnik, W cieniu*. To jest tom, mam takie przeświadczenie, wart uważnej i niejednokrotnej lektury.

Anna Dominiak

## ***Sekret włoskiego orzecha. O przygodach Ireneusza Waroga w powieściowym debiucie Stefana Górawskiego***

Stefan Górawski, *Sekret włoskiego orzecha*, Wydawnictwo CM, Warszawa 2020, 254 s.

Książkę należy uznać za niezwykle udany, sprawnie skonstruowany i z wyobraźnią poprowadzony tekst. Debiut Stefana Górawskiego to nie tylko wciągająca historia kryminalna, ale także świetna powieść realistyczna, która obok głównego sensacyjnego wątku bezkolizyjnie przeplata wątki romansowe i społeczne. Dodatkowo *Tajemnice włoskiego orzecha* są wspaniałą propozycją dla miłośników i badaczy literatury regionalnej – akcja powieści rozgrywa się na nieodległym pograniczu Wielkopolski i Lubuskiego.

Wchodząc na literacką scenę, głogowski publicysta i znany w środowisku nie tylko lokalnym animator kultury wstrzela się idealnie w czas koniunktury kryminału. Trzeba przyznać, że jego *Sekret włoskiego orzecha* to rzecz, która mogłaby bez wstydu konkurować nie tylko z dobrymi przykładami klasyki gatunku, ale także ze współczesnymi, dobrze sprzedającymi się realizacjami kryminału. Bohater *Sekre-tu...* – świeżo upieczony komisarz rezerwy, znajdujący się jakby na zakręcie swojego życia (problemy osobiste) – postanawia odciąć się od trapiących go zmartwień i w zaciszu agroturystycznej wsi Jamie-



rzyce zresetować ciało i umysł. Jednak i tu dopadają go kłopoty: nie daje o sobie zapomnieć rodzinna przeszłość, a ponadto niespodziewanie zostaje wciągnięty w pewną sensacyjną historię, która budzi w nim żłkę detektywa i pozwala wykazać się dochodzeniowym talentem już poza ograniczającym go instytucjonalnym systemem.

Kreacja głównego bohatera przypomina znane z realizacji literackich i filmowych figury mocnych, kompetentnych i skutecznych detektywów. Ireneusz Waróg wyposażony został w silną, wielowymiarową osobowość, która pozwala czytać jego historię jako prawdopodobną i autentyczną. Z uwagą obserwujemy jego śledcze poczynania, towarzyszymy kolejnym krokom zbliżającym go do detektywistycznego sukcesu. Zresztą wszystko, co się na kartach tej powieści dzieje, jest bardzo sugestywne i sprawia iluzję rzeczywistości – począwszy od geograficznego i społeczno-obyczajowego tła, poprzez bogatą galerię zróżnicowanych postaci, indywidualizację języka bohaterów, do umiejętnie odsłanianych kolejnych warstw lokalnej tajemnicy. Górąski z wyczuciem dozując służące do wyjaśnienia sensacyjnej zagadki informacje. Wśród powieściowych elementów pojawia się nawet interesujący wątek z przeszłości (historia nowotomyskich Żydów), który ciekawie dopowiada wyjaśnienie powieściowej zagadki.

Pisarz panuje nad konstrukcją opowiadanej historii, świetnie konfiguruje wątki i motywy, a ściśle zabiegając rozmaite elementy fabuły, tworzy narrację zwartą, pozbawioną dłużyń, przegadań, nadmiernych wyjaśnień – jednym słowem, ufa inteligencji czytelnika, przez co znakomicie podsyca jego odbiorcze zaangażowanie. Wydarzenia biegną w dynamicznym tempie, a zwroty akcji, mylenie tropów i przeplatanie odległych z pozoru wątków sprawiają, że czytelnik w wielu momentach może czuć się naprawdę wprowadzony w pole (co w przypadku tego gatunku sprawia odbiorcy prawdziwą satysfakcję).

Cała ta historia – i to wielki atut pisarskiego warsztatu – opowiadana jest rzeczowo: męskim, konkretnym i zdyscyplinowanym stylem. Czytelnik nie czuje się kokietowany językowymi fajerwerkami, autor nie stosuje tanich efektów, nie popisuje się błyskotliwością stylu. Narracja nie przytłacza tu akcji (co jest często błędem początkujących twórców, gdy widać, jak starają się zrobić wrażenie na czytelniku). U Górąskiego całą świetną pisarską robotę załatwia dobrze pomyślana i ciekawie opowiedziana historia.

A ponieważ zakończenie powieści sprawia wrażenie otwartego, z nadzieją oczekuję kolejnych zagadek, które górowski pisarz postawi przed swoim zdolnym detektywem.

**Anna Dominiak**

## Smak kaczki z jabłkami serwowanej przez językoznawcę

**Marian Bugajski, *Kaczka z jabłkami*, Pro Libris, Zielona Góra 2020, 148 s.**

Do spotkania autorskiego promującego w trybie online wiersze Mariana Bugajskiego nie dołączyłam i bardzo żałuję. Książkę jednak zdobyłam, przejrzałam, poczytałam i uważam, że *Kaczka z jabłkami* jest łakomym kąskiem, mimo że jej lekturze mogą towarzyszyć nieco mieszane odczucia. Kolorowa okładka, przedstawiająca tytułową kaczkę z jabł-

kami, jest sympatyczna i zachęcająca, podobnie poręczny format (A5), kredowy papier oraz ilustracje Beaty Żyły, które można określić modnym dziś słowem „przyjazne”. Także zdjęcie autora zamieszczone przy wstępnym utworze zatytułowanym *Wena* wskazuje na wybór konwencji, w której piszący nawiązuje z czytelnikiem bliski, bezpośredni kontakt.



Lekturę zaczęłam właśnie od tego wiersza. Została w nim ukazana uosobiona Wena, strasząca autora i *de facto* będąca źródłem wewnętrznego imperatywu twórcy. Ją też czyni autor odpowiedzialną za teksty: „Bo to wszystko Weny winą”. I tu się zatrzymałam, można się bowiem zapytać, dlaczego autor pisze o winie, a nie o zasłudze, jak inni poeci przypisujący swe natchnienie Muzom? Czy prowokuje czytelnika, stwierdzając, że w jego oczach spłodzone teksty to grafomania? A może przyczyną są poruszane tematy, które autor określa: „takie głupie”, „jakieś bzdury”, a wśród nich *Wiersz o dupie*. To ostatnie słowo – zdecydowanie niecenzuralne – piecze niczym zgaga. Zajrzałam do spisu treści. Całość podzielona na kilka grup sugeruje bogactwo smaków: *Czas, Język, Zmory, strachy, upiory, Kot i pies, Limeryki, O sobie, Portrety, Wierszyki rodzinne, W Basieńki ogrodzie, Inne i Z ostatniej chwili*. Istne *silva rerum* – jak podsumowała ten zbiór autorka posłowania Małgorzata Mikołajczak. Wiersz z wulgaryzmem w tytule znalazł się wśród *Portretów* i na tym tle z pewnością stanowi wyjątek, nie-

mniej uwiera i niepokoi, a u osób wrażliwych może wywołać niestrawność. (Przyznam, że jest to również słabość mojego organizmu, z którą się zmagam od czasów liceum).

Tomik został opublikowany w wydawnictwie regionalnym, co wskazuje m.in. na to, że ma walory dla lokalnej społeczności i dlatego warto go czytać właśnie pod tym kątem. Klamrą kompozycyjną ze wstępną *Weną* tworzyłby wiersz *Punkt po punkcie*, kończący się konstatacją związaną z kierunkami reform szkolnictwa wyższego: „Lecz to wszystko sensu nie ma. / Nie ma? I co z tego?”. Ostatecznie tomik zamykają teksty *Z ostatniej chwili*, napisane na początku 2020 roku, *Chłop i wirus* oraz *Koronawirus*. Zakończenie tego ostatniego nie jest optymistyczne, przedstawia ponurą wizję: „Hen gdzieś na Wschodzie wyhodowany / Żeby zagładę przynieść ludzkości / No i przyniesie – nie zna litości”. Czytając te słowa, poczułam gorzki posmak końca i postanowiłam poszukać w tomiku jakiejś słodyczy.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś podczas półoficjalnej kolacji autor z humorem opowiadał o swoim ogrodzie. Przedstawił go jako rezerwat, w którym, co chce, to rośnie, co chce, to spada i leży – dopóki nie wkracza tam żona. Dlatego sięgnęłam do części *W Basieńki ogrodzie* i niczym pies Pawłowa po usłyszeniu dzwonka, poczułam apetyt na utwory tam zawarte. Postanowiłam zatem posmakować tomik, zaczynając od tych tekstów. Spróbowałam pierwszy – *Wilkanowski bez*, który, niczym magdalenka u Prousta, otworzył ciąg skojarzeń. A więc najpierw zapach bzu kojarzy się z *Kwiatami polskimi* i tymi miejscami, gdzie bez pachnie, także z *Wilkanowem*. Po wtóre, ten pefen aromatu wiersz przypominał mi o tym, że jego autor napisał przecież *Lingwistyczne studium zapachów* i jest specjalistą od nazywania tego, co ulotne. Dlatego końcowe „Więc bez też pachnie tak, jak bez” taktuję jako hołd złożony „Panu Tuwimowi”, podobnie jak w kolejnym wierszu „Szpak wydaje dźwięk jak szpak”, bo odpowiednie rzeczy dać słowo językoznawca Marian Bugajski bez wątpienia potrafi!

Obraz Basieńki ogrodu zadziwia swą drobiazgowością, bogactwem określeń fauny i flory. Znajdują się zarówno ogólniejsze nazwania roślin (las, ogród,

ogródek, drzewa, liście, gałęzie, krzaki, kwiaty, kępa traw) i zwierząt (ptak, ptaszek, ptaszęta, drapieżny ptak, robak, owad, mięczak), jak również bardziej szczegółowe (świerk, kalina, czerwona jarzębina, brzoza, bez, jaśmin, maliny, bukszpan, katalpa, macierzanka, mięta, rezeda, róża, lawenda, bratki i konwalie). Skrupulatność ta wzbudza mój podziw, gdy odnosi się do ogólnie nazwanego robactwa i robaków (chrząszcz, skorek, ziemioraka, zgrzytnica, brudnica, pustosz, pratchawce, prządkki, zmorszczniki, zmrozki, wrzeciązki, dżdżownica). Wśród zwierząt spotykamy też przedstawicieli owadów (pszczoła, motyle, biedronka, żuk, mucha) oraz ptaków (orzeł, żurawie, sroka, sówka, gołąb, szpak, wróbel, łabędź, kaczka, kaczkę). Są także ssaki i przedstawiciele innych typów świata zwierząt: koziółki, kot, kotka, ślimak, żaba oraz rybki. I całe to bogactwo w dwudziestu dwu wierszykach! Ostatni tekst przyniósł mi oczekiwany obrazek roli tytułowej Basieńki w walce ze szkodnikami: „Nie martwmy się jednak przedwcześnie / Bo idzie już gospodyni / Zrobi z robactwem porządek”.

Uczeń Antoniego Furdala nie przejął się klasyfikacją odmian stylowych, w której styl artystyczny miałby się cechować zmniejszaniem precyzji i dużą nieokreślonością. Z drugiej strony wszak wiadomo, że twórca jest wolny, może pisać, jak chce – jeśli dokładnie wymienia nazwy roślin i zwierząt – ma do tego prawo. Przez opis szczegółów ujawnia się nam baczny obserwator natury, który niczym prawdziwy biolog rozmawiany w cudzie życia wprowadza nas w świat wilkanowskiej przyrody. Tu jednak znowu coś mi zgrzyta, niczym ziarenka piasku w niewypłukanej sałacie. I znowu mam pewien problem, bo sposób, w jaki przedstawiona jest panująca w świecie przyrody atmosfera („Chuć, poróbstwo i ruja”), wywołuje u mnie... niesmak. I chociaż wiem, że wielu czytelników gustuje we frywolnych tekstach, a wielcy mistrzowie słowa, jak wspomniany „Pan Tuwim”, pisali podobnie, to, obstając przy normatywistycznych kryteriach, muszę – niech autor daruje – wyrazić sprzeciw i opór.

Podobnej pikanterii można by się spodziewać po utworach w grupie limeryków, ale tu nic takiego się nie dzieje. Pierwsze teksty są czytelną aluzją

do Słowackiego, kolejne też niczym u Gałczyńskiego czy Szymborskiej mają sporą dawkę *pure non-sensu*. Dodatkowego smaczku nabierają lokalne nawiązania do Zielonej Góry, Wilkanowa, Radomi czy Przylesia oraz takich osób rozpoznawalnych w środowisku jak: pewien Gruzin, Profesor Jarek czy jedyna Pani Profesor o rzadkim imieniu. A przy tym rymy, np. *Afryki – limeryki* czy w *Sochaczewie – modrzewie* albo *mięta – wnuczeta*, choć nie są gramatyczne, wydają się naturalne. Nasuwa się myśl, że limeryki te miały być przysmakiem serwowanym znajomym, z którymi autor zjadł już beczkę soli. Podobnie przygotowane dla bliskich były zapewne *Wierszyki rodzinne*, w których autor bawi się językiem – frazeologią i aluzjami do różnych tekstów.

Z prawdziwą przyjemnością degustowałam część *Język*, w której autor rozwesela czytelnika na różne sposoby. Na początku *Borsuk w norze mocno chrapie* – utwór, który jest przykładem dyktanda naszpikowanego pułapkami. Wierszyk rozpoczął Bugajski cytatem z pierwszej polskiej ortografii Parkoszowica, zaś pointuje: „Trudzi się człek nadaremnie / No bo zgłębić nie potrafi / Wszystkich zasad ortografii”. Kolejne teksty są o tym, że „W Zawadzie przeszkoda zawadza”, dotyczą *handryczenia się z chandrą, narzekania narzeczonej*, czyli miłe igraszki słowne. *Wiersz całkiem bez sensu* nabiera go, gdy odkryjemy nawiązania do Tuwima i uświadomimy sobie semantykę słów związanych z kolorami: „Takie to drobiazgi polskiej mowy”, jak podsumowuje utwór autor. Są też teksty uświadamiające znaczenie słów, których się unika lub nadużywa – wiersze z zaimkami w roli głównej: *Taki sobie wierszyk o niczym* i *Nikt nigdy*. Szczególnie spodobał mi się wiersz zatytułowany *Słowa, Słowa, Słowa*, który nieprzypadkowo przywołuje klasyczne utwory, gdyż literaci to przede wszystkim mistrzowie słów. W swoim tekście Bugajski podaje ponad 50 epitetów, z jakimi łączy się rzeczownik *słowo* i zwraca uwagę, że skutki używania niektórych słów mogą ranić, dlatego zachęca: „Liczmy się ze słowami”.

W czytanim tomiku jest więcej utworów pobudzających do refleksji. Należą do nich teksty z cyklu *Czas*, o którym autor pisze, iż „się wymknął i ucieka / zabić się nie pozwoli”. Tymi krótkimi wierszyka-

mi delektować można się długo, odnajdując w nich smak i kartezyjańskiej filozofii: „I już nie milczę, już jestem”, i fizyki Einstein: „Czas się zmarszczył, / przestrzeń zakrzywia”, i potocznego „ani się nie obejrzy człowiek”. O części *Zmory, strachy, upiory* nie wspomnę, niewątpliwie poznają się na niej prawdziwi miłośnicy fantasy.

Smak *Kaczki z jabłkami* ocenić może każdy sam w myśl zasady *de gustibus non disputandum*. Bez wątpienia czytelnik, który spróbuje wgrzyźć się w zawarte tu słowa, napotka bogactwo najróżniejszych smaków i smaczków.

Joanna Gorzelana

## Modlitwy, elegie i psalmy Agnieszki Ginko

Agnieszka Ginko, *Modlitwa spod znaku Ryb*, Pro Libris, Zielona Góra 2020, 54 s.

Nie ma cenniejszej sztuki od tej wyrosłej z bólu, gdyż tylko ona zaświadcza o prawdziwości uczuć, emocjonalnej stronie przeżyć, autentycznym ogromie nieszczęścia. W sytuacji osobistej tragedii pozwala inaczej spojrzeć na życie doczesne, zrozumieć siebie i konstrukcję destruktywnego świata, ukoić cierpienie; jest swoistą psychoterapią, która pozwala na wyciszenie i duchową regenerację, stanowi nadzieję na pogodzenie się z fatalistycznym losem.

W taki kanon sztuki sepukralnej wpisuje się najnowszy zbiór wierszy Agnieszki Ginko *Modlitwa spod znaku Ryb*, w którym autorka staje w obliczu, znanego ze średniowiecza, retorycznego zapytania: *Ubi sunt qui ante nos fuerunt?* Zielonogórska poetka pisała wiersze krótko po stracie matki, ale jej śmierć sprokurowała zarazem rozważania o wszystkich jej bliskich, którzy odeszli, tworząc poetycką więź duchową z protoplastami, niemal z całym drzewem genealogicznym. Autorka zbioru zawarła w nim 31 utworów, które podzieliła na trzy zasadnicze części: *Modlitwy rodzinne*, *Modlitwy i elegie* oraz *Psalmy*, a całość funeralnej kompozycji otwiera tytułowy tekst *Modlitwa spod znaku Ryb*, w którym zawiera zasadnicze votum, pokorną prośbę: „Daj mi słowa i siły / żeby podchodzić w tańcu do śmierci”.

Poetka zaczyna „podchody ze śmiercią”, rozpoczyna prywatny *danse macabre*, chce obcować z agonią, „podstawiać nogę nicości”, dzięki czemu sama się spełnia i stwarza siebie na nowo w świecie

realnym, umysłowym, duchowym, onirycznym. To daje jej siłę twórczą i eteryczną, pokrzepia mentalnie i pobudza mistycznie. Odejście ukochanej osoby stanowi osobisty *kairos*, zwrotny moment w jej



życiu, jest wstrząsem i przełomem w świadomości zrujnowanej przez osamotnienie. Ale podmiot liryczny jej wierszy nie poddaje się, jest silny psychicznie, walczy, podnosi się z kolan, aby pokoleniowo trwać dla potomstwa, metodycznie i efektywnie rekonstruuje swój świat po upadku.

Agnieszka Ginko misternie i konsekwentnie buduje swój świat emocjonalny, kreśli pogrzebową nastrojowość, operuje słownym tworzywem, aby właściwie oddać zjawiska, uczucia i stan ducha. Poetka nie wadzi się jednak z Demiurgiem, nie buntuje się przeciwko nieuniknionemu, nie walczy z religijnymi demonami, nikogo nie oskarża. A wręcz przeciwnie – jest pełna pokory wobec przemijania, wobec biologicznej zagłady czasu, które są nieodzownymi atrybutami każdej ziemskiej egzystencji. Stara się patrzeć na świat opuszczony przez jej bliskich jak na nową formę psychicznego kontaktu z nimi, ukazując ich postacie z jednej strony przez pryzmat dziecka, ale nie w formie naiwnej, lecz czystej, a z drugiej, przefiltrowując przez siebie zatrzymane w pamięci stany, zdarzenia, słowa, senne wizje... W utworze *Telefon* rozpoczynającym cykl *Modlitw porannych* autorka zarysowuje dialogowy obraz:

– Czy masz numer do nieba?  
– pyta mnie córeczka,  
która chce dzwonić do babci.  
– To za daleko – tłumaczę.  
Ja też chcę dzwonić, mam tyle słów,  
codziennie więcej i więcej.

Obok wierszy poświęconej zmarłej matce Ginko w wielu tekstach przywołuje również osoby jej dziadków i babć, pradiadków, których z powodzeniem portretuje w kontekście patriotyczno-narodowym, w walce o polskość, wolność, niepodległość, w okresach drugiej wojny światowej, utworzenia PRL i dalszej perspektywie czasowej, przywołując powstania listopadowe i styczniowe czy moment narodzin II Rzeczypospolitej. Tak dzieje się w utworze *Dla Eugeniusza*, poświęconym pradiadkowi, gdzie mówi lapidarnie, acz dobitnie: „A Polska to po prostu Eugeniusz”. Swoich przodków Agnieszka Ginko przedstawia w takich elegijnych i panegirycznych tekstach

jak *Litania do Hildegardy*, *U dziadka*, *Z kruszonką* czy *Z okruców*, często właśnie przedstawiając ich już we wspomnianym ujęciu – dziecięcym widzeniu, gdzie dziadka zabawnie zestawia z maszynką do rozłupywania orzechów, a babcię z ulubionymi zabawkami:

Dziadek od orzechów, łaskotek i innych  
smakołyków  
W poczekalni do nieba  
(*U dziadka*)

Potem zostaje aniołem stróżem  
misiów i lalek.  
Babcia Anielka zaprasza na bal.  
(*Z okruców*)

Najbardziej jednak przejmujące pozostają utwory poświęcone matce, z którą autorka prowadzi duchową dysputę, przywołuje wspomnienia z dzieciństwa, tworzy niemal fotograficzny zapis zapamiętanych dziecięcych chwil uniesień i radości. Taki sugestywny, a zarazem dramatyczny opis serwuje poetka poprzez przywołane rekwizyty w niezwykle dojmującym emocjonalnie wierszu *Pierścionki*, w którym przedstawia wewnętrzny krajobraz po odejściu najbliższej sercu osoby:

Twoje buty są dla mnie za duże  
rozejdą się po świetle [...]  
A złoty, połyskujący, który miałaś na palcu,  
kiedy zapadałaś w otchłań snu,  
dali nam w kopercie z Twoim imieniem  
i nazwiskiem,  
żeby się nie pogubił po Twoim odejściu jak my [...]  
Lubiłaś mi kupować pierścionki, mamo:  
księżycowy, niebieski i ten udający kwiat.  
I teraz jesteś cała w pierścionkach  
na moich rękach.

Równie wzruszające są utwory poświęcone pamięci matki, jak *Poszukiwania* czy *W niebie*, gdzie poetka prowadzi dyskurs z jej duchem, poszukuje śladów jej bytności w świecie fizycznym i w okolicach pamięci:

Im bardziej tu zaglądam,  
tym bardziej Cię nie ma.

(*Poszukiwania*)

Odpoczywasz od fikołków serce i koziołków bólu,  
który pomieszkiwał w Twoim ciele. [...]

W niebie, mamu, brakuje Ci na pewno znajomych,  
których przygarniałś jak koty.

(*W niebie*)

Drugi cykl *Modlitwy i elegie* to konglomerat utworów tematycznie obejmujących wiele współczesnych zagadnień naszego życia, relacji ze świata, tego dalekiego, znanego z prasy i telewizji, pełnego nieszczęść, przemocy, wojennych zbrodni, exodusów uchodźców uciekających z małymi dziećmi przed okrucieństwem i zagładą. Autorka poświęca tym wydarzeniom takie utwory jak: *Modlitwa wieczorna*, *Elegia dla Jemenu*, *Syryjska elegia* czy *Elegia dla uchodźcy*. W jednej z elegii mówi: „Modłę się za Ciebie, Jemenie / kiedy palisz się żywcem”, z kolei w *Modlitwie wieczornej* podmiot wypowiada prośbę-apel: „Uśpić zacięte morze wyrzucające ludzi / jak wyjedzone muszle, otwarte skorupy. / Wyłowić dzieci z zabitych snów”.

Równocześnie w wierszu *Exodus* poetka dochodzi do smutnej konkluzji, mówiąc otwarcie, że świat milczy, ludzie obojętnieją na krzywdę i zło, gdyż te ich nie dotyczą, są daleko, istnieją tylko na ekranie telewizora: „Cisza rozciąga się od płotu sąsiada / do płotu sąsiada”.

W cyklu *Modlitwy i elegie* autorka przybliża także własne, głęboko ontologiczne przemyślenia egzystencjalne i duchowo-religijne rozterki, w obliczu śmierci zastanawia się nad sensem wiary, życia doczesnego, wędrówką człowieka poszukującego odpowiedzi na fundamentalne pytania o cel ziemskiego bytowania: „I kiedy wypowiadam słowo »wiera« / to czy się go wyrzekam. Jak rzeka kamienia, / czy zaklinam je: bądź?”.

Z kolei w utworze *Elegia z Grünbergu* poetka kreśli sugestywny i przerażający obrazek prześladowania Żydów w czasie drugiej wojny światowej, przenosi czytelnika do przedwojennej Zielonej Góry, zapewne po historycznej „nocy kryształowej”, kiedy w mieście naziści spalili synagogę i rozpoczęli pogromy:

Zegar żegna się z brzdękiem.

Raus!

Sznurówki nie zdążą się zawiązać

Małą walizkę boli napęczniony brzuch.

Do wyjścia pcha się za dużo rzeczy.

Cukierek wypada z buzi Izaaka.

W ostatnim cyklu zbioru poetyckiego Agnieszki Ginko pt. *Psalm* znajduje się sześć utworów psalmicznych nad wyraz osobistych, szczerych, refleksyjnych. W nich poetka zastanawia się nad naczelnymi wartościami kształtującymi ludzki byt, stawiając liryczne pytania o miłość, dobro, prawdę, szacunek, wdzięczność... Moralizuje i przestrzega zarazem, mówiąc: „[...] czynimy nieprawość / zamykając się na miłość”. I dopowiada: „Do prawdy prowadź / prostej jak dłoń dziecka”. Poetka pyta o kondycję współczesnego człowieka, o jego postawę życiową i moralne wybory, o jego empatyczny stosunek do tragedii, nastawienie do bliźnich, podejście w wymiarze duchowym do egzystencjalnego trudu w chwilach ekstremalnych, traumatycznie najcięższych, w obliczu bólu, choroby, zwątpienia, przemijania, umierania... Padają sakramentalne słowa: „Dni człowieka są jak trawa, / choruję, licząc jej żdźbła. [...] Chorując, uciekam od śmierci [...] Chorując, żyję”. W *Psalmie IV* podmiot formuluje też własne poetyckie credo, które z nadzieją pozwala toczyć zapasy z życiem i bronić się psychicznie przed jego znojem, aby stać się silniejszym w obliczu przeciwności losu:

Szczęśliwy, kto w upadku ma upodobanie  
i w stawianiu z kolan, wtulony w słowo. [...]

Wiatr go nie zrani, deszczu się nie zleknie,  
wtulony w słowo.

Książka poetycka *Modlitwa spod znaku Ryb* wpisuje się w nurt eschatologicznych deliberacji i nawiązuje do chrześcijańskiej symboliki oczyszczenia, owego cudotwórczego katharsis, które ma być antidotum na osobiste katastrofy. W *Elegii dla uchodźcy* wprost pojawia się nawiązanie do cierpień Mesjasza:

Na krawędzi morza  
codziennie umiera Jezus

Pod przewróconą łodzią.  
Muszle zatykają mu usta.

Z kolei w utworze *Szarość zachwytu* poetka odwołuje się do ewangelicznych nauk Chrystusa o przemijalności świata materialnego, świętej tajemnicy życia i starotestamentowej wizji kreacji świata przez Stwórcę:

Rozmawiają z tobą kamienie, córeczko,  
ukazując utkane kształty  
w świecie piasku, gliny i ziemi. [...]   
Zabierz je w posiadanie,  
bo nic tu do nas nie należy  
oprócz kamieni, patyka, przydrożnego maku.

Całość zaś kończy błogosławieństwem skierowanym do Stworzyciela, połączonym z życzeniową prośbą o słowa i życiowe siły, a nawiązującym te-

matycznie do inauguracyjnego, tytułowego wiersza, ustanawiając tym samym pewną klamrę wspólności i spójności, spinającą cały zbiór w przemyślaną kompozycję epitafigijnych zapisków, komemoracyjnych portretów i spirytualnych rozmyślań:

Błogosławiony, który jesteś i będziesz,  
kiedy stoję w słońcu i kiedy w nim zniknę.  
Daj mi słowa i siły [...]   
Błogosławiony, który jesteś i będziesz,  
kiedy stoję w śniegu i kiedy w nim zniknę.

Warto zatem sięgnąć po najnowszy zbiór liryków Agnieszki Ginko, nie tylko z uwagi na rzetelny warsztat, doskonałe operowanie językiem i konfigurację poetyckich pejzaży, ale zwłaszcza dlatego, że oferuje niezapomnianą literacką ucztę i subtelną filozoficzno-mistyczną podróż w głąb siebie.

**Robert Rudiak**

## Różnorodność tematyczna w *Antologii zrodzonych myśli* Stanisława Bryka

Stanisław Bryk, *Antologia zrodzonych myśli*, sumptem autora, Zielona Góra 2019, 164 s.

Stanisław Bryk mieszka i tworzy w Zielonej Górze. Urodził się w Nieklaniu (województwo świętokrzyskie, wcześniej kieleckie). W czasie drugiej wojny światowej został deportowany wraz z rodzicami do III Rzeszy, na roboty przymusowe. Po zakończeniu działań wojennych kształcił się we Wrocławiu oraz Poznaniu. Jest autorem wspomnień – *Bez zacierania prawdy* oraz dwóch wydawnictw książkowych, dokumentujących pobyt na deportacji. Po dłuższej przerwie (pierwsze próby tworzenia poezji miały miejsce w latach 1948-50), w 2017 roku powrócił do pisania, wydając własnym sumptem kilka tomików poetyckich. Najnowsze z nich to: *Antologia zrodzonych myśli* (ukazała się w 2019 roku) i *Antologia utworów poetyckich* (wydana w 2020 roku).

O tej wcześniejszej chęć napisać słów parę. *Antologię zrodzonych myśli* Stanisław Bryk dedykuje zonie Annie. Sam autor we *Wprowadzeniu* do książki pisze, że: „zrodziła się ona na skutek samotności, bólu, smutku i tęsknoty po utracie osób najbliższych”. Te i inne



przeżycia autora zaowocowały opisywanym zbiorem wierszy. Poeta podkreśla, że „samotność inspiruje do tworzenia najcenniejszych poetyckich strof. Bowiem najpiękniejsze myśli i ciepłe słowa często łączą nas w smutku i bólu”. Autor na końcu *Wprowadzenia* przedstawia pragnienie chociaż relaksu i osobistego zadowolenia z poznania jego lektury. Tom otwiera ją wiersze: *Moje miasto* i *W Zielonej Górze*. Stanisław Bryk nie boi się rymów, pisząc w jednym z nich:

Dziś moja Zielona Góra  
Kameralna, urokliwa  
Rozkwita tu też kultura  
Młoda, radosna, prawdziwa

I z poczuciem humoru kończy:

Moje miasto zasługuje  
Na najwyższe dzisiaj noty  
Ja to miasto dziś miłuję  
Zrobiono tu moc roboty.

Ale nie tylko lokalnym patriotyzmem nacechowany jest tomik. Stanisław Bryk wraca do wspomnień w takich wierszach jak: *W Toruniu*, *Moja stolica* czy *W Hiszpanii*. W utworze *Moja stolica* pisze:

moje miasto, stolica  
Wojną mocno zburzona  
Dziś szeroko rozkwita  
Od nowa utworzona...

W rymowanych wierszach uwiecznia też autor członków rodziny, np. syna czy mamę (*Do syna*, *Na Dzień Matki*). Oprócz tego poeta wykazuje wyjątkową wrażliwość na dziecięce postrzeganie świata, co uwidacznia się w kolejnych utworach, takich jak: *Na Dzień dziecka* i *Dziecko świata*, także w przywoła-

niu Kajtusia (*Kajtuś w przedszkolu*, *Kajtuś w szkole*), który jest wnukiem zaprzyjaźnionej z autorem Jolanty Świerzowskiej.

Kolejną szczególną inspiracją dla poety jest przyroda. Świadczą o tym fakcie już same tytuły większości wierszy ujętych w tomie (*Jaskółka*, *Zazdrość u drzew*, *Nad morzem*, *Skrzydłokwiat w domu*, *Anturium*, *Drzewa*, *Piękny storczyk*, *Ketmia syryjska* itd.). W bardziej refleksyjnym utworze pt. *Czas niesie zmiany* autor sugeruje:

Świat pokrywa wiele gwiazd  
Ma horyzont szeroki  
Już długi istnieje czas,  
Już długi, długi wieki.

We wspomnianym wcześniej wierszu *W Hiszpanii* zapisuje pełne uroku wspomnienia z pobytu tamże. Pomimo zachwyty nad obcą przyrodą, poeta wciąż pamięta o ojczystych korzeniach, podkreślając to w wersach *Moja ojczyzna* czy odwołując się do mniejszej ojczyzny w wierszu *W Palmiarni*. Nieobcy jest autorowi temat przyjaźni oraz miłości (w wierszach: *By serce kochało*, *Jesteś*, *Uśmiech we łzach*). Zbiór Stanisława Bryka jest bardzo osobisty. Wątek wojenny, np. w wierszu *Wspomnienia wojny*, przeplata się z rozważaniami o teraźniejszości (*Czas niesie zmiany*, *A życie istnieje*, *Boże Narodzenie*).

Podsumowując, można stwierdzić, że pomimo przeżyć związanych z deportacją i utratą bliskich osób autor nie stracił pogody ducha. W sporej liczbie, bo wynoszącej około 190 wierszy w tomie *Antologia zrodzonych myśli* udowadnia ten fakt niejednokrotnie, nawet w sposób niepozabawiony poczucia humoru.

Polecam lekturę na jesienne i pochmurne dni i nie tylko.

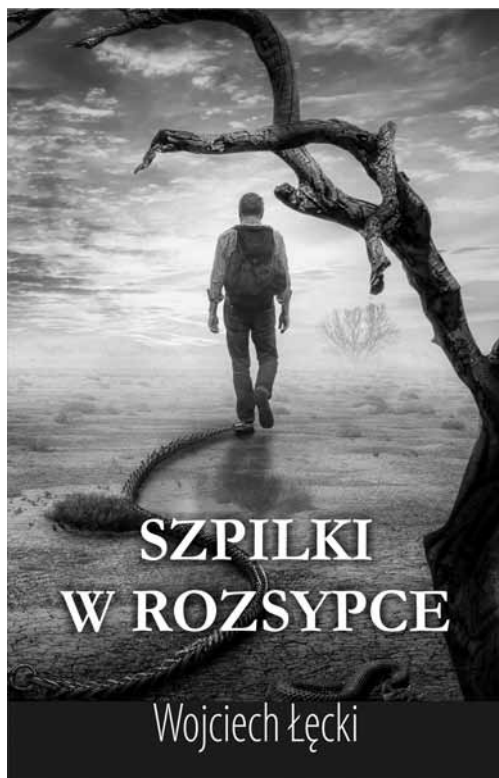
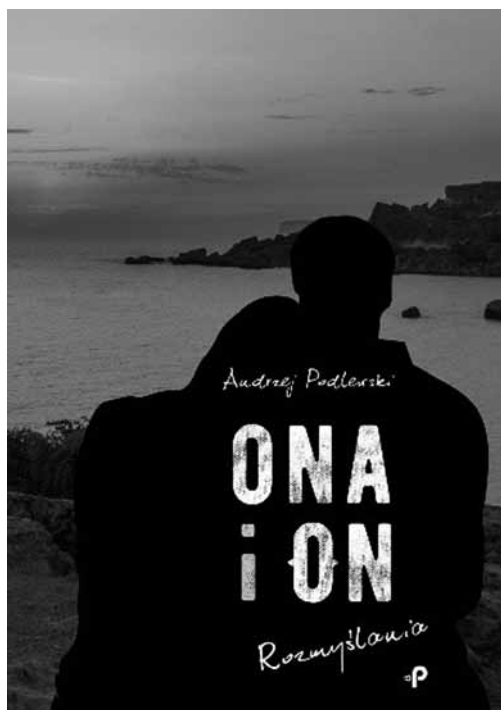
**Anna Wiwiana Szewczuk**

## Dwie książki

Andrzej Podlewski, *Ona i on. Rozmyślania*, Poligraf, Brzezia Łąka 2019, 64 s.

Wojciech Łęcki, *Szpilki w rozsypce*, Psychoskok, Konin 2019, 122 s.

Dwie książki, jedna w sztywnej, druga w miękkiej oprawie. Na czwartych stronach okładek zdjęcia twórców w formacie legitymacyjnym. W pierwszej umieszczone pod fragmentem z tekstu *Od autora*, w drugiej wcięte w biogram twórcy. W niej wprowadzenie nosi tytuł *Zamiast wstępu*. Tytuł książki Andrzeja Podlewskiego *Ona i on. Rozmyślania* może sugerować, że jest to poradnik dla zakochanych czy młodych, którzy szukają miłości. Ten trop wzmocniony jest fotografią na pierwszej stronie obwoluty. Widać na niej przytuloną do siebie parę młodych ludzi, patrzących w stronę zachodzącego bądź wschodzącego słońca. Pierwsza strona okładki *Szpilek w rozsypce* Wojciecha Łęckiego koresponduje z zawartością publikacji poprzez niepokojący obraz *Short leash Time* (Na smyczy czasu), którego twórcą jest Dmitriy Sladkow. Widzimy na nim mężczyznę



z plecakiem, idącego przed siebie w głąb pustynnego krajobrazu, jakby zapomniał, że jest przywiązany do zegar(k)a kieszonkowego. Kruka siedzącego na wieczku tego zegara nie zobaczymy, bo przysłania go wspomniany biogram<sup>1</sup>.

Te różnice kryją w sobie wspólną formę literacką – aforyzm. Obaj autorzy wymieniają tę formę, prezentując swoją twórczość. Każdy z nich przedstawia inaczej swoją aforystykę. Podlewski grupuje myśli w rozdziały, wszystkie poprzedza znakiem graficznym. Tytuły poszczególnych działów to w większości opozycje, np. *O odwadze i tchórzostwie*. Łęc-

<sup>1</sup> Opis obrazu na podstawie: <https://www.mostphotos.com/en-us/21465656/short-leash-time> [dostęp: 15.05.2020].

ki krytycznie odnosi się do „grupowania myśli wg ich rodzaju, tematyki itp.” (s. 4). Za to wszystkie je ponumerował. Wybrał ich 1273<sup>2</sup>. Część z nich pochodzi z poprzedniego tomu *Bezludny zgietk* (1992).

Jako pierwszą przedstawię książkę *Ona i on. Rozmyślania*. Podtytuł dobrze oddaje jej zawartość. Więcej w niej myśli, które są efektem prze-myśleń pisarza, niż aforyzmów. Na potwierdzenie powiem: „Autorze, broń się sam” i przepiszę kilka pierwszych intuicji z jednej z początkowych stron: „Pragniemy wolności jak księżyc pełni”; „Dać siebie do używania innym jako przedmiot to najwyższy wyraz pogardy do siebie”; „Będąc bytem, zmierzzał po cichu do niebytu, nic o tym nie wiedząc”; „Ktoś, kto wie, kim jest, nic nie musi nikomu udowodniać”; „Tam, gdzie są co najmniej dwie istoty ludzkie, już nie ma wolności” (s. 10). Sporo w nich prawdy, ale z wyjątkiem pierwszej, gdzie ładnym kluczem jest słowo „pełnia”, pozostałe to raczej oczywistości, z którymi można się zgodzić bądź nie. W myśl ostatniego poglądu, wolności nie było już w raju, bo Adam i Ewa to dwie „istoty ludzkie”. I tu z Podlewskim zgadzam się: Nie ma wolności od drugiego człowieka. Żeby znaleźć takie perełki jak ta: „Od nadmiaru głowa nie boli, ale się psuje” (s. 16), trzeba przeczytać całą książkę. Wertując tylko kartki, większości z nich można nie zauważyć. Do takich należy też aforyzm: „Kłótnia uzdrawia małżeństwo, ale tylko chore” (s. 31). Sam, gdybym wpadł na taki pomysł, zamieniłbym w nim ostatnie słowo na „zdrowe”. Jeśli chciałbym się pod tą nową myślą podpisać, byłby to plagiat czy parafraza? A może należałoby mówić o inspiracji? Interesujący byłby wynik, gdyby przeprowadzić głosowanie wśród małżonków z odpowiednim stażem, za którą wersją się opowiadają. Mam odczucie, że kłótnie chore małżeństwa jeszcze bardziej osłabiają, a zdrowe przez nie są wzmacniane.

Być może fotografia z okładki, którą opisałem na początku tego tekstu, jest ilustracją do tej refleksji: „Życie jako incydent fizyczny z metafizyczną puentą” (s. 55). Przecież to jest streszczenie publikacji popularnonaukowych, np. Michała Hellera i Łuka-

sza Lamży, w jednym zdaniu. I w tym miejscu z czystym sumieniem mogę przedstawić rozdział *O wierze*. Dla mnie jako całość najlepszy. Bez przesadnego nabożeństwa, z krytycyzmem, ale chyba i z pewnym ciepłem. Przeczytajmy kilka wybranych z nich: „Nie bądź megalomanem. Nie ustawiaj Boga na jakiegokolwiek pozycji. Sam wie, gdzie stać” (s. 33); „Niekiedy myślą, że Pan Bóg mieszka w kropidle” (s. 34); „Religie są jak różnokolorowe okulary, przez które patrzy się na tego samego Boga” (s. 35). Prawdziwa wiara krytyki się nie boi. Gdybym chciał domyślić się, z jakiej denominacji chrześcijańskiej jest jej autor, nie udałoby mi się tego wydedukować. I tak jest dobrze.

Słowo „Bóg” nadaje się na kładkę, po której przejdziemy do *Szpilek w rozsypce*. W nich, jeśli nie znajduje się ono na początku zdania, zawsze pisane jest małą literą. Potwierdzenie obydwu zasad znajdziemy w jednym aforyzmie: „Bóg jeden wie, gdzie jest bóg” (1067). Krytycyzm wielu myśli mających inspirację religijną jest często zasadny. Od sympatycznej: „*Sięgamy głębi wiary. Durszlakiem?*” (147) po „*Bóg jest po mojej stronie płotu – uważa niejeden zapiekły katolik*” (524). Łęcki podobny w tym jest do Stanisława Jerzego Leca. W jego *Myślach nieuczesanych* niemal na każdej stronie znajdujemy inspirację religijną. Obok Leca: „A może to Bóg upatrzył sobie mnie na ateistę” można umieścić Łęckiego: „Ateista też dźwiga swój krzyż” (530).

Większość aforyzmów Łęcki wybrał z powstałych w latach 1992-2019. Twierdzi, że zostały one poddane „selekcji choćby ze względu na nieubłagany upływ czasu” (s. 4). Szkoda, że nie wziął pod uwagę, iż czas po opublikowaniu jego książki będzie dalej upływał i wkrótce niewielu będzie w stanie zrozumieć, „co autor miał na myśli”, gdy przeczyta: „Pewna lekarka nie odróżnia dinozaura od mamuta! Widać po wierchu przekopała nie tylko miejsce katastrofy” (1222). Ujawnił się w tym zapisie komentator epoki, w której przyszło mu żyć. Jako publicysta mógłby w felietonie napisać: „Przynajmniej dwaj legendarni przywódcy *Solidarności* okazali się cynicznymi współpracownikami bezpieki, nieustraszony prałat – bezwstydnym pedofilem, sprytny noblista – zakłamanym polonofobem... Do tego twórcy stanu wojennego i służby specjalne. Pod takim

<sup>2</sup> Przy cytowaniach będę odwoływał się do numeracji.

protektorem powstała III Rzeczpospolita? Dwie pierwsze skończyły marnie. Może tylko z marności rosną rzeczy wielkie?" (1219). Ma prawo do takiego sądu, czy się z nim zgadzamy, czy nie, ale umieszczanie go w książce z aforyzmami obniża jej ocenę. Przeglądając pobieżnie *Szpilki w rozsypce*, można by się do nich zniechęcić. Pisanie w ten sposób nie łagodzi obyczajów. Toż to nie szpilki, tylko szpikulce pisane z szewską pasją.

Na szczęście można tomik otworzyć na innej stronie, by przeczytać: „Po Barabaszu każdy łotr liczy na bezkarność” (33); „Przed budowniczymi autostrad las ucieka w popłochu” (34); „Pusta stacja na odludziu budzi strach, że już żaden pociąg nie nadjedzie” (35); „Ach, jakież piękny ten przeciwległy brzeg!” (41). Jeszcze kilka myśli na pokuszenie z innych stron: „Drzewa gubią liście, by wiatrowi robić uciechę” (896); „Asfalt wyparł trawnik z niejednego dzieciństwa” (731); „Człowiek nie jest doskonały. Brak mu choćby wyłącznika” (1127). No właśnie,

trudno uwierzyć w to, że autorem refleksji z poprzedniego akapitu i z tego jest ta sama osoba. Łęcki za swojego „guru w dziedzinie aforystyki” (s. 4) uznaje Ramona Gómeza de la Serna, znanego ze swoich *greguerias*. I trzeba przyznać, że te wyjątkowo poetyckie formy aforyzmów należą w tej książce do najbardziej udanych. Kiedy czyta się pełne poezji myśli: „Tęcza jest wstążką we włosach krajobrazu” (84) czy „Saksofon: trąba, co się kiedyś wybrała na saksy” (776), można żałować, że Łęcki odłożył na bok krytyka szkieleto i oko. Książka byłaby sporo cieńsza, ale zyskałaby dużo na jakości. Czytający podczas lektury *Szpilek* sam musi zastosować biblijne oddzielenie ziaren od plew.

Nie odważę się napisać o obydwu książkach, iż należy je przeczytać, ale spotkanie z nimi nie musi być czasem straconym. Wybór pozostawiam czytelnikom.

**Miroslaw R. Kaniecki**



# KSIAŻKI NADESŁANE



*Atlas rozmieszczenia motyli dziennych parków krajobrazowych województwa lubuskiego*, WFOŚiGW w Zielonej Górze, Gorzów Wielkopolski-Zielona Góra, 256 s.

Barbara Borkowy, *Siostry Daisy von Pless i Shelagh Westminster*, Fundacja Księżnej Daisy von Pless, Wałbrzych 2019, 460 s.

*Dotyk słowa. Antologia twórczości członków Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów na XXV-lecie Stowarzyszenia*, Organon, Zielona Góra 2020, 164 s.

Andrzej Flügel, *Schowani do wora. Wspomnienia byłego wychowawcy więziennego*, Novae Res, Gdynia 2020, 256 s.

*Gmina Międzyrzecz. Zajrzyj do nas*, Urząd Miejski w Międzyrzeczu, Międzyrzecz 2019, 88 s.

Agnieszka Janiszewska, Joanna Jax i in., *Taniec pszczół i inne opowiadania o czasach wojny*, Książnica, Poznań 2020, 368 s.

Anna Konstanty, *Cztery do kwadratu*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2019, 146 s.

Zbigniew Kozłowski, *Legends krośnieńskie*, Centrum Artystyczno-Kulturalne „Zamek”, Krosno Odrzańskie 2019, 68 s.

Eugeniusz Kurzawa, *Biała dama z pękiem kluczy. 111 podań i legend Regionu Kozła*, Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła, brak miejsca wydania 2020, 187 s.

Marta Maciejewska, *Sekret bodyguarda*, Szara Godzina, Katowice 2020, 356 s.

Anna Paszkiewicz, Joanna Bartosik, *Trzy życzenia*, Widnokrąg, Piaseczno 2020, 44 s.

*Plakat winobraniowy z lat 1965-2020. 9 IX-31 X 2020*, MZL, Zielona Góra 2020, 12 s.

Jolanta Pytel, *Starość przez chwilę młoda*, Organon, Zielona Góra 2020, 116 s.

Aldona Reich, *Bebok*, „Vectra”, Czerwionka-Leszczyny 2020, 262 s.

Aldona Reich, *Życie 2.0*, „Vectra”, Czerwionka-Leszczyny 2020, 310 s.

*Rozbudowa i modernizacja Muzeum Ziemi Lubuskiej*, MZL, Zielona Góra 2020, 80 s.

Wojciech Strzyżewski, Jerzy Przybecki, *Sztandary kół łowieckich okręgu zielonogórskiego. Geneza, symbolika, ceremoniał*, Oficyna Wydawnicza UZ, Zielona Góra 2020, 166 s.

Andrzej Waleński, *Legends gorzowskie*, Poligraf, Brzezia Łąka 2020, 112 s.

*„Źródło” Małopolska Nagroda Poetycka 2020. Wydawnictwo pokonkursowe*, Centrum Sztuki Mościce, Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego, Tarnów 2020, 128 s.



## AUTORZY NUMERU

### **Michał Banaszak**

Urodził się w 1988 roku w Zielonej Górze, gdzie mieszka i pracuje. Absolwent filologii angielskiej i prawa na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2016 roku debiutował zbiorem wierszy *Piosenka o rozpadzie* jako laureat krakowskiego Konkursu Poetyckiego im. A. Świrszczyńskiej – „Książkowy Debiut Poetycki”; kolejne wiersze opublikowane zostały w „Toposie” (Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Struna Orficka”). Obecnie doktorant na Uniwersytecie Zielonogórskim. W 2019 roku otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki za tomik *Miejsca*.

### **Jarosław Barańczak**

Urodził się w 1951 roku. Doktor nauk technicznych i filolog, były nauczyciel akademicki, parlamentarzysta, urzędnik państwowy (m.in. wojewoda zielonogórski w latach 1990-1993), dyplomata. Podróżnik i miłośnik muzyki. Pierwsze wiersze publikował w czasopiśmie „Nadodrze”. Obecnie mieszka we Wrocławiu.

### **Urszula Benka**

Urodziła się w 1953 roku we Wrocławiu. Pisarka, poetka, recenzentka, redaktorka, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Stypendystka rządu francuskiego, Europejskiej Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu, dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Debiutowała wierszami w czasopiśmie „Sigma”, następnie wiersze, opowiadania, recenzje i artykuły drukowała m.in. na łamach „Literatury”, „Nowego Wyrazu”, „Odry”, „Konfrontacji” i „Kontaktów”. Laureatka wielu konkursów i turniejów poetyckich. Współpracowała z polskimi czasopismami emigracyjnymi (np. „Zeszyty Literackie”). Będąc w USA, podjęła współpracę z nowojorskim „Kurierem” i „Nowym Dziennikiem”. Została członkiem amerykańskiego PEN Clubu. W 1979 wstąpiła do ZLP. W 1991-1992 publikowała w „Akcencie” cykl felietonów pt. *Listy z Nowego Jorku*. W 1991 powróciła do Polski, zamieszkała początkowo w Katowicach, gdzie m.in. uczestniczyła w działaniach artystycznych autorskiego teatru męża, Andrzeja Urbanowicza, Oneiron 2. W 1991 została członkiem SPP. Od 1994 roku mieszka we Wrocławiu. Twórczość Benki była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, rosyjski.

## **Maciej Bieniasz**

Absolwent malarstwa na krakowskiej ASP w pracowni Emila Krchy (dyplom 1963). Prof. Bieniasz przez 35 lat wykładał w katowickiej filii ASP w Krakowie (obecnie ASP w Katowicach). Od 1996 pracował w Instytucie Sztuki cieszyńskiej filii Uniwersytetu Śląskiego. W 1966 wraz ze Zbylutem Grzywaczem, Jackiem Waltosiem, Leszkiem Sobockim założyli Grupę Wprost. Uczestniczył we wszystkich wystawach grupy. W czasie stanu wojennego udzielał się w biskupim Komitecie pomocy uwięzionym i internowanym. W latach 90. XX w. tworzył graficzną oprawę katolickiego miesięcznika dla dzieci „Mały Gość Niedzielny”. Współtworzył Związek Górnośląski (zaprojektował logo związku). Artysta w latach 1969-2012 mieszkał i pracował w Katowicach. W 1993 odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1998 Związek Górnośląski uhonorował go Nagrodą im. Wojciecha Korfańtego. W 2012 otrzymał nagrodę Lux ex Silesia. Obecnie mieszka w Tarnowie.

## **Anna Blacha**

Urodziła się w 1941 roku w Strzelcach pod Grodziskiem Wlkp. Swoje życie zawodowe związała z pracą w bibliotece Uniwersytetu Zielonogórskiego. Po przejściu na emeryturę realizuje się, pisząc wiersze i opowiadania, malując oraz studiując ródzkarstwo. Członkini Uniwersytetu Trzeciego Wieku oraz Stowarzyszenia Jeszcze Żyjących Poetów.

## **Andrzej Buck**

Literaturoznawca, dziennikarz, edytor, historyk i krytyk teatru, bibliotekoznawca, animator kultury, doktor nauk humanistycznych. W latach 1993-2007 zatrudniony w Lubuskim Teatrze jako kierownik literacki, następnie dyrektor naczelny i artystyczny (1997-2007). Organizator imprez artystycznych i literackich, m.in. *Nocy Poetów*, benefisów, wieczorów autorskich, przeglądów teatralnych – Winobraniowych i Powinobraniowych Spotkań Teatralnych. Twórca, organizator i dyrektor artystyczny Przeglądu Współczesnego Dramatu „Rewizje”, Sceny Młodych Reżyserów i Nowej Dramaturgii oraz Letniego Festiwalu OFF-teatr. Gospodarz Krakowskiego Salonu Poezji w Zielonej Górze. Autor książek: *Lubuski Teatr w latach 1972-2003. Dokumentacja, Teatr w mieście bez teatru, Teatr Drewniana Kurtyna, Antologia lubuskiego dramatu, Czasopisma literackie młodych i dla młodych po roku 1945, Nowe technologie i nowe przestrzenie, Miejsce spotkań. Biblioteki jako przestrzeń społeczna* oraz wielu artykułów naukowych i publicystycznych z zakresu historii prasy, dziejów teatru, życia literackiego i współczesnych bibliotek. Współredaktor „Almanachów Teatralnych” oraz „Zeszytów Teatralnych Lubuskiego Teatru”, kilkuset programów teatralnych. Redaguje kwartalnik „Pro Libris”, półrocznik „Bibliotekarz Lubuski” oraz „Zielonogórskie Studia Bibliotekoznawcze”. Autor adaptacji teatralnych (m.in. *Pan Tadeusz, Modrzejewska, Baśń 1001 nocy dla dorosłych, Poświatowska, Pinokio, Pęta, Byłam dziewczyną...*). Pracował na Uniwersytecie Zielonogórskim i Uniwersytecie Wrocławskim. Dyrektor artystyczny Kozzi Gangsta Film. Festiwal Filmu, Teatru i Książki im. Maćka Kozłowskiego. Pomysłodawca i organizator Festiwalu Literackiego PROZA POETÓW im. Anny Tokarskiej.

## **Anna Dominiak**

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, nauczycielka języka polskiego w liceum w Świebodzinie. Poetka, krytyk literacki, moderator spotkań z autorami książek.

## **Jakub Domoradzki**

Poeta, prozaik. Z wykształcenia filozof (UJ). Debiutował w 2. Antologii Stajni Literackiej SPP w Warszawie *Co jest pisane* (2016), a samodzielnie w tomiku *Wiersze, których nie lubi mój tata* (Mamiko, 2016),

nominowanym do Nagrody Poetyckiej im. K. I. Gałczyńskiego Orfeusz w kategorii najlepszy tomik roku. Ponadto autor *Nie przysypuj gruszkami popiołu* (Liberum Verbum, 2017) oraz *Poety poślubnego* (Liberum Verbum, 2018). Współpracował z Pierwszym Programem Polskiego Radia (Redakcja Publicystyki i Redakcja Wiedzy i Edukacji), publikował także w „Gazecie Bieszczadzkiej”, Kwartalniku Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych „PUL” (poezja) oraz „Sądeczaninie” (artykuły historyczne). Obecnie mieszka w Warszawie.

### **Natalia Dudziak**

Urodziła się w 1995 roku w Sulechowie. Studentka filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Fascynuje ją poezja konfesyjna.

### **Władysław Edelman**

Urodził się w Iłowej, od kilkudziesięciu lat mieszka i pracuje w Zielonej Górze. Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O złotą Szpilę”), Myślenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zielonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German). Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego.

### **Agnieszka Ginko**

Poetka i pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich, tłumaczka. Za poezję i prozę dla dzieci otrzymała w 2015 ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów. Swoje wiersze publikowała w ogólnopolskich czasopismach literackich, a także w Wielkiej Brytanii (należała do grupy poetyckiej King's Poets), Czechach i Serbii. W 2017 opublikowała tomik wierszy *Krucze*, nominowany do Nagrody A.K. Waśkiewicza i Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2020 ukazał się drugi tomik – *Modlitwa spod znaku Ryb*. Autorka pięciu książek dla dzieci: *Ciotka Klotka i inne historie* (Pascal, 2010, wyróżnienie w konkursie Książka Przyjazi Dziecku 2011), *Podróże Srebrnego* (Wilga, 2014, finał Konkursu Makuszyńskiego 2014), *Tutlandia* (Media Rodzina, 2013, nominacja do nagrody Książka Roku 2013 IBBY), *Tutlandia – Niespodzianki* (Media Rodzina, 2015, wyróżnienie FENIKS 2016 na Targach Książki w Warszawie) oraz *Bajek z dżungli i oceanu* (Media Rodzina, 2018, umieszczona na Liście BIS PS IBBY, polecana przez jurorki konkursu #książkaroku2018). Od 2014 roku mieszka w Zielonej Górze.

### **Joanna Gorzelana**

Absolwentka polonistyki oraz studiów w zakresie bibliotekoznawstwa i informacji naukowej na zielonogórskiej WSP. W 2004 uzyskała stopień doktorski z językoznawstwa (rozprawa *Właściwości językowo-stylistyczne poezji religijnej Franciszka Karpińskiego* na UAM w Poznaniu). Na tej samej uczelni habilitowała się na podstawie książki *Swoistość stylistyczno-językowa poezji religijnej okresu oświecenia*. Profesor UZ, prócz zadań badawczo-dydaktycznych pełni również funkcję instytutowego koordynatora Programu Erasmus. Zainteresowania badawcze skupia na stylistyce tekstów artystycznych polskiego oświecenia. Interesuje się także kulturą i językiem Górali Czadeckich z Bukowiny. Jest członkinią Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego i Polskiego Towarzystwa Językoznawczego. Mieszka w Zielonej Górze.

### **Natalia Haczek**

Rocznik 1996. Wyróżniona w 11. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Refleksy” oraz 26. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Tworząc poezję, pozyskuje przestrzeń do swobodnej autoekspresji, na jaką nie zawsze może sobie pozwolić gdzie indziej.

### **Miroslaw R. Kaniecki**

Urodził się w 1957 roku w Brodnicy. Publikuje w pismach ogólnopolskich, głównie w miesięczniku „Znak” i w prasie lokalnej; stale współpracuje z „Ziemią Michałowską”.

### **Joanna Kapica-Curzytek**

Anglistka i pedagog, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów ([www.e-teatr.pl](http://www.e-teatr.pl)). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i Świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Obecnie stała recenzentka (wolontariuszka) e-magazynu kultury „Esensja” ([www.esensja.pl](http://www.esensja.pl)). Oprócz literatury jej pasją są języki obce, muzyka klasyczna oraz próby naukowego ujęcia globalnych problemów współczesnego świata. Od kilku lat uczy się śpiewu.

### **Paulina Korzeniewska**

Rocznik 1989. Poetka; publikowała m.in. w „Toposie”, „Zeszytach Poetyckich”, „Odrze”, „Pro Libris”. Nominowana do Nagrody im. Andrzeja Krzyckiego. Jej wiersze znalazły się w pokonkursowej antologii *Nagroda im. Andrzeja Krzyckiego 2010. Antologia* (Gniezno 2011) i *Przeciw poetom* (2007, 2008). W 2006 ogłosiła arkusze poetyckie *Tu można tylko latać*, a w 2011 debiutancką książkę *Usta Vivien Leigh* (nominacja do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” oraz wyróżnienie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za debiut 2011). Za tom *Pogodna biel dobrego samopoczucia* otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki 2016.

### **Konrad Krakowiak**

Absolwent filozofii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Dziennikarz TVP Info i prezenter programu „Raport z Polski”. W 2002 roku współtworzył i przez cztery lata prowadził audycję „Kocioł Kulturalny” w zielonogórskiej Kabłówce. W 2006 roku był wydawcą serwisów informacyjnych w Rozgłośni Regionalnej Polskiego Radia „Radio dla Ciebie”, a następnie przez dwa lata pracował jako moderator w Polsat News. Gospodarz programów: „Puls Polski” i „Twoja Sprawa” w TVP Info. Obecnie dziennikarz i prezenter TVP3 Warszawa. Autor tekstów piosenek i zapowiedzi estradowych oraz książek poetyckich *Warto*, *Lewa strona bytu*.

### **Alina Kruk**

Absolwentka WSI (Zielona Góra) i podyplomowych studiów poznańskich UAM i AE. Pracowała w WSI i w nadzorze inwestycyjnym. Od 1986 roku kierowała kolejno Urzędem Miar, Wojewódzkim Ośrodkiem Doskonalenia Kadr Administracji Rządowej Urzędu Wojewódzkiego i Zakładem Usług Szkoleniowych Izby Skarbowej w Zielonej Górze. W latach 1993-2000 organizowała szkolenia z zakresu protokołu dyplomatycznego i etykiety dla kadry kierowniczej. Organizowała ponadto studia podyplomowe z zakresu prawa administracyjnego i zarządzania kadrami w Zielonej Górze. Obecnie na emeryturze. Powraca do twórczości literackiej z młodości lat. Jest laureatką konkursów na wiersze i opowiadania. Publikuje m.in. w „Inspiracjach” i „Pro Libris”. Była liderka i członkini grupy literackiej OKSYMORON.

### **Grzegorz Kubski**

Dr hab., prof. UAM, rocznik 1956. Absolwent filologii polskiej na UAM w Poznaniu oraz teologii na Papieskim Wydziale Teologicznym w Poznaniu, habilitował się w zakresie nauk biblijnych na Wydziale Teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (2005); badacz literatury polskiej XIX wieku oraz biblista. Należy do Stowarzyszenia Biblistów Polskich; pracował m.in. jako redaktor w Wydawnictwie „W drodze”, jako na-

uczyciel w szkołach Poznania, jako dokumentalista w Pracowni Bibliografii Bieżącej w Instytucie Badań Literackich PAN. W latach 1996-2014 był zatrudniony w Zakładzie Teorii Literatury WSP im. Tadeusza Kotarbińskiego w Zielonej Górze, później Uniwersytetu Zielonogórskiego. Od 2014 roku wykłada historię literatury polskiej oraz lingwistykę tekstu na Wydziale Pedagogiczno-Artystycznym UAM. Jest autorem ponad stu publikacji, w tym pięciu naukowych książek autorskich (m.in. *Po co polscy poeci pisali psalmy*, Poznań 2014). Ma w swoim dorobku także prace z zakresu krytyki sztuki, głównie grafiki artystycznej.

### **Aleksandra Kucza**

Pochodząca ze Słubic absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, studentka politologii Uniwersytetu Zielonogórskiego. Pasjonuje się publicystyką, reportażem i twórczością Agnieszki Osieckiej.

### **Dorota Kulczycka**

Historyk i teoretyk literatury. Profesor UZ w Zakładzie Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Prowadziła zajęcia m.in. z romantyzmu i pozytywizmu, teorii literatury, metodologii badań literackich, literatury w procesie komparatystycznym, krytyki literackiej. Wydała ponad 70 publikacji, które są efektem poszukiwań badawczych i uczestnictwa w konferencjach naukowych. Do najważniejszych z nich należą: *Jestem jak człowiek, który we śnie lata. O symbolice ptaków w twórczości Juliusza Słowackiego* (2004); „*Powiedzieć to wszystko, o czym milczę*”. *O poezji Stanisława Barańczaka* (2008), *Obraz Ziemi Świętej w dobie romantyzmu* (2012) oraz *W stronę Orientu. Polscy i francuscy romantycy o Bliskim Wschodzie* (2012). Natomiast w 2013 roku ukazała się jej antologia *Ziemia Święta w dobie romantyzmu*. Jest współredaktorką pracy zbiorowej *Powrót do domu. Studia z antropologii i poetyki przestrzeni* oraz kilku tomów serii naukowej „*Scripta Humana*”. Szczególną uwagę skupia w swoich badaniach na semantyce przestrzeni literackiej, na świecie Orientu widzianego okiem europejskich podróży poprzednich epok. W 2013 roku sfinalizowała kolokwium habilitacyjne (UMK). Ponadto pasjonuje się problematyką antropologiczną, etyczną i religijną obecną w literaturze i kulturze (również w filmie).

### **Władysław Łazuka**

Urodził się w 1946 roku. Poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, a także występuje na antenie PR i TVP. Autor 16 zbiorów wierszy. Mieszka w Choszcznie.

### **Anitta Maksymowicz**

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, kustosz dyplomowany w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Zainteresowania badawcze: polska i niemiecka emigracja zamorska, tematyka polonijna, powojenne osadnictwo na Ziemi Lubuskiej oraz problematyka tożsamości lubuskiej. Autorka wystaw i publikacji z tego zakresu, w tym m.in.: *Emigracja z pogranicza Brandenburgii, Śląska i Wielkopolski do Australii w latach 1838-1914*; *Agnieszka Wiśła i działalność kobiet w Ameryce na rzecz ochotników i weteranów Błękitnej Armii*; *W drodze do niepodległości. Kanadyjski przystanek – obóz Kościuszko w Niagara-on-the-Lake 1917-1919*. Redaktor naczelna rocznika „*Ziemia Lubuska*” i zastępca redaktora naczelnego „*Studiów Zielonogórskich*”.

### **Czesław Markiewicz**

Urodził się w 1954 roku w Zielonej Górze; poeta, prozaik, krytyk literacki, eseista, wieloletni dziennikarz Radia Zachód. Autor tomików poetyckich, laureat wielu prestiżowych nagród literackich.

### **Zbigniew Masternak**

Urodził się w 1978 roku. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, reportażysta, dramaturg. Studiował prawo na UMCS w Lublinie, następnie filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2009 roku ukończył Scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Debiutował prozą na łamach „Twórczości”. Autor autobiograficznego cyklu powieściowego pt. *Księstwo*. Jest także współautorem książki *Kino polskie 1989-2009. Historia krytyczna* oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* Jego twórczość jest tłumaczona na języki obce (m.in. wietnamski, mongolski, macedoński, słoweński oraz ukraiński). Laureat Świętokrzyskiej Nagrody Kultury (2011) oraz Dorocznej Nagrody Starosty Puławskiego w Dziedzinie Kultury (2011). Grywa w filmie. W 2005 roku na podstawie jego opowiadania *Stacja Mirsk* powstał film, którego był współproducentem (Grand Prix na 9. KRAKFFA). Gra w piłkę błotną w klubie BKS Roztocze Krasnobród. Jest kapitanem Reprezentacji Polskich Pisarzy w Piłce Nożnej. Pochodzi z Piórkowa, mieszka w Puławach.

### **Marcin Mielcarek**

Prozaik, student Uniwersytetu Zielonogórskiego na kierunku filologia polska. Pochodzi spod Kalisza, z miejscowości Plewnia. Fan piłki nożnej i motoryzacji.

### **Ewa Mielczarek**

Urodziła się w 1961 roku w Gnieźnie. Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego (nauki polityczne oraz bibliotekoznawstwo i informacja naukowa). Starszy kustosz, redaktor, kierownik Działu Wydawnictw WiMBP im. Cypriana Norwida. Sekretarz redakcji czasopisma „Pro Libris”.

### **Małgorzata Mikołajczak**

Prof. dr hab., kierownik Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego i kierownik studiów doktoranckich w dyscyplinie literaturoznawstwo, członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN i Rady Uczelni Uniwersytetu Zielonogórskiego, autorka monografii poświęconych poezji Urszuli Koziół i Zbigniewa Herberta, redaktor naukowy serii „Nowy regionalizm w badaniach literackich”. Zajmuje się teorią literatury, literaturą współczesną i regionalizmem w badaniach literackich.

### **Piotr Pałac**

Urodził się w 1981 roku Absolwent zielonogórskiej polonistyki, nauczyciel języka polskiego i dyrektor jednej z żagańskich szkół podstawowych, doktorant w Instytucie Filologii Polskiej UZ. W swoich badaniach naukowych skupia się na zagadnieniu intertekstualności.

### **Patrycja Pelica**

Prozautorka, autorka powieści w konwencji realizmu magicznego ( *Wszystkie kolory życia*, *Ritterowie. Rzecz o mazurskiej duszy* ), laureatka nagród literackich.

### **Marcin Radwański**

Urodził się w 1978 roku. Ukończył Zespół Szkół Budowlanych w Zielonej Górze. Debiutował opowiadaniem w piśmie „Parnasik” w 2006 roku. Członek Związku Literatów Polskich (od 2019 wiceprezes i skarbnik Zarządu Oddziału ZLP w Zielonej Górze). Od 2019 jest redaktorem naczelnym kwartalnika literacko-artystycznego „Pasje Literackie”. Publikuje w ogólnopolskich i regionalnych czasopismach artystycznych oraz na portalach internetowych. Współpracuje z kwartalnikiem literacko-kulturalnym „Pro Libris” i czasopismem „Moja Przestrzeń Kultury”. Był stypendystą Prezydenta Miasta Zielona Góra w dziedzinie literatury w roku 2013.

W 2017 roku otrzymał Lubuski Laur Literacki na gali Wawrzynów Literackich w kategorii sensacja, za książkę *Danie główne*. Również w 2017 roku otrzymał wyróżnienie w Konkursie Literackim na Utwór o Tematyce Zielonogórskiej, będąc nominowanym do nagrody głównej konkursu organizowanego przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

### **Robert Rudiak**

Rocznik 1966. Poeta, prozaik, publicysta, krytyk literacki. Doktor nauk humanistycznych. Ukończył filologię polską w WSP w Zielonej Górze oraz studia podyplomowe na Wydziale Ekonomii (AE w Poznaniu i na Wydziale Prawa i Administracji UAM w Poznaniu). Współredagował pismo studenckie WSP „Faktor” (1986-1990), pismo młodej inteligencji „Enigma” na Uniwersytecie Warszawskim (1989-1990), miesięcznik społeczno-kulturalny „Lubuskie Nadodrze” (2002-2003) i „Region” (od 2009). Współpracuje z piśmieniem literackim „Pegaz Lubuski” i „Pro Libris”. Redaktor literacki wielu książek prozatorskich i poetyckich. Publikuje artykuły publicystyczne, recenzje krytycznoliterackie, szkice historycznoliterackie i opracowania naukowe. Był członkiem Klubu Literackiego Lubuskiego Towarzystwa Kultury (1988-1991) i Grupy Działania Artystycznych „Budowa II” (1988-1990). Należy do Związku Literatów Polskich od 1992 roku (od 2019 pełni funkcję prezesa Oddziału Zielona Góra). Wydaje zbiory wierszy i szkice historycznoliterackie. Laureat kilkudziesięciu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Jest laureatem Nagrody Kulturalnej Prezydenta Miasta Zielona Góra.

### **Czesław Sobkowiak**

Urodził się w 1950 roku w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Poeta, autor dwudziestu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

### **Anna Wiwiana Szewczuk**

Absolwentka WSP w Zielonej Górze oraz Uniwersytetu Poezji. Autorka książek: *Przenikalność* (1996), *Pozostać w zachwycie* (1999), *Wierzę* (2003), *Kwiaty w miłości* (2006), *Kryształowe myśli* (2007, aforyzmy i sentencje), *Wybrana pani* (2008). Członek Związku Literatów Polskich.

### **Renata Trzaskowska**

Historyk sztuki, krytyk, kurator wystaw, autorka szkiców o sztuce współczesnej.

### **Grzegorz Walczak**

Poeta, prozaik i dramaturg. Były adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, autor powieści, tomików poetyckich, sztuk teatralnych i ok. 20 słuchowisk emitowanych w Polsce i w kilku krajach Europy, wydanych w jego tomie *Nie dzwońcie do mnie... umarłem*, w serii *Słuchowiska Polskiego Radia*; zdobywca 1. nagrody za groteskę *Kaktus* (w konkursach: na słuchowisko Radia Belgrad w 1984, na Festiwalu Słuchowisk PR 1986 i na sztukę teatralną miesięcznika „Scena” w 1971); dostał Nagrodę im. Witolda Hulewicza za sztukę teatralną *Obłocznik, czyli Sen Chopina* 2015 r., graną przez 9 lat; zdobywca nagrody specjalnej Międzynarodowego Festiwalu „Pro Poet 2020” w Serbii, 1. nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Herlinga-Grudzińskiego w 2019, wyróżniony w konkursie Teatru Ateneum 1988 (*Apage satanas*) i w konkursie ZAIKS w 2018 (za sztukę *Dokąd uciekasz*); odznaczony przez Ministra Kultury medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2016), reprezentowany w polskich i międzynarodowych antologiach i leksykonach literackich, autor kilku spektakli muzycznych, np. pierwszej w Polsce rock-opery *Naga* (1973), zdo-

bywca nagród na festiwalach piosenki (np. za *Wrzasy*). Od wielu lat występuje na scenie w swych spektaklach wraz z najwybitniejszymi polskimi aktorami i muzykami. Jest też tłumaczem literatury serbskiej, m.in. *Antologii współczesnej poezji serbskiej* i komedii *Kumowie* Dusana Kovacevicia.

### **Anna Witkowska**

Mieszkanka Zielonej Góry, animator kultury. Bibliotekarz w WiMBP. W trakcie studiów na Uniwersytecie Zielonogórskim członkini Stowarzyszenia Animatorów Kultury „Vaganti”, w ramach którego brała udział w warsztatach teatralnych, m.in. z Mikołajem Wiepriechem oraz współtworzyła wraz z grupą studentów liczne etiudy oraz spektakle, prezentowane w trakcie Dni Nauki i na festiwalach w Zielonej Górze czy Cotto. Pasjonuje się sztuką wizualną z malarstwem na czele – szczególnie polskich kolorystów; prywatnie również amatorsko maluje.

### **Stanisława Zacharko**

Artystka fotograf, historyk sztuki, krytyk sztuki. Członkini Okręgu Świętokrzyskiego Związku Polskich Artystów Fotografików. Dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Kielcach. Członkini Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórców „Wiklina”. Członkini Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Wiceprezes Zarządu Fundacji im. Kieleckiej Szkoły Krajobrazu.

PROZA POETÓW

# 10. FESTIWAL LITERACKI

IM. ANNY TOKARSKIEJ  
ONLINE

**25-LECIE STOWARZYSZENIA  
JESZCZE ŻYWYCH POETÓW**  
12 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**ANGELIKA KUŹNIAK**  
16 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**MAGDA ŁUCYAN**  
17 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**BARBARA GAWRYLUK**  
18 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**CZESŁAW SOBKOWIAK**  
19 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**FILMOWA PROMOCJA PISMA  
„PASJE LITERACKIE”**  
20 LISTOPADA, GODZ. 12.00

**JOLANTA PYTEL**  
23 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**MARTA GRZYBOWSKA**  
24 LISTOPADA 2020, GODZ. 12.00

**MARCEL WOŹNIAK**  
25 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**RADEK RAK**  
27 LISTOPADA, GODZ. 18.00

**INGA IWASIÓW**  
30 LISTOPADA 2020, GODZ. 18.00

**MAŁGORZATA IMIELSKA  
ŁUKASZ MACIEJEWSKI**  
1 GRUDNIA 2020, GODZ. 18.00

**PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI**  
3 GRUDNIA 2020, GODZ. 18.00

**MARCIN WICHA**  
9 GRUDNIA 2020, GODZ. 18.00

**TRANSMISJA LIVE-FACEBOOK**  
**FB.COM/BIBLIOTEKA.NORWIDA**  
**FB.COM/PROZA.POETÓW**

**9.11 - 3.12.2020 ZIELONA GÓRA**

[informacja@biblioteka.zgora.pl](mailto:informacja@biblioteka.zgora.pl)

[www.biblioteka.zgora.pl](http://www.biblioteka.zgora.pl)

[fb.com/biblioteka.norwida](https://fb.com/biblioteka.norwida)

[fb.com/proza.poetow](https://fb.com/proza.poetow)

Zrealizowano przy pomocy finansowej



Wojewódzka i Miejska  
Biblioteka Publiczna  
w Zielonej Górze



Elektrociepłownia  
„Zielona Góra” S.A.

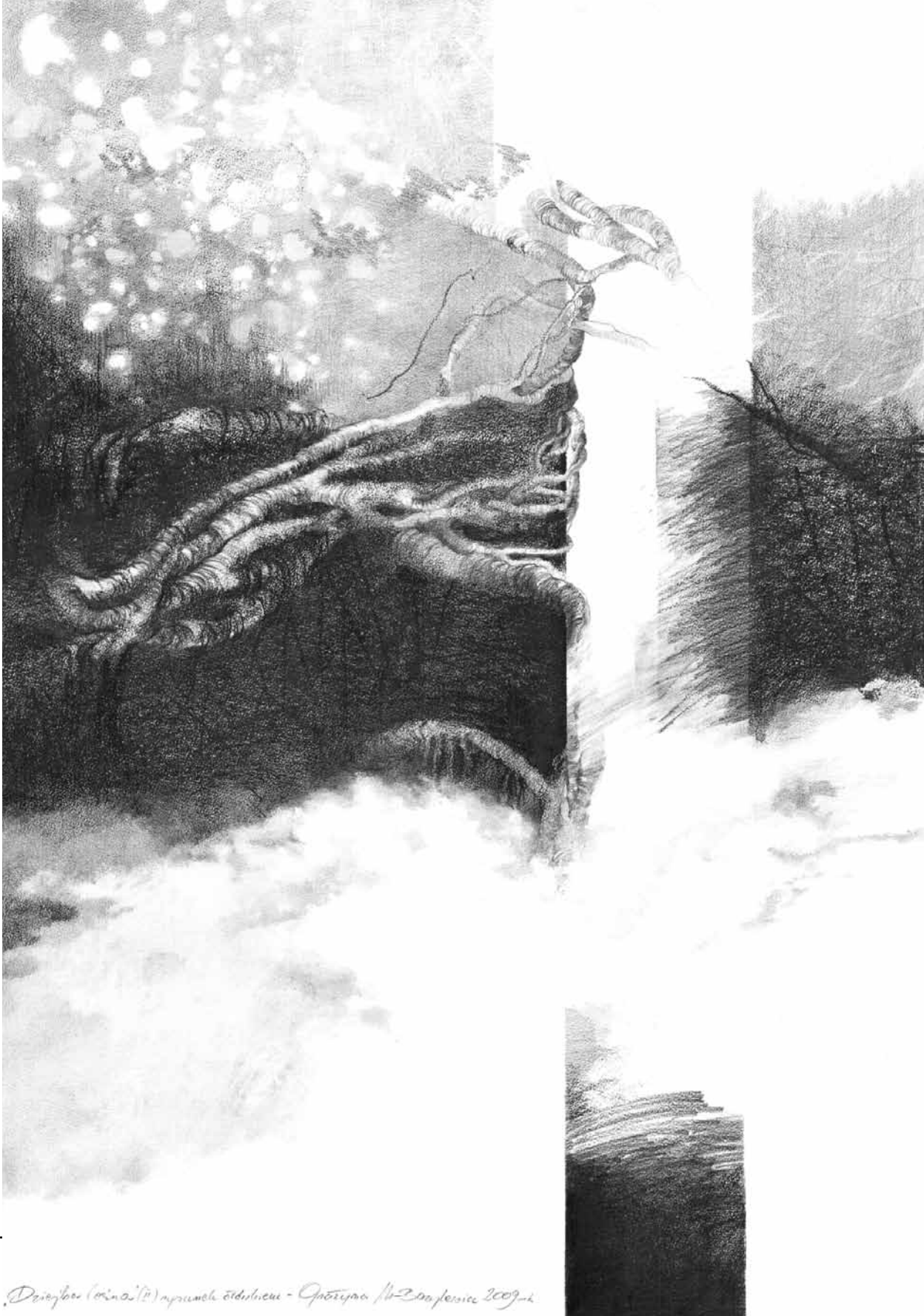


Energo Capital S.A.



Lubuskie  
Voivodeship





Дерево (корни) в саду - Огюст Ренуар 2009-г.



Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

0 6

9 771642 599108

